

# Lato leśnych ludzi



MARIA RODZIEWICZÓWNA

# Lato leśnych ludzi

## GENEALOGIA

Las, Natura, Kondycja  
ludzka, Obraz świata, Dusza

O starodawnym, bo jak bór odwiecznym, rodzie mowa tu będzie. Ma on przodków we wszystkich wiekach i tradycję we wszystkich szczepach ludzkości, boć nie ród to ciała, lecz duszy, nie ród lasu mieszkańców, lecz lasu miłośników, przyrody czcicieli.

Z rodu tego był poeta, co w Helladzie<sup>1</sup> wyśpiewał mit Pana<sup>2</sup> i Faunów<sup>3</sup>, i ten, co stworzył Baldura<sup>4</sup> w Skandynawii<sup>5</sup>, i ten ich krewniak duszny, co w obchodzie religijnym Ariom<sup>6</sup> dał Kupalną noc<sup>7</sup> czarowną. I patrona swego ów ród ma, odkąd ludzkość weszła w Pana Jezusowego szeregi.

Ich duszę miał, z ich rodu był słońca miłośnik i śpiewak, ptasząt i ryb kaznodzieja, wszelkiego stworzenia przyjaciel, seraficki<sup>8</sup> święty Franciszek<sup>9</sup>.

Mędrców i uczonych mają w swym rodzie i pozornie teraz wchłonęci w miliony ludzkości, zachowali przecież odrębność i właściwość swych leśnych dusz.

Ogarnęły ich ziemskie przewroty, życie gorączkowe, skomplikowane warunki, materialna walka o byt. Odsunęła ich od przyrody cywilizacja, postęp tak zwany, niszczenie natury przez rozrost przemysłu, straszny ciężar nowoczesnego bytu, nowoczesnych praw i obowiązków.

Pozornie nie ma dla leśnych ludzi ni miejsca, ni życia. Przystosowali się do warunków i już teraz niczym się jakoby od reszty ludzi nie różnią. Spełniają swe obowiązki powszednie, pracują wśród innych i z innymi, obcują z cywilizacją, biorą udział w postępie, korzystają z wynalazków, umieją się obchodzić z pieniędzmi, mieszkają w miastach, ubierają się jak inni, bywają w teatrach. Czyżby ród i tradycja leśnych dusz zginęła? Przenigdy! Nieśmiertelny jest duch i ród ducha nieśmiertelny; tylko kto rodu tego ciekaw, z rodu tego być musi i wtedy krewniaka odnajdzie.

Nie trzeba koniecznie szukać go w cichej wsi i wśród głębokich borów, wśród ludzi stojących u warsztatu przyrody, w jej królestwie; można tam szukać długo i na próżno, a znaleźć — w wielkim fabrycznym mieście. Można znaleźć w uczniowskim pokoiku, gdy chłopak po odrobieniu algebry, zamiast iść szukać rozrywki w dusznej sali knajpy, z gilem chowanym się bawi i dogląda go; można w suterenie szewca, co ledwie zna nazwę ptaka, który mu ćwierka przy robocie. I w tłumie ulicznym poznać można po szczególnym zachowaniu się w nadzwyczajnych wypadkach miejskiego życia.

Gdy wychodzą wieczorem dzienniki z ostatnimi depešzami na temat wojny, skandalicznego procesu, sensacyjnego mordu, a ktoś nie bierze do rąk gazety, lecz przypatruje się z uśmiechem sadowieniu się wróbla na nocleg — z rodu leśnego jest.

<sup>1</sup>Hellada — określenie używane w odniesieniu do antycznej Grecji. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Pan — w mitologii greckiej bóg pasterzy, rogaty i z nogami koźła. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Faun — odpowiednik greckiego boga, Pana, w mitologii rzymskiej. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Baldur — w mitologii nordyckiej bóg symbolizujący dobro, piękno i mądrość. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Skandynawia — region pln. Europy, obejmujący Szwecję, Norwegię oraz Danię. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Ariowie — dawny indoirañski odłam ludów indoeuropejskich. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Kupalna noc — święto związane z rzekomym bóstem słowiańskim o imieniu Kupała a. Kupało, obchodzone w nocy z 23 na 24 czerwca. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>seraficki — anielski. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>święty Franciszek a. Franciszek z Asyżu (1181/2–1226) — właśc. Giovanni di Pietro di Bernardone, założyciel zakonu franciszkanów, misjonarz, mistyk średniowieczny, stygmatyk, święty Kościoła katolickiego; znany powszechnie jako wielki przyjaciel zwierząt. [przypis edytorski]



I z tegoż rodzaju jest taki, co wśród uroczystego pochodu ulicznego, gdy wszystkich pochłania muzyka, stroje, ekwipaże<sup>10</sup>, paradne szeregi wojska lub korporacji, dojrzy zziębniętego psiaka przed zamkniętymi drzwiami sklepu i otworzy mu je z dobrym słowem życzliwości.

Wśród ogłoszeń dziennikarskich członek tego rodzaju wyszuka adres sprzedawcy słowika w klatce; zna handlarzy ptaków, więźniów tych wykupuje z niewoli i wiosną puszcza na wyraj<sup>11</sup>, równie jak one radosny.

Leśni ludzie zwykle trzymają się samotnie, dusze swe kryją, o swoim wnętrzu z nikim nie mówią, wiedząc, że to innych nie zajmuje.

W potwornym młynie ziemskim — gdzie bożyszczem jest interes, walka o zbytek i użycie wykwitów cywilizacji — obcując z innymi, mają w oczach często zgrozę lub krytyczne zdumienie, ale milczą i spełniając swe społeczne obowiązki, baczą tylko, by się nie dać zgnieść, zmiażdżyć. O dusze swe nie są trwożni: tych zaraza świata nie skazi.

I tak trwają — rzadcy w świecie i obcy mu zupełnie. Czasami znajdują druha. Otwierają się na oścież wrota duszne, krzepią się oni wzajem; marzenia, potrzeby i tęsknoty zmieniają się w słowo. Wyrażają ufnie głos swobody, ciszy, obcowania z naturą; przetwarzają swe żądze, aż stworzą czyn, aż wypracują sobie rzeczywiste, żywe, wedle swej duszy bytowanie.

I takie jedno lato leśnych ludzi tu będzie zawarte. Dla tych, co je przeżyli — kronika szczęścia; dla tych, co po świecie rozproszeni, o nim samotnie marzą — bratni upominek i może do czynu pomoc.

\*

Było ich wtedy trzech.

Najstarszy, na wodza i kierownika wybrany, był przemyślny, uparcie w postanowieniu zawzięty, w wykonaniu zamiaru prędko, naukowo z przyrodą zżyty i obeznany.

Ziemi szmat posiadał, a wśród tej ziemi bagna i lasy, leniwymi rzeczulkami jak siatką porzniętą, od ludzkich dróg dalekie, dla ludzkiej chciwości niełakome.

Tam, w głębi tych tajni<sup>12</sup>, ukryta jak gniazdo, powstała pewnej wiosny chata samotna. Jakiś czas białą gontowy<sup>13</sup> dach i trzaski<sup>14</sup> i czerniały koleiny wozów, co z dala przywiozły materiał; po roku wszelki ślad osady zasnęła zieleń traw i mchy.

Dzikię wino i róże pokryły ściany, chata się wtopiła, wrosła w okalający ją szczerbie las.

Nazywali ją leśni ludzie swoim wyrajem.

Wódz z biegiem życia potracił swych bliskich i żadnej rodziny nie posiadał. Dom jego natomiast był pełen bożych domowników — nad nimi rząd i opiekę trzymał towarzysz jego, druh, którego sobie wychował i w swym duchu urobił.

W swoistej gwarze leśnej wódz miał przydomek Rosomaka, ten drugi został nazwany Panterą.

Najmłodszy z trzech, cały złożony ze stalowych muskułów, chybki<sup>15</sup>, zwinny, miał też swej imienniczki drapieżność i dzikość. Znał naturę ze współżycia z nią, rozumiał bór i wodę, i pole; i duszę miał na wskroś leśną.

A potem z tymi dwoma stowarzyszył się trzeci, którego Żurawiem nazwano.

Ten uchował w życiu najczystsza duszę. Był uosobieniem dobroci, łagodności i wewnętrznej słonecznej pogody. Cieszył się leśnym życiem, jak się młodość tylko radować może. Marzyciel to był, zawsze trochę roztargniony, rad się śmiejący, pracowity za wszystkich, a zdrowia i wytrzymałości żelaznej.

I byli ci trzej, siebie wzajem dopełniając, stałymi letnikami w głuszy, twórcami tego pierwotnego bytowania. Stanowili jedność z puszcza, żyli w niej jak wszelkie stworzenie, co do niej ścigało z wiosną na wyraj, a odlatywało jesienią.

<sup>10</sup>ekwipaż (daw.) — luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>wyraj (daw.) — miejsce odpoczynku, odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>tajnia (daw.) — tajemnica, kryjówka. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>gontowy — zrobiony z gontu, czyli deseczek do pokrywania dachu. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>trzaska — niewielki kawałek drewna. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>chybki (daw.) — zwinny, szybki. [przypis edytorski]

Zimą zamknięta na głucho, z końcem lata zasypiała chata. Obsypywały dach żółte liście, potem śnieg, niknęły ścieżki letnie, a za to zwierz swoje ślady w śniegu rysował.

Sikory nocowały pod dachem, wiewiórki po skrzynkach gniazdowych, zające żywiły się na żarnowcu; w szczeliny podwalin, na sen zimowy, wciskały się węże; na zmarzłe jagody winne i głogi przylatywały gile, a niekiedy podsuwały się do ogrodzenia sarny i skubały uschłe łodygi letnich kwiatów, które Żuraw wypielegnował.

A daleko, wśród ludzkiego mrowia, leśni ludzie o tej chacie swojej marzyli tęskniący i myślą byli z sikorami, gilami i z całą resztą swych letnich współtowarzyszy.

I czekali wiosny.

## PRZEDWIOŚNIE

Rosomak i Żuraw zimowali w mieście; na straży leśnego rajy został Pantera. Wieści wymieniało rzadko — i ptaki zimą nie śpiewają, a tylko czasem witają się i żegnają krótkim a wymownym hasłem zimowym: „Cierp, cierp, cierp”.

Zatem gdy w końcu lutego ujrzał Rosomak kopertę z patykowatym pismem druha, rzekł tylko:

— Będzie wczesna wiosna; musiały już przybyć skowronki, skoro się Pantera odzywa. Otworzyli chciwie list i czytali razem dla pośpiechu, a oczy im błyszczały uciechą.

„Wodzowi i druhowi pozdrowienie leśne. Donoszę wam, że wczoraj obudził się ze snu nasz domownik, Tupcio. Zasnął tak gruby, że ledwie się w bucie zmieścił, a wczoraj wyszedł tak szczupły, że cholewa mu była niczym korytarz. Wgramolił mi się zaraz na kolana i pokłutł na powitanie, fukając: «Jeść!». Pożarł mnóstwo sera i mleka, od razu napęczniał, a dziś, gdy to piszę, gania po całym domu, czyniąc nocną policję na myszy. Ma się zatem ku wiosnie. Ale Kuba twierdzi znowu inaczej.

Kuba w październiku zrobił na piecu gniazdo. Zaciągnął tam parę ścierek, moje ciepłe rękawice, czepkę Drozdowej, dużo waty z gościnnej kołdry; na wierzch przywłócił parę gałęzi oleandrów, a gdy szopa była pod sufit, wsunął się do środka, wejście zasłonił i chrapał. Onegdaj<sup>16</sup> też wyjrzał. Temu sen służy. Szubę ma popielatą, lśniącą, kitę jak strusi pióropusz, na uszach pędzle zawadiackie. Wylazł, przeciągnął się, chlapnął wody, zagryzł orzechem i wyskoczył do ogrodu. Krotko zabawił; wrócił zły, szubę zmoczył, nogi obłocił, pączki wypluł.

Powiada, że gorzkie, bez żadnego wigoru, i że najlepiej jeszcze spać, a dobre przyjść musi. Powiedział mi to z pieca, otwór chałupy zasunął i tyłem go oglądał.

Bogatka, co u nas też zimuje i ćwiczy mole po całych dniach, zaczęła się jednak dopominać swobody. Ano, dobrze, otworzyłem okno — poszła, jak na wesele, z przytupem. Obiera robactwo z klonu pod oknem i ćwierka do mnie: «Już czas, już czas».

I komu z nich wierzyć? Boć i skowronki są, a jakże! Poszedłem z nimi się przywitać aż daleko w pole.

Po zapadach<sup>17</sup> śnieg leży, lód trzyma, a po haliznach<sup>18</sup> goło i czernieją stare kretowiska. Wicher jak mięta: niby zimny, a smali<sup>19</sup>. Skowrończy gwar już posiadał nasz łąk aż do jesieni.

A o innych wędrownikach takie wieści: zapadły na nocleg w zeszły piątek pierwsze gęgawy i gomon<sup>20</sup> wielki podniosły; poszedłem też posłuchać, jakież zza morza wieści prawią. Czysta, echowa była noc, ale jeszcze mroźna; brzegi zalewów lodem się ścięły i tak trwał on aż do południa. Co noc na sad nasz czarny opadają rzesze podróźnych ptasząt. Spadną, mało co mówią,

List

Zwierzęta

<sup>16</sup> *onedaj* (daw.) — dawniej, kiedyś, raz. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *zapad* (daw.) — tu: zapadlisko, zapadlina. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *halizna* — powierzchnia leśna, która po wycięciu drzew nie została zalesiona. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *smalić* — tu: opalać. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *gomon* (daw.) — hałas, wrzawa. [przypis edytorski]

o świecie ruszają dalej; to nie te, co z nami lato spędzą. Ruszyły dopiero te pułki, co dalej na północ mają przeznaczenie.

Kuropatw trzy pary mam na górze — znalazłem w sidłach chłopaczych na śniegu — i te mnie co rano pytają, ile jeszcze niewoli.

Rajcują o tym wróble, zmówiny<sup>21</sup> już między nimi jak w zapust<sup>22</sup>. Te już się klną, że wiosna tuż.

Pszczoly — jak Kuba! Zastukałem do jednych, pytam: «Matko, czy wiosna?»». Zaburczały sennie: «Cyt, cyt, matka śpi».

I komu wierzyć, i jak tu wytrzymać!

Nie wiosna to i nie zima-jędz. Nie pochód to hetmański raj, ale już przednie wici rozesłane: «Sposobić się czas».

Więc się — kto gorętszy — sposobi. Leszczyna kutasiki<sup>23</sup> karminowe jeszcze od chłodu otula, ale kotki<sup>24</sup> już puściła na wicher. W wodach lodowatych na dnie widać pęczniejące kaczeńce, pod liśćmi w gaju można wyszukać zawilce. Wszystko gotowe czeka i gdy ucho do ziemi przyłożysz, słychać, że coś grać zaczyna, aż człowiek zrozumieć nie może: ziemia to gra czy jego własna krew — jedno! Żyć, żyć, żyć!

Gdy wszystko jednym głosem tak krzyknie, zawołam do was: «Bywajcie!».

Tymczasem sposobię chodaki, konopacę<sup>25</sup> czólno, kosze i więcierze<sup>26</sup> przygotowuję i czekam, drząc z ochoty”.

Tyle było listu. Rosomak go raz jeszcze przejrzał.

— Dźdżownice nie ruszyły — rzekł. — Jędz jeszcze wróci.

Westchnęli obaj. Tęsknota skręciła ich serca i Żuraw dodał:

— Zaleciało barwę, wonią, smakiem, muzyką, aż boli... Tak tęskno! Wymknijmy się choć za rogatki, posłuchajmy, popatrzmy, wichru się napijmy!

— Chodźmy z wizytą do swoich! — potwierdził Rosomak. — Bo czekać nam jeszcze długo. Do przesilenia i dalej, całe dziewięć niedziel!

## PRZESILENIE

W marcu jędz-zima bezczelna, wściekła wstała jeszcze raz do boju. Całe hufce zegnała, szare pułki chmur, watahy wichrów północnych i cisnęła tę armię na pęczniejące drzewa, na wyzierające źdźbła, na rzesze ptasie, co jej urągały weselną pieśnią.

Na rozkwitające życie z chmur tych, przy rechotaniu wichru, poczęły się walić śniegowe zwaly jak gźło<sup>27</sup> śmiertelne.

Słońce, jak widmo, stało za tą czeredą chmur, cierpliwe w poczuciu swej siły i pewne triumfu. Jak mocarz wszechpotężny dawało wrogowi ulgę pozorną — niech wszystkie siły w bój wyprowadzi, napaścią się wyczerpie, by potem swą światło-władczą potęgą błysnęło i zwyciężyło.

— Biedna nasza bogatka! — rzekł Żuraw, patrząc na tumany śniegu.

— Bogatka pewnie przy pierwszej zadymce zastukała do okna i wróciła na zimowe leże do Pantery — odparł Rosomak.

Gorzej tym w lesie, jeśli struga wezbrała i pożywienia im dostarczyć nie można. Byle, na dobitkę niedoli, jędz mrozu nie wywlokła sobie w sukurs<sup>28</sup>.

Drzewa wiosennej krwi są pełne, gałęzie nabrzmiałe, bolące, gdy tknąć. Trzeba ratować.

Puścili się we dwóch za rogatki; trafili na zagajnik śniegiem zavalony, jęli otrząsać biały całun.

<sup>21</sup>zmówiny (daw.) — zaręczyny. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>zapust (daw.) — obecnie raczej forma „zapusty”, oznaczająca karnawałowe ostatki; zapust to także laszek złożony z nowych drzew, młodnik. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>kutasik — tu: część rośliny, przypominająca pędzelek. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>kotek — tu: kwiat leszczyny. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>konopacie (daw.) — zatykać szczeliny kłakami z konopi. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>więcierz — sieć rybacka o cylindrycznym kształcie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>gźło a. giezło (daw.) — dawniej płócienna koszula, wkładana bezpośrednio na ciało. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>sukurs (daw.) — pomoc, odsiecz. [przypis edytorski]

Rozpoznali drzewiny i mówili do nich jak do serdecznych przyjaciół.

— Korale wyhoduj, jarzębiu smukły! Śmigaj, brzózko srebrna! Ostrożnie się odginaj, kloniku, boś kruchy. Za ciężka nawet dla ciebie szuba, świerczku, zuchu zimowy.

Odginały się z ulgą gałęzie, a oni się śmiali, zgrzani, rozradowani, upojeni mroźnym marcowym powietrzem.

Zmierzch dopiero odpędził ich od roboty, a w nocy stało się, co powiedział Rosomak: mróz-kat pięść z kleszczami zacisnął.

Jęknęły lasy z bólu rwanych tkanek, na całun śmiertelny padały ich członki — jęcza cieszyła się zgubą młodego życia.

— I po co to? — szepnął Żuraw.

— Prawo! — odparł Rosomak. — Nad nasze zrozumienie. Prawo! Ale to nie zguba! Bywa twarde i potężne, gdy niszczy, i takie potężne, gdy tworzy. Ale to nie zguba! Zguba to mała, nikła istota; bez gromu, wichru, nijakiej widocznej mocy, bez klów i pazurów, jak robak, goła. Którędy ta zguba przejdzie, tam nie ostanie ni puszcza leśna, ni zwierz potężny, ni ptak najśmiglejszy, ni żadnego stworzenia schron. Zostaje tylko on!

Trzy dni mróz katował ziemię, trzy noce wichry się szamotały, za bary się wodząc i zmagając, w tumanach śnieżnego kurzu, z wyciem, poświstem, warczeniem, jękiem — aż pewnego ranka w nowiu miesiąca z południa jakby fala runęła powietrzna: hetmański hufiec wiosenny.

Jak chmara nikczemna pierzchły przed nią tumany śnieżne i na błękit promienny wstąpiło na swój majestat zwycięskie słońce. Fala powietrzna niosła ze sobą jego moc krzepką, żywą, moc zdrowia; i zaroilo się na ziemi, zatętniło, zapachniało, zagrało — jeden hymn odrodzenia.

Do leśnych ludzi przyszła wieść od Pantery, krótka jak okrzyk zdyszanego gońca: „Las ożył — woła, gra! Bywajcie!”, Zerwali się, zbierali gorączkowo, ogarnięci jakimś szaleem, potrzebą, musem, żądzą swych dusz — jak ptaki wędrownie.

Wołało coś w nich, wszystko inne głuszac:

— Na byt swój, na byt swój!

Na wyraj, na wyraj, na wyraj!

## NA WYRAJ

Przed domem Rosomaka panował ruch i rozhowory<sup>29</sup>. Ranek był kwietniowy, pogodny, słoneczny, wilgotny od deszczu, co przeszedł z wieczora. Przeszedł, cuda tworząc. Rozkleił lepkie osłony liści, zmył z traw resztę pleśni, otworzył oczy białych zawilców i fiołków, wywabiał z wody złoto kaczeńców, obmył i w kwiat wyczarował kocanki łóz i wierzb.

W ciszy nocnej szmerem kropel budził, na gody<sup>30</sup> namawiał, a gdy słońce wstało, ziemia ku niemu wystąpiła już strojna, wonna, barwna i rozśpiewana.

Pod gankiem stał długi wóz drabiniasty i ładowano go przemyślnie wszystkim, co w bytowaniu letnim było lub mogło być potrzebne.

Żuraw pakował żywność, odzież, zielniki swe, podręczną apteczkę; Pantera prowiant dla zwierząt-towarzyszy, sieci, więcierze, kosze, chodaki i narzędzia rzemieślnicze; Rosomak jakieś swoje specjalne skrzyneczki, tyczki, puzderka, książki — cały balast do badań przyrodniczych. A każdy tak był pochłonięty pracą, że tylko się snuli z domu do wozu jak pszczoły, ładując i ładując. Wóz stawał się kopiasty.

— Teraz już tylko towarzysze! — rzekł Rosomak, zlustrowawszy go. — Jeżeliście zapomnieli, cierpcie!

— Pewnie, że ja coś zapomniałem! — troskał się Żuraw, stękając.

Teraz przez wrota od folwarku wkroczyła karmicielka leśnych ludzi, latująca<sup>31</sup> z nimi co roku w puszczy, gniado-srokata Hatora. Chuda jeszcze była po ciężkiej zimie, z sierścią nastroszoną i bez blasku.

Wiedziało bydłatko, co znaczy to ładowanie.

<sup>29</sup>rozhowor (daw.) — rozmowa. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>gody — zaślubiny, wesele; u zwierząt: okres godowy. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>latować (daw.) — spędzać lato. [przypis edytorski]

Podeszła do Pantery, obwąchała ludzkie ręce, dostała chleba z solą, obejrzała wóz, skubnęła siana, spenetrowała, czy czuć na dnie kartofle i osypkę<sup>32</sup>, wytarła szyję o luśnię<sup>33</sup> i stanęła, żując powoli — łagodnymi oczami śledziła ruchy ludzkie.

— Hatora, chcesz „bambołę”? — zagadnął Pantera, wynosząc z domu blaszaną krowią klekotkę<sup>34</sup> na rzemieniu.

Hatora przecząco poruszyła uszami i odwróciła niechętnie swą rogatą głowę.

— Nie! — Hatora nie lubiła „bamboły”.

Przed paru laty, gdy ją ustrojono w to straszidło, bezustannie gadające, oszalała z trwogi i wstrętu, umęczyła się okropnie, starając się go pozbyć, zedrząc z siebie w gąszczach obmierzłego stracha.

Nawet w rozdrażnieniu i dzikim buncie popełniła czyn zbrodniczy — rzuciła się z rogami na Panterę, rycząc ponuro: „Mord, mord”. Ale to było dawno, w samych początkach jej leśnej służby. Potem Hatora zrozumiała, że nałożenie „bamboły” oznaczało rozkoszny żywot w puszczy, w obfitości pastwisk i wody — w nieograniczonej swobodzie.

Nie było pastucha i jego bata, nie było psów ani łańcucha w dusznej oborze, ani zdradliwych rogów zawistnych towarzyszek. Bo Hatora przez te lata straciła instynkt stadny i skierowana przed dom, najkrótszym nawet pomrukiem nie pożegnała zimowej kompanii. Bez zapalu, ale i bez protestu pozwoliła sobie nałożyć naszyjnik.

— Pantero, zaprzęgaj Łataną Skórę. Idę po domową czeladź. Zabierz klatkę z ptakami! — komenderował Rosomak, wchodząc do domu. Żuraw lokował właśnie na wozie koszyk okryty krasno przetkaną serwetą. Pantera i Hatora węszyli z lubością. Pachniał świeży razowiec.

— Wódz tak goni, że i śniadanie się wściekło — rzekł Pantera. — Nie wytrzymam, tak pachnie.

Sięgnął po nóż za pas, odchylił płótno, bochen jeden krzyżem przezegnął i spory glon<sup>35</sup> odkroił. Przełamał i z lubością obydwaj jedli. Wilgotny pysk Hatory wsunął się także do spółki.

— Aha, wódz kazał zaprzęgać! — przypomniał sobie Pantera, ruszając do stajni.

Po chwili wyszła na słoneczne podwórze klacz srokata, stąpając z rozwagą i ostrożnością. Pociągnęła Panterę do studni, napiła się do syta, a potem niekierowana poszła ku wozowi.

Spróbowała smaku siana, poszukała na dnie worka z obrokiem<sup>36</sup>, parsknęła, ziewnęła, przeciągnęła się i z rezygnacją podała głowę do chomąta<sup>37</sup>.

— Nie zezuj na ładunek! — rzekł Pantera. — Wiemy, żeś żrebna; w błocie i piachu pójdziemy piechotą. Zachodź w hołoble<sup>38</sup>! — Przyciągnął rzemienie, zaprzęgnął i stał w gotowości do jazdy, pojadając chleb na spółkę z bydłatkami.

— Powiedz, Żurawiu, wodzowi, że gotowe. Szmat drogi, ledwie zdążymy na odwieczerz<sup>39</sup>.

Rosomak tymczasem miał kram z domownikami. Tupcio i Kuba, jeź i wiewiór, byli szczytem sprzeczności obyczajów i upodobań.

Mało się znali, ale dość, by się nienawidzić — chociażby dlatego, że jeden drugiemu nie dawał spać.

W nocy Tupcio bezustannym dreptaniem ploszył Kubę, tak że wyprowadzony z równowagi wysadzał pyszczek z gniazda na piecu i wymyślał.

— Czołgaczu plugawy, zjadaczu stonóg, pantoflarzu obmierzły, bodajżeś się żabą udławił. Oka zmrużyć nie daje ten robaczarz!

W dzień Kuba, szperając po kątach, zaglądał i za poręcz kanapy; wtykał tam orzechy, które spadały na śpiącego Tupcia, tak że się budził i fukał rozsierzony.

Zwierzę, Wolność

Koń

Zwierzęta, Dom, Konflikt

<sup>32</sup>osypka — grubo zmielona mąka. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>luśnia (daw.) — element wozu drabiniastego. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>klekotka (daw.) — kołatka. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>glon (gw.) — pajda, kromka. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>obrok — pasza dla konia. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>chomąto — część uprzęży konia. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>hołobla — każdy z dwóch dyszli, między które zaprzęga się konie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>odwieczerz (daw.) — popołudnie. [przypis edytorski]

— Hecarz, sowizdrzał<sup>40</sup>, błazen, ryże straszdyło, ptasie pośmiewisko! Bodaj ci żywica ogon do nosa przylepiła, bodaj ci się gęba na zębach nie zamykała!

Całą zimę warchoła<sup>41</sup> trwał, a jeśli mieli kiedyś coś wspólnego, to tylko nienawiść dla taksicy<sup>42</sup> Działdza. Ta wprawdzie mieszkała w stajni, ale wpadała kiedy niekiedy — wszędzie węsząca, wszystko pędząca, wrzaskliwa i dokuczliwa nad wszelki wyraz.

Było to zatrucie zimowli<sup>43</sup>. Kuba, chociaż bezpieczny na szczycie pieca, dostawał palpitacji serca i oburącz ścisnął wzburzoną pierś; Tupcio pod kanapą dostawał wątrobianego ataku i astmy.

A tego dnia właśnie, korzystając z zamętu wyprawy, Działdzia wślizgnęła się do domu i wzniciła straszny popłoch.

Zapędziła Kubę na szafę i do utraty tchu naszczekała mu pogroźek i impertynencji<sup>44</sup>. Potem zwęszyła Tupcia w starym bucie Pantery i nie mogąc się doń dostać, włóczyła go wraz z butem po całym pokoju. Na tym ją przyłapał Rosomak, chwycił za kark i sromotnie za drzwi wyrzucił. Ale domownicy byli w stanie zupełnej rebelii<sup>45</sup>.

Tupcio był tak rozsierzdony, że razem z butem podskakiwał i fukał:

— To to tak! Nie chcę was, nie chcę do lasu! Nie tykajcie mnie, precz, precz, zdrajcy, fałszywi opiekunowie i przyjaciele! Ta wasza służka chciała mnie zjeść, może zjadła! Nie czuję, czy jeszcze żyję z alteracji<sup>46</sup>.

— Fiu, nie ma głupich! — skrzeczał Kuba, z ręką na sercu, z wyżyn szafy. — Ani zejść stąd, ani z wami jędę. Nikt w moim rodzie nie słyszał tyle obelg, co ja od tej pokracznej karlicy. Albo ona, albo ja, wybieraj! Nie zejść, choć ciekawym, co masz w garści. Choćby i słonecznikowe ziarno! Mam swą ambicję! Dalesz mnie na pastwę tej poczwarze. Gdzieś był, jak mi tu urągała? Nie, nie zejść!

— Nie, to nie! — rzekł Rosomak, garść orzechów chowając w zanadrze<sup>47</sup>, i wziął but z Tupciem.

— Tupciu, bestii nie będziesz w lesie. Bonować<sup>48</sup> będziesz spokojnie. A pamiętasz, ile tam tłustych glist i robaków, jakie miękkie wykroty do spania! A w chacie ile i kiedy zechcesz mleka i sera, i rybnie wątróbki. Wyleźże z tej cholewy! Czy ci nie wstyd, by cię jak dzikusa wozić razem z butem?

— A właśnie chcę spać w bucie! — fuknął już spokojniej Tupcio i znieruchomiał.

— No, Kuba, zostajesz? Bo mi się spieszy. Żegnam cię, okno otwarte.

— Co masz w kieszeni, pokaż? — Kuba spadł mu na głowę i dał nurka w zanadrze, rozległo się zajadle piłowanie skorupy orzecha i mruczenie zadowolenia; pokój był zawarty.

— Gotowe! — wetknął głowę przez drzwi Żuraw. — Zabierz jeszcze skrzypce i ruszajmy.

— Na wyraj, jazda! — zakomenderował Rosomak, lokując but z Tupciem i siadając sam byle jak, z nogami poza drabiną.

Uczepił się tobołków Żuraw, przysiadł na drążku Pantera-woźnica, parsknęła ochoczo klacz, „zabamboliła” Hatora — i tabor ruszył.

Wyjechali za wrota, na drogę polną, wyboistą i błotnistą. Spojrzeli w dal na siniejącą linię borów; objęli ich dech szerokiej przestrzeni, rozprężył płuca, barwą się wybił na lica i zapalił ogniem radości stęsknione źrenice.

— Hejnał, wodzu! — upomniał się Pantera.

A Rosomak ziemi, błękitom borów i pól rzucił:

Czas ci już wstać, czas ci już iść,  
Hetmanko polnych rot<sup>49</sup>!  
Oto ci na hełm borowy liść,

<sup>40</sup>sowizdrzał — żartowniś. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>warchoła (daw.) — tu: zamieszanie, spór. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>taksica — mianem „taks” określa się jamnika polującego na borsuki, chodzi prawdopodobnie o samicę tej psiej rasy. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>zimowla (daw.) — zimowanie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>impertynencja — obraźliwe zachowanie lub wypowiedź. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>rebelia — bunt. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>alteracja (daw.) — wzburzenie. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>zanadrze (daw.) — miejsce na piersi, pod ubraniem. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>bonować (daw.) — hulać, używać życia. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>rota (daw.) — tu: jednostka piechoty. [przypis edytorski]



Oto ci w rękę rozmaju<sup>50</sup> kiść,  
Oto twój złoty grot!

Powiedzies ty, powiedzies nas  
Na ten słoneczny szlak,  
Gdzie kwitnąć sercom i pieśniom czas,  
Gdzie szumu czeka uśpiony las,  
Gdzie czeka lotu ptak!

Powiedzies ty, powiedzies świat  
W zwycięski pochód twój,  
Gdzie z prochów świeży wykwiła kwiat,  
Gdzie brzask wybucha z za nocy krat,  
Gdzie stoczysz życia bój!<sup>51</sup>

## OSIEDLE

Mijali łany orne i siewne, ludzkie osady, rozstaje, łąki od kaczeńców złote i kierowali się wciąż ku borom.

Szlak robił się coraz bardziej niewyraźny, a bory z wąskiej smugi stawały się ciemną ścianą. Aż, jak przednie strażę, zabiegły im drogę stare sosny na wzgórkach, a za nimi — szeroką ławą, bez kresu — stanął zwarty wał chojarów<sup>52</sup>, podszytych jałowcem i wrzosem. Powitał ich poszum cichy i uroczysty, jakby modlitewny, a niosący kadzidlane wonie żywicy. I wjechali w boży chrám<sup>53</sup> boru. Wszyscy odkryli głowy, spojrzeli w górę; poruszyły się wargi odzwyczajonym owego powitania. Nikt się nie odezwał, słuchali cali w sobie skupieni.

Prowadziła kłacz. Bez namysłu wybierała jakieś szczeliny wśród drzew, ledwie widoczny ślad; nie wahała się na zawrotach, na wąskich przesmykach wśród mokradel. Odnajdywała jakieś kładki w zdradzieckich oparach, kołowała, kluczyła — na tyle pewna swej pamięci, że tak sobie stępa idąc, obrywała to kiść szuwaru, to gałązkę brzożową, to łożowe kocanki i gryzła dla zabawy.

Grunt się obniżał. Jechali przez grobelki, klecone przed wiekami z bierwion dębowych, któredy może kiedyś szły szwedzkie lub kozackie wojska, obrzeżali szmaty torfowisk, wycierali ślad wśród łoż sążnistych, ginęli w chaszczach trzcin i sitowia. Słońce mieli w oczy i plecy, na lewo i prawo — aż wreszcie szlak był już tylko ich własny, tyle widoczny co ścieżka przez łośia wydeptana.

Aż z gęstwiny błysnęła woda, ruczaj, w długi bród rozlany, ginący dalej w łożach — graniczny ruczaj ich letniego królestwa.

— Ot i nasz Tęczowy Most! — rzekł Żuraw i wszyscy trzej wydali długi, specjalnie swój okrzyk; zwykły akord, którym się rozproszeni na wyprawach zwoływali.

Kłacz weszła ochoczo w bród, schyliła głowę i muskając wodę wargami, szukała najwyższego prądu — tam stanęła i zaczęła pić. Hatora poszła za jej przykładem i ludzie zaczerpnęli też wody w dłoń.

— Pijmy jak z Lety<sup>54</sup>. Zapomnienie tamtego świata! — rzekł Rosomak.

— Smaczna jak brzożowy sok. Niczym wino! — dodał Pantera.

<sup>50</sup>rozmaj — rozmaryn. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Czas ci już wstać, czas ci już iść, Hetmanko polnych rot! Oto ci na białym borowy liść, Oto ci w rękę rozmaju kiść, Oto twój złoty grot! Edytuj Uwaga Powiedzies ty, powiedzies nas Na ten słoneczny szlak, Gdzie kwitnąć sercom i pieśniom czas, Gdzie szumu czeka uśpiony las, Gdzie czeka lotu ptak! Powiedzies ty, powiedzies świat W zwycięski pochód twój, Gdzie z prochów świeży wykwiła kwiat, Gdzie brzask wybucha z za nocy krat, Gdzie stoczysz życia bój! — Powiedzies ty, powiedzies nas, Na ten słoneczny szlak, Gdzie kwitnąć sercom i pieśniom czas, Gdzie szumu czeka uśpiony las, Gdzie czeka lotu ptak! — fragment utworu Marii Konopnickiej (1842–1910) pt. *Podwiośnie*. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>chojar (daw.) — stare drzewo iglaste. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>chrám — dawna świątynia pogańska. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Leta a. Lete — w mitologii greckiej rzeka zapomnienia. [przypis edytorski]

— Roi się od zarybku<sup>55</sup>. Widzicie, na piasku chmara! — zauważył Żuraw. — O, i kaczor zielonogłowy tam, pod łożą.

Zwierzęta, napojone, podniosły ociekające wodą nozdrza, rozejrzały się. Zarżała klacz, targnęła postronek Hatora — czuły już swe letnie pastwiska. Nawet Kuba, na ramieniu Rosomaka się rozsiadłszy, mierzył okiem odległość do pierwszej brzozy za wozem i ledwie z brodu się wydostali, dał susa i już był na szczycie.

Ludzie zeskoczyli. Puszczono na wolność Hatorę. Rosomak wziął klatkę z przezi-mowanymi kuropatwami i koszyk z zającem, który też pod opieką Pantery chował się w domu. Wypuszczony szarak nie bardzo się kwapił do ruchu; stanął słupka, powęszył, słuchy<sup>56</sup> nadstawił, obejrzał się na człowieka i powoli pokicał ścieżką wśród wrzosowisk. Kuropatwy, jak szare kulki, ruszyły rzędem za nim.

— A nie zlorzeczcie ludziom, choć wy niebogie<sup>57</sup> zwierzęta-męczennicy! My waszej niedoli niewinni — szepnął Rosomak.

Gdy do wozu wrócił, był sam. Towarzysze, porwani szałem swobody, pognali na piechotę. Kuba im towarzyszył wierzchołkami drzew, klacz ruszyła też już zupełnie bez drogi, w wiadomym sobie kierunku.

Dopędził ją Rosomak i szedł obok pieszo, kierując tak, by wóz o drzewa nie zaczepił; ale i on był czymś innym zajęty.

Czytał historię zimy swego kraju.

Tu już znał każde drzewo, każdy kęś ziemi i wszystko witał jak najmilsze towarzystwo. Las, który dlań nie miał tajemnic, opowiadał, pokazywał, chwalił się i skarżył.

Oto sosna ze starym gniazdem rabusia krogulca; a oto druga, co się wygięła i okaleczyła, zdeptana kiedyś za młodu; a oto brzoza z ogromną czeczotą<sup>58</sup> i olbrzymia jarzębina, którą nazwali Krasawicą<sup>59</sup> — tyle miewała koralu jesienią. I piorunem na pół rozdarty grab, co się po ciosie odmładzał, czerniejąc smugą przepołowionego pnia. I oto brzoza, zwalona ciężarem zimowej okiści<sup>60</sup>; i pękata wierzba z dziuplą, w której już gospodarzyły dzikie pszczoły. I oto olbrzymie mrowisko, już rojne — państwo wielkich, czarnych borowych pracowników, usłane białymi grudkami żywicy i ze śladami zimowego grzebania cietrzewi. A oto wykrot olchowy, pełen dziur, szczelin, przepaści, korzeni, wydartych do połowy z ziemi mocą huraganu — kryjówka węzów i żmij.

Bór gwarzył cichutko. To znów słyhać było, jak dyszał potęgą odrodzenia wiosny, a człowiek, zapatrzony, zasluchany, zatracił się w tej wielkiej, potężnej całości i czuł, że te siły ogarniały go, że sam się staje potęgą, że w nim gra, śpiewa, tworzy, rośnie moc przyrody.

Za brodem grunt się podnosił. Osiedle leśnych ludzi było jakby wyspą wśród nizin, błot, bagien, porżniętych siatką rzeczulek, porosłych nieprzebytymi chaszczami.

Na wyspie tej, żywej bajecznie, bujała puszcza w całej sile wzrostu. Śmigaly ku słońcu brzozy jak tanecznicze smukłe, zielone swe gazy kołysząc, mały się graby urodziwe jak parobczaki<sup>61</sup>, parły się jedne przed drugimi do nieba olchy, jesiony, dęby, lipy, jarzębiny, klony, a dołem jak snopy leszczyny, kaliny, czeremchy, kruszyna, aż zupełnie przy ziemi stały się zwały malin i jeżyn. Na polankach w borze białe było od zawilców i wypuszczała pędy trawa jak tło kobierców, które lato tkać miało. Przeciągły okrzyk towarzyszy zbudził z zachwytu Rosomaka; spojrzął na słońce i z lekka trącił żerującą klacz.

— Do chaty, Łatana Skóro! Nam się też obiad należy. O, jest i posłaniec!

— Chr, chr — ozwało się wśród gałęzi i Kuba mu spadł na ramię, otarł się o policzek i już był w kieszeni po orzechy.

W lewo, w prawo, pod warkoczami brzóz, przez wieńce i bramy z kwitnącej czeremchy, aż zaczerniał wielki krzyż dębowy z figurą pod daszkiem i roztoczyła się szeroka polana, ścianą boru odcięta, a w jej głębi chata leśnych ludzi.

<sup>55</sup>zarybek — ryby wpuszczone do wody dla zarybienia. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>słuch — tu: ucho zająca. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>niebogi (daw.) — nieszczęśliwy. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>czeczota a. czeczotka — drewno o złocistym kolorze i wielu słojach. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>krasawica (daw.) — piękność, piękna dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>okiść — śnieg przymarzniony do gałęzi. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>parobczak — młody, silny parobek. [przypis edytorski]

Ściany złościły się patyną żywczych bali i jak koronka snuły się po nich pnące róże i wino. Niska, dostatnia, z podniesieniem wygodnym, ale jeszcze po zimowemu zamknięta, zabezpieczona okiennicami.

Przed nią był ogródek otoczony płotem, „wirydarzyk<sup>62</sup> Żurawia”, który tam hodował różne leśne kwiaty, starannie uzbierane i przesadzone, a lipa ocieniała ją nieco od skwaru południa.

Pantera i Żuraw czekali u furtki i wnet zaczęli raport.

— Kos ma gniazdo w winie, przy ścianie. Modraczka mieszka w skrzynce na lipie. Konwalie się wytykają. Żmije znaleźlim w podsieniu<sup>63</sup>. Jeść się chce!

Małomówny Rosomak wyłożył<sup>64</sup> kłacz, zawiesił uprząż na kołku pod dachem i wtedy dopiero wydobyl klucz i otworzył chatę. Wionęło na nich chłodem zimowego wnętrza. Minęli sień; za nimi do izby weszło słońce i ozłociło glorią koronę Częstochowskiej Pani, królującej na ścianie wprost drzwi.

Odkryli głowy i Rosomak powitał majestat<sup>65</sup> narodu pierwszym słowem i pokłonem:

— *Salve Regina Mater misericordiae, vitae dulcedo et spes nostra! Salve!*<sup>66</sup>!

Trójgłos zgodny, uroczysty, radosny napelnił izbę.

Potem Rosomak zapalił lampkę przed obrazem. Żuraw położył na stole bochen chleba. Pantera zdjął sztaby okiennic. Wiosna całą barwą i ciepłem wionęła do izby.

— Oho, kwaterunek zimowy nie chybił! — zaśmiali się.

W jednym kącie na ławie myszy leśne zbudowały gniazdo wielkości snopa, w drugim rozpościerało się pod ławą mrowisko. Zaczęto wypraszać intruzów, a Żuraw zabrał się do przygotowywania posiłku. Dym wybiegał na dach — chałupa ożyła.

W otwartym oknie siedział Kuba, przypatrując się robocie. Kitę miał na głowie zadartą jak pióropusz i udając głodnego, gryzł szyszkę, wypluwając ogryzki na czołgających się pod ławami ludzi.

Ale że oni, bardzo zajęci, nie zwracali uwagi, zajął się Żurawiem.

Ten, nastawiwszy garnki w kuchni, zabrał się do rozpakowania wozu i znosił worki i supelki, garnki i pudełka do spiżarni w sieni. Podobało się to Kubie. Wszystko obwąchał, spróbował, przeprowadził, wreszcie wynalazł pudełko ze słonecznikowym ziarnem i bez ceremonii zaczął je przegryzać.

— Nie psuj — usunął go Żuraw.

Na to się Kuba rozjuszył.

— Moje, moje, moje! — zaskrzeczał.

— Twoje, ale nie na teraz. W skórze się nie zmieścisz, obżartuchu!

— Moje! Dawaj! — wrzeszczał Kuba.

— Nie dam, łakomczuchu! — zniecierpliwił się Żuraw.

Nastąpiło kotłowanie, rejwach<sup>67</sup> i nagle ze spiżarni wyleciał Kuba rozfukany, z nastrozonym pióropuszem, wdrapał się na szczyt lipy i stamtąd skrzeczał i krzyczał.

— Co się stało? Co Kubie za krzywda? — zawołał Rosomak troskliwie.

— Krzywda! Właśnie! — odparł Żuraw. — Zepsuł trzy worki, pogryzł pudełko, ukąsił mnie w ucho, a teraz krzyczy: „Ratunku!”. Kończcie, bo krupnik gotów!

— Oj, i moje kiszki gotowe! — wyprostował się Pantera. — Przepłoszyliśmy mrowie, zamietliśmy, reszta na potem! Jeść!

— Najpierw domownicy! — przypomniał Rosomak.

— Prawda! — zakrzętnął się Pantera.

Rzucił się do spiżarni, do sieni i wyniósł przed furtkę dwa pełne wiadra — jedno kartofli, drugie owsa. Wtedy zdjął ze ściany w izbie trąbkę i zagrał pobudkę.

Dźwięk uderzył w ciszę, poleciał w las, rozdygotał powietrze, a był to sygnał dobrze widać znany, bo odpowiedziało mu rzenie i daleki odgłos kołatki Hatory. Oparci o płot,

<sup>62</sup>wirydarzyk a. wirydarz (daw.) — mały, ozdobny ogród. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>podśienie — daszek na słupach nad wejściem do budynku. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>wyłożyć (daw.) — tu: wyprzęgać, zdejmować uprząż z konia. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>majestat — tu: monarchini, królowa (w odniesieniu do Matki Boskiej). [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Salve Regina Mater misericordiae, vitae dulcedo et spes nostra! Salve (łac.) — Witaj Królowo, Matko Miłosierdzia, życia słodczy i nadziejo nasza, witaj! (fragment pieśni katolickiej ku czci Madonny). [przypis edytorski]

<sup>67</sup>rejwach — hałas, zamieszanie. [przypis edytorski]

leśni ludzie czekali. Pierwsza podążała klacz i parszając z uciechy, zanurzyła łeb w obrok. Bardziej flegmatycznie nadciągała Hatora. Pantera przykucnął u jej boku ze skopkiem<sup>68</sup>.

— Pięknie proszę o „mlimli”, Hator<sup>69</sup>! A nie żałuj, bośmy zdrożeni i świeżo osiadli! — przemawiał do niej przypochlebnie.

— Obiad na stole! — zawołał Żuraw z izby.

Na białym stole klonowym pod obrazami leżał bochen chleba, parowała misa pięknie malowana, leżały drewniane łyżki.

Gospodarny Żuraw już nawet wiązką kaczeńców ozdobił nakrycie. Zajęli swe miejsca na ławach i jak ludzie rzetelnie głodni czerpali z misy w milczeniu. Asystował Kuba, próbując każdej kromki chleba, aż z niesmakiem otarł pyszczek o rękaw Rosomaka, skoczył na ramę okna i zabrał się do południowej drzemki.

„Stanowczo ludzie jadają niesmaczne rzeczy”, pomyślał z grymasem, przymykając oczy.

Gdy łyżki zagrzechotały po dnie misy, Rosomak rzekł:

— Ja zaraz czółnem ruszę, rybne tonie zobaczę i kosze zastawię. Pantera obejrzy i do porządku doprowadzi stajenkę dla domowników. Żuraw chałupę do reszty wyczyści i sprawdzi warzywnik. Jutro wszyscy razem grzędę skopimy i obsadzimy.

— Przede wszystkim ja bym rad zmienić skórę — rzekł Pantera, patrząc po swym ubraniu.

— Ano, idźcie do komory i przebierajcie się, ja tylko fajkę wypalę! Chodaki też trzeba namoczyć.

Komora była za sienią, szeroka i widna. Tam też nocowali Rosomak z Żurawiem. Pantera miał swe posłanie w alkierzu<sup>70</sup> za izbą.

Gdy leśni ludzie wrócili do izby, byli zmienieni zupełnie. Mieli na sobie tylko szare płótno, na nogach lekkie lipowe chodaki; pas rzemienny z nożem w pochwie obciskał luźną kurtkę; na głowie filcowy kapelusz.

— Dopiero teraz las nas za swoich uzna! — zaśmiał się z uciechą Pantera, biorąc siekiere i zabierając się do swej roboty około stajenki. Żuraw zaczął zmywać statki<sup>71</sup>, więc się i Rosomak ruszył.

Przebrał się i on, rozprostował z rozkoszą członki, wyładował z wozu swoją osobistą skrzynkę, pełną książek zoologicznych, przyrządów do kolekcji przyrodniczych, i tysiące drobiazgów, których do studiów używał i strzegł jak oka w głowie.

Potem umieścił wysoko w podsieniu u pułapu stary rękaw od kozucha, nocne mieszkanie Kuby. But z Tupciem położył u węgła. Wreszcie obładował się koszami na ryby, wziął wiosło i siekiere i poszedł do czółna. Miało ono swą przystań za krynicą, pod starą olchą nad strugą. Rosomak wylał z dna deszczową wodę, władował kosze, odczepił łozową wić i odbił od brzegu.

Droga była bezkresna, bo błotne obszary zalane zostały wodą i płynąć można było gdzie wola, wśród łoż ledwie zieleniejących i młodych pędów szuwarów. Na wodzie słał się „czarnyglów”, ulubiona wiosenna pasza Hatory i klaczy, toteż je spotkał żerujące, po brzuch w wodzie.

Podniosły łby i rozmówili się „po leśnemu”.

— Dobrze, zdrowe! — parsknęła Łatana Skóra.

— Trochę za wodniste! — zamruczała Hatora.

Pogłaskał je z czółna i ostrzegł:

— A pamiętajcie, żeby nie iść do topieli za krynicę, skąd was wywlekliśmy na sznurku zeszłego lata. I nam, i wam mało brakowało do śmierci wtedy. Pamiętajcie, łakomczuchy!

Chmary błotnego ptactwa rajcowały nad tą płytką wodą. Hryce, czajki, kuliki, bekasy wrzask czyniły weselny; miodem pachniały złote kiście łozowe, balsamem pękające brzozy i olszyny. Wiosło zgarniało złote kaczeńce i kępy wodnej mięty, a słońce, cuda czyniące, śmiało się do swego dzieła.

<sup>68</sup>skopek — dawniej drewniane wiaderko na mleko. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>Hator — taka wersja imienia w tekście źródłowym jest zapewne zamierzona, wzmacnia bowiem jeszcze skojarzenie imienia krowy z postacią ważnej egipskiej bogini Hathor, związanej między innymi z macierzyństwem. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>alkierz (daw.) — boczny mały pokój, niewielka sypialnia. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>statki (daw.) — naczynia. [przypis edytorski]

Rosomak dopłynął do chruścianego płotu rybackiego, a poczuwszy grunt, czółno o kołek wicią zaczepił i wszedł w wodę.

Zrewidował, brodząc, całość płotu; szczeliny łożą obetkał i w gardzieli, którądy nurt biegł, kosz zastawił.

Nie spieszył się, robił powoli — obserwując, zachowując praktyki rybackie, wnioskując o połowie wedle spostrzeżeń różnych, robotą swą tak zajęty jak skrzydlate rybołowy krążące nad nim bez trwogi.

Bo leśni ludzie znali zasady obcowania z naturą. Unikali gwałtownych ruchów, hałasu, płoszenia, gonienia, trwogi.

W chałupie była strzelba na wszelki wypadek, ale ten zdarzał się niesłychanie rzadko — chyba że sąd nad niepoprawnym zwierzęcym zbrodniarzem. Z kołatką Hatory, z trąbką obiadową zwier i ptak oswajał się rychło i wiedział bór cały, że ze strony tych trzech ludzi nie nadejdzie żadna napaść ani krzywda.

Szara, mała łódka, szary w niej człowiek, garnący wodę powolnym ruchem wiosła — był to obraz znany ptactwu, codzienny, pospolity, tak że czajki nie urządzały swych forteli<sup>72</sup>, by go od gniazda odprowadzić, a stadka cyranek żerowały niestrwożone przy szlaku łodzi.

Rosomak założył drugi kosz i trzeci, opłynął najlepsze tonie i zatoki, przepatrzył różne rybie kryjówki, odnowił zeszlenczone znajomości ze współtowarzyszami leśnego bytu i zupełnie o czasie zapomniał.

Bobrował<sup>73</sup> właśnie po zakątkach jeziora, w które się ruczaj rozlewał u wzgórz piaszczystych na zachodzie, gdy nagle rozdarł powietrze drapieżnie wielogłosy okrzyk przeciągły.

Była w tym chrapliwość bojowych starodawnych surm<sup>74</sup> i jakby wołanie i odzew strażniczej czujności.

— Hej, czuj, stróżuj! Hej, czuj, stróżuj! Wieczorne tuż zorze, wieczorny tuż czas! Hej, czuj, stróżuj!

To z błot niedostępnych dawały wieczorny sygnał żurawie-wartownicy.

Rosomak spojrzawszy na słońce i posłuszny hejnałowi zawrócił łódź ku chacie.

Czuby drzew były już czerwonożłote, z ziemi wstawały srebrne mgły, ptactwo śpieszyło to z posiłkiem, to z ostatnim źdźbłem na gniazdo, bo czas nadchodził wieczornych pacierzy i spoczynku.

„Spóźnię się!”, pomyślał Rosomak, bo śpieszyć się nie mógł, by nie płoszyć i nie trwożyć reszty mieszkańców.

A hejnał leciał po trzykroć, coraz bardziej przeciągły, stanowczy.

— Wieczne już zorze! Wieczorny już czas! Hej, czuj, czuj!

Zawrzało całe błoto rechotem kum-żab, zielonogłowe kaczory poczęły pluskać na szersze wody i chrapliwie się wabić; mgły zakolysały się do tańca, ruczaj się pomarszczył od żerujących ryb; górą na niebie białe obłoczki, jak róże, zakwitły; drozd śpiewak na szczycie olszyn począł wydzwaniać na pacierze. Wieczór był!

Gdy Rosomak przybił do chatnej polany, i tam panował ruch kończącego się dnia.

Żuraw z Kubą na głowie wracał z wiadrami z krynicy, Pantera w obórcie rozprawiał się z Hatorą, klacz przed furką dopominała się wieczornego obroku.

— Witajcie, wodzu! Nie mogliśmy się doczekać!

— Abo co?

— Bo mamy mnóstwo nowin. Na strychu zimowała sowa i dotąd mieszka: pełno mysich skórek. Kuśnierz niecnota!

— Pewnie też nie brak piór sikorek. Trzeba ją będzie wyprosić.

— A w obórcie jest ten sam wąż wodny; wyrósł z pół łokcia<sup>75</sup>.

— W trzech skrzyniach przy chacie już osiedliły się bogatki, a w jednej krętogłów.

— Nasza dzika grusza biała jest jak panna młoda.

— Orzechów będzie mnóstwo. Leszczyna czerwona od kutasików!

— We wrzosach przy warzywniku cieciora siedzi na sześciu jajach.

<sup>72</sup>fortel (daw.) — podstęp. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>bobrować — przeszukiwać, poszukiwać czegoś. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>surma — instrument używany dawniej w wojsku do sygnalizacji dźwiękowej. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>łokieć — tu: dawna miara długości. [przypis edytorski]



— Tupcio już poszedł na swój chleb.

— Pszczoły żyją w barci; mocno chodzą.

Stanął Żuraw z wiadrami. Z obórki wyszedł Pantera ze skopkiem mleka, przyszła do kompanii klacz i gwarzono na środku polany. Łatana Skóra powtarzała wciąż jedno: „Obroku, obroku, obroku!”

— Zapchajże jej gardło, Pantero! — zaśmiał się Rosomak.

— Ale! Tej sztuki nikt nie dokaże. To nie brzuch, to otchłań! Chodźże, beczko bezdenna!

— Olaboga! Woda mi kipi! — dosłyszał Żuraw i kopnął się do chaty.

Rosomak wziął w ręce zaspanego Kubę i wsunął w rękaw u pułapu. Zaskrzypiały wierzeje stajenki za kłaczą, chwilę słychać było rąbanie szczap i brzęk statków w izbie. Powoli cichły odgłosy pracy i starunku<sup>76</sup>. Na niebie gasły zorze zachodu.

Ale oni się nie kwapili do izb i jadła.

Wokoło po wszystkich drzewach i krzakach, łożach i szuwarach, po wodach, ziemi i niebie rozpoczynał się ostatni akt dnia i wieczorne wszelkiego stworzenia pacierze.

W podsieniu swego gniazda leśni ludzie usiedli na dębowej podwalinie — zapatrzyli się, zaszuchali, zamilkli.

I z cicha Rosomak zaczął:

— Pochwalony bądź, Panie, coś te cuda uczynił. Pochwalony bądź i błogosławiony głosami i sercami nas tu wszystkich, w borze żyjących. Dzięki Ci, Panie, za to niebo pogodne, za dzień słoneczny, za zieleń drzew, za ten wieczór, za życie! Świć się Imię Twoje w tej ptasiej pieśni i w naszej duszy, ku Tobie otwartej, jako te ptaki i kwiaty. I Królestwem Twym niech będzie ten zakątek, a wolę Twą uszanujemy, jako ją szanuje wszelkie stworzenie, uznając Twą mądrość, moc i miłość. I ufni jesteśmy, że jako mrówce i kwiatom, tak i nam pożywienie zgotuje słoneczny dzień jutrzejszy na Twe rozporządzenie. A winy nasze wybaczej, Panie, bośmy przed Tobą głupi i mali, i przeto grzeszni! A nie daj nam, Panie, złą myślą lub czynem zakłócić tego bezludzia, gdzie rządzi Twoje tylko przedwieczne prawo i ład. I zachowaj nas, Ojcze, jako robaczka w dłoni, bezpiecznie!

— Amen, amen, amen! — świergotały ptaszki, szemrały brzozy, ćwierkały owady i stłumionym szepciem potwierdzili leśni ludzie. Cichło wszystko, pociemniały tajemniczo gąszcze, gasły barwy.

Ale znad drzew wystąpił sierp miesiąca i osrebrzył oblicze Chrystusowe na krzyżu, który od dołu w mgły wtulony, zda się, nad ziemią płynął jak zjawisko.

Ochłodzone rosą powietrze wionęło wonią miodu i balsamu, na brzożkę przy krynicy zleciał słowik-lutnista, żabie kapele uderzyły w basetle; bez szelestu krążył nad polaną lelek, polując na ćmy... Ukojona w ciszy wielkiego spoczynku zeszła na ziemię noc.

I tak skończył się pierwszy dzień bytu leśnych ludzi.

## DZIEŃ CHYŻEJ PANTERY

Pantera sypiał w maluchnym alkierzyku za izbą, ale tej pierwszej nocy budził się co chwila, wyglądając ranka.

Zrazu z izby widział tylko rubinową lampkę przed obrazem, ale rychło otwór okienny zaczął się rozjaśniać nadchodzącym świtem, więc leżąc bezsennie, słuchał, kto się pierwszy obudzi.

Słyszał bełkotanie cietrzewi, żalosne „pau, pau” lelków, dalekie pobekiwanie kozłów, chichot sowy i rozelkane, namiętne trele słowicze — pieśń nocy.

Wreszcie odróżnił inną śpiewkę.

— Ledwuchna zaczyna! — szepnął.

Jakby na dany sygnał, słowik ścichł. Basetle-żaby podtrzymały dalej swój wtór, ale już z kryjówek ozwało się pojedyncze ćwierkanie: „Czy już, czy już?”

I nagle z błot uderzył ranny hejnał żurawich stróży.

— Hej, świt, luzuj, luzuj. Bywaj, na dzień! Pan idzie na świat! Hej, czuj, hej, świt!

Trysnął od razu cały tysięczny chór: „Świt, świt! Pan jest! Życie, życie!”. Las witał dzień.

<sup>76</sup>starunek (daw.) — opieka, staranie się. [przypis edytorski]

Pantera się zerwał i w bieliźnie, bosi, wyskoczył oknem.

Polana była wybrukowana opalami rosy; powietrze wilgotne, wonne, ciepłe. Ptaki chędożyły<sup>77</sup> pióra, przeciągały skrzydła, leciały do wody.

Pantera też rozprężył ramiona, otarł twarz wilgotną gałęzią brzozy i pobiegł do ruczaju, do kąpieli.

Gdy wyszedł z wody, wytarzał się w trawie, pobiegał po łące i czerwony jak rak wrócił do chaty.

Z gniazda swego u pułapu wysadził pyszczek Kuba, ale tylko ziewnął i schował się na powrót.

— Maczałbym szubę w takiej rosie! Dobrze to dla gołych — zamruczał lekceważąco.

Pantera się ubrał, wziął skopek do dojenia i poświstując, poszedł do swych obowiązków. Wypuścił klacz i zbudził Hatorę.

Stalowszary wąż wodny ogrzewał się u jej boku i ledwie się nieco przesunął, gdy krowa wstała.

— Kis, Kis! Chcesz mleka? — przemówił doń Pantera; chciał zapewne, bo czekał, asystując.

Hatora, oddawszy swym opiekunom daninę, poszła za klaczą. Pantera nalał nieco mleka w skorupę garnka.

— Masz, Kis, Kis! I marsz po żaby! — rzekł do węża i postawił mleko w sieni do dyspozycji Żurawia; zajrzał przez szczelinę do komory, ale było tam ciemno i cicho. — Ot, śpiochy! Z tego miejsciska przywożą tylko złe obyczaje. Wstyd przed całym lasem. Ale dla mnie to w deseń!

Usiadł na przyzbie<sup>78</sup>, wzięł chodaki, schował do kieszeni kawał chleba, zatknął za pas siekiere, spod strzechy obórki dobył jakieś zawiniątko i ruszył do czółna.

Ale po drodze strzelił mu do głowy figiel. Złapał żabkę, wrócił do izby i wpakował ją do pudełka od herbaty.

„Żuraw dopiero skoczy, jak mu bestia pryśnie do oczu”, pomyślał.

Teraz kolej na wodza. Pantera ruszył czółnem do koszów rybnych i każdy naładował jakimś cudacznym przedmiotem przywiezionym w zawiniątku: do jednego włożył koński czerep, do drugiego — stary kalosz, do trzeciego — wypchaną króliczą skórkę. I chyłkiem czółno do przystani odprowadził.

W chacie już był ruch; rozmawiali, dym walił kominem, pachniała kawa.

Chwilę się Pantera zawahał. Wódz kazał kopać warzywnik, ale on tylko trochę w las poleciał, kąty obejrzy, wyhula się, no i wróci z jakąś nowiną i zdobyczą. I pognał! Przedzierał się przez najgęstsze łozy, prześlizgiwał się pod zwałami, tacał się po kobiercach z zawilców, przedrzeźniał ptaki, gwizdał, śpiewał; wypłoszył z legowiska sarnią rodzinę i chwilę ją gonił.

— Ot, na kark skoczyć, za rogi uchwycić i gnać, gnać! — szepnął wreszcie zziązany, bez tchu, patrząc, jak sadyły przez moczary; legł pod brzozą, poczuł głód, pragnienie i rozkoszną senność.

Chleb miał, wody nie brakło, ale jako smakosz brzozę zaciął, czarkę z kory wygiął i chleb sokiem popijał.

— Leniwie się sący. Poszedł w paki! — Ziewnął wreszcie, wyciągnął się i zdrzemnął.

Zleciały się zaraz ciekawe sikory, obejrzały go i wróciły do roboty. Parę zięb budujących gniazdo na tejże brzozie udawało chwilę, że tylko w przelocie tam się znalazły, ale uspokojone dalej kleciły kunsztowny domek. Tuż niedaleko bekas zapadał<sup>79</sup>, pobekując. Słońce wytoczyło się wyżej i zbudziło śpiocha. Spojrzał na niebo, na cień drzew i zerwał się.

— Dziesiąta godzina! Oni pewnie przy robocie. Nie pokażę się bez jakiejś zdobyczy. Ale co?

Zaczął szukać. Zaraz dojrzał podwaliny ziębiej chałupy, ale to nie było nic osobliwego. Po chwili myskowania znalazł na kępie dwa jaja bekasa — także pospolitość! Wreszcie wypatrzył na dalekiej brzozie wśród błota żółty bukiet jemioly.

— Aha, to dostanę! Wódz chciał w chałupie powiesić. Jazda!

<sup>77</sup> chędożyć (daw.) — czyścić, sprzątać. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> przyzba — wał ziemny wokół chaty wiejskiej. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> zapadać — tu: o ptaku, który przyleciał i usiadł gdzieś. [przypis edytorski]

Wody w bagnie było za mało na czółno, a o krok od lasu zaczynała się topiel.

Trawy i kępy tworzyły tylko cienką skorupę, która pod stopą się chybotwała i rozdzierała. Trzeba się było czolgać.

Pantera naciął łozy, związał w pęki i umocował pod pachami na piersi. W rękę wziął długi drąg, położył się i rozpoczął awanturniczą przeprawę.

Czolgał się, nogami i łokciami odpychał, zapadał w szlam, kaleczył się o szuwary, darł bieliznę, wypluwał wodę i błoto i po trudach nieludzkich dobrnął na miejsce.

Był zlany potem, ociekający wodą, czarny od szlamu i już prawie bez odzieży — ale zwycięzca. Zaraz się wdrapał na brzozę i siadł konno na gałęzi; dał się słońcu osuszyć, a wiatrowi ochłodzić i rozejrzał się.

— Głupiec ze mnie! Trochę w prawo jest garb i grzebień z łozy. Wróć jak szosa! Ale stąd widać i żurawie leże! Ot, krąż! Trzeba się będzie do nich dostać tego lata. To będzie wyprawa!

Wyrałab jemiołę i zabrał się do odwrotu. Owa „szosa” była o tyle wygodna, że na „garbie” tylko dwa razy zapadł się po szyję, a na „grzebieniu” z łozy zostawił resztki garderoby i — prawie tylko w czarny szlam odziany — stanął na twardym gruncie.

Wtedy, widząc, że jest blisko południa, pognął do osady.

Po drodze usłyszał trąbkę i spotkał Łataną Skórę, dążącą na obiad, więc na nią skoczył i tak zajechał przed furtkę.

— Jezu, Mario! Leśny upiór, nie człowiek! — krzyknął Żuraw.

— Jemioła dla naszego patrona na pierwszy bukiet! Gwałtu, jak mi się jeść chce! Ucho ci, Żurawiu, odgryzę, jeżeli misy nie ma na stole.

— Zaraz ci tu wyniosę wiaderko, brudasio! — rzekł, śmiejąc się, Rosomak.

Pantera zeskoczył z klaczy, fiknął parę kozłów i — trochę na nogach, a przeważnie na rękach i głowie — pognął do kąpieli.

— Ciśnijcie mi, wodzu, tu, w krzaki, świeży garnitur. Rozumie się, że do obiadu należy się przebrać. Białe krawaty, smoking, gardenia w butonierce! A jakże! Hatorę pod rączkę do stołu poprowadzę!

Kopał się, pluskał, szorował, przebierał — a wciąż myślał, czy Rosomak był przy koszach. Zapytać było nijak, a po ich minach, gdy zasiedli do misy, nic nie mógł poznać.

Mówił każdy o swoich zdobyczach: Żuraw znalazł rzadki kwiat — obuwik. Rosomak wypatrzył gniazdo krogulca. Skopali parę zagonów na kartofle, mieli jutro sadzić warzywa.

Po obiedzie odpoczęli godzinę i już we trzech poszli do roboty. Grzędy pod warzywa wykarczowali już parę lat temu, więc ziemia była pulchna — piękny czarnoziem nad ruczajem, chroniony płotem przed łakomstwem Hatory.

Pantera kopał zajadle, założywszy sobie, że nadrobi ranną „fugę”<sup>80</sup>. Słońce grzało, pot im wystąpił na koszule. Wreszcie miało się ku wieczorowi.

— Nie zrewidujecie koszów, wodzu? — spytał nareszcie Pantera.

— Właśnie chciałem ci rzec, byś mnie wyręczył, bom się bardzo zmachał kopaniem.

— A kiedy ja... To jest... Mnie... Ja nie wiem, gdzieście zastawili — wykręcał się.

— Gdzież by? Tam, gdzie zwykle.

— Kiedy... Bo... Może do jutra poczekać?

— Nie, właśnie pora! Dogódź sobie! Lubisz bobrować!

Nie było sposobu odmówić. Skrzywiony Pantera poszedł do czółna. Niespodzianki swoje znalazł w koszach i z irytacją powyrzucał. Figiel był chybiony, tylko po dziś dzień Pantera się nie domyśla, czy chytry Rosomak był rano przy koszach czy nie. W każdym razie — zgodnie ze swym przewiskiem — nie dał się w pole wyprowadzić. I to zatrulo dzień Panterze.

Wrócił bez humoru do przystani, rzucił do wiadra pęk nawleczonych na łożinę szczupaków — zdobycz rybną i resztę dnia spędził, piorąc mozolnie swe pobrudzone szlamem szmaty.

<sup>80</sup>*fuga* — tu: ucieczka. [przypis edytorski]

## DZIEŃ CZUJNEGO ŻURAWIA

W komorze, gdzie sypiali we dwóch, okiennica była zamknięta i koncert ptasi budził Żurawia. Wpół drzemiąc, rozkoszował się muzyką, ale się nie zrywał, bo czekał na rubinowy sygnał.

Wschód słońca uderzał w okiennice i prześwietlał żywiczne sęki jakby latarki czerwone. Wtedy Żuraw wstawał.

Szedł zaraz z wiadrami po wodę do krynicy i czytał znaki na polanie.

Ślady znać było na srebrze rosy: okrągłe kopyta klaczy, podługne racice Hatory, lekkie stopy Pantery. Od obórki wił się, jak tasiemka, ślad węża.

Kis wypijał mleko i szedł na łowy. Ale miał zwyczaj skręcać do źródła i Żuraw go tam często spotykał. Wysoko wzniesiony nad wodą, przeglądał się jak w zwierciadle, kołysząc się zalotnie.

— Gdzie też próżność nie mieszka! — filozofował Żuraw ubawiony. — I ten się sobą zachwyca. Dobrze, że tu Ewy nie ma!

Wracał z wodą, rozpałał ogień, sprzątał izbę i szedł do kąpieli. Gdy się wypucował i ubrał, zastawał zwykle w izbie całą kompanię przy śniadaniu.

Wtedy rozważano robotę dzienną.

— Ja muszę ukosić szuwarów na ściółkę — rzekł Pantera. — Lada dzień będziemy mieli urodziny. Gadałem z Łataną Skórą: córki się spodziewa.

— Będzie jej pewnie Sroka na imię.

— Ja muszę być aż za Proszalną Brzozą, lizawki<sup>81</sup> dla saren zrobić — rzekł Rosomak.

— Może byś poszukał raków w jezioru, Żurawiu?

— Chyba po południu! Jeszcze ogródka nie doprowadziłem do porządku i mam kram z mlekiem.

— To mi daj soli w torbę i zostań zdrów!

Wzuli buty. Pantera kosę wytoczył i poszli.

Żuraw statki pozmywał i zabrał się do swych ukochanych roślin. W małym ogródku przy chacie zabawiał się w aklimatyzację kwiatów leśnych. Przynosił z puszczy storczyki, dzwonki, amarantowe gladiolusy, rutewki, gruszycki, spiree, walerianę i miał to wszystko pod amatorską pieczę.

Wyciągnął się obok grządek i oglądał plantację, gdy posłyszał szelest u płotka.

Usunął się szybko z obawy przed żmiją, ale ujrzał zdziwiony Tupcia.

— Dlaczego Tupcio nie śpi o tej porze?

Jeż podniósł ryjek, jak mógł najwyżej, a człowiek leżał — byli zatem w pozycji do pogawędki.

— Może Tupcio głodny?

Nie, sądząc z tuszy, raczej był obżarty.

— Ale twarożku Tupcio zje? Prawda?

Wilgotny ryjek dotknął ręki. Miał jakiś interes, ale trzeba się było domyślić.

Pogłaskał go Żuraw po łagodnie złożonych kolecach.

— Przyjdzie Tupcio do izby, są świeżutkie rybie wątróbki.

Wstał i obejrzał się. Tupcio sunął powoli i kulał, więc go wziął na ręce i obejrzał.

Tyłna nóżka Tupcia była spuchnięta, a gdy jej dotknął, jeż zaczął fukać i drzeć. Żuraw usiadł na przyzbie i kończynę starannie zbadał. Okazało się, że cała stopka była oplątana włosiem, które się wżarło w ciało i spowodowało obrzmienie.

Odbyła się operacja, widocznie bardzo bolesna, bo Tupcio fukał i nóżką targał, a nawet w najgorszej chwili ukąsił Żurawia, ale się nie jeżył i nie skręcał. W końcu, gdy poczuł ulgę, rękę człowieka malutkim jęczyzkiem liźnął.

Dostał potem obiecane rybie wątróbki i o ile to było możliwe, jeszcze napęczniał, tak że z trudem wsunął się w cholewę buta i fuknąwszy na pożegnanie, zasnął do wieczora. Kuba przyglądał się operacji z okna, gdzie się na słońcu wygrzewał.

„Także gust!”, myślał. „Taki cudny czas przespiać w jaskini. Rozumiem, że to się robi zimą, ale teraz? Idiota!”

<sup>81</sup>lizawka — specjalny pojemnik dla łownej zwierzyny, zawierający mieszanek soli mineralnych. [przypis edytorski]

Żuraw spojrział na słońce i zabrał się do gotowania obiadu. Na skrzyp drzwi od spiżarni Kuba się też przysunął. Żuraw był rozczulony jego przywiązaniem, ale po prawdzie Kuba, wskutek życia w dostatkach i bez troski pędzonego, stał się skończonym typem sybaryty<sup>82</sup>.

Wstawał późno i dla nabrania apetytu trochę fikał po lipie. Przez parę pierwszych dni dawał się namówić Rosomakowi lub Panterze na spacer do lasu, ale przekonał się wkrótce, że orzechów nie było na leszczynie ani ziaren w szyszkach; by obgryzać pączki, był zbyt wielkim smakoszem — zostawiał to hołocie dzikiej.

Wiedział zaś, że pod opieką Żurawia w spiżarni była spora blaszanka z orzechami i druga z ziarnami słoneczników. Zatem nie odstępował przyjaciela, a ten brał snobizm za przywiązanie i pał go, ile tylko Tupcio mógł wytrzymać.

Gdy Żuraw usiadł na przyzbie i obierał kartofle, Kuba ze swymi orzechami ulokował się obok niego.

Słońce podniosło się nad polaną, w rozgrzanym powietrzu bujały pierwsze motyle. Ptactwo nieco ścichło, jak zwykle około południa, i była taka cisza, że jednocześnie Żuraw i Kuba podnieśli głowy na jakiś niezwykle szelest na dębie.

Na gałęzi przy sęku siedziała dzika wiewiórka i gotowa do odwrotu, nieufna, zerkała na pięknego, spasionego kawalera. Kuba nastroszył wąsy, skoczył na płot i wywinął parę koziołków.

— Chr-chr-chr! — zagadali do siebie.

Dzika cofnęła się i poczęła kawalera do siebie wabić; zaczęli się gonić wokół pnia. Rozległy się chichoty, zaczepki, wreszcie popędzili oboje w puszcę po czubach drzew na wiosenne gody.

Gdy leśni ludzie zasiedli do obiadu, Rosomak zauważył brak współbiedniaka.

— Gdzie Kuba?

— Zbałamuciła go ruda zalotnica — odparł Żuraw.

— Także pora! Wszędzie po gniazdach już są małe, a ci się dopiero zabierają za gospodarstwo! — rzekł Pantera.

— Jeszcze biedaka sowa w nocy uchwyci.

— Ja go znam. Nie głupi on, by nocować w wilgotnej dziupli. Wróci do swego rękawa.

— Zgłodnieje niebożętko.

— To mu na zdrowie wyjdzie. Już się w skórze nie mieści, tak go pasiesz.

Zaraz po obiedzie Pantera zaprzągnął klacz do wozu i ruszył po ściółkę. Rosomak popłynął do koszów rybnych. Znowu Żuraw sam został.

Sprzątnął prędko statki, zabawił godzinę nad swym zielnikiem, wreszcie przypomniał sobie o rakach i zaczął zbierać potrzebne do tego połowu narzędzia.

— Właściwie lepiej by było brać je na rybie odpadki, ale tak się biorą na głębinie, z czółna. A że Rosomak czółno zabrał, chyba będę je, brodząc, z pieczar wyplasać — radził się Pantera, który właśnie ze ściółką nadjechał.

— Poczekaj chwilę! Zwiozę resztę i razem pójdziemy. Znam najlepsze pieczary.

— Dziękuję. Pewnieś jakiś figiel dla mnie obmyślił. Dziś już miałem mysz w pudełku z proszkiem do zębów i zaszyte rękawy u koszuli. Dostyc na jeden dzień!

— To nie ja! Dalibóg!

— Więc któż? Może Rosomak?

— Nie, to „domowy”! Pewnieś mu nie postawił miodu w orzeszku na przywitanie!

— „Domowy” też pewnie powiesił wypchaną sowę Rosomaka w podsieniu, tak że nam ptaki spać nie dały od szarego świtu!

— On dziwy umie robić! Straszny psotnik!

— I „domowy” węzową skórę włożył mi do pościeli.

— A nie mógł to wąż skóry zmienić w twoim łóżku? Ty też w nim koszule zmieniasz.

I Pantera, śmiejąc się, popędził klacz.

Żuraw wziął siatkę na obręczy rozpiętą, torbę na raki i poszedł.

Dróg nie było w ich kraju, ale każdy miał w głowie mapkę i nigdy nie błędził, i zawsze szedł najprościej.

Z biegiem czasu przecierali ścieżyny niczym zwierz i nigdy się co do kierunku nie zawahali.

<sup>82</sup>sybaryta — człowiek gustujący w rozkoszach życia, zwłaszcza kulinarnych. [przypis edytorski]



I Żuraw też zaraz z polany zanurzył się w gęstwą łozy. Odnalazł zeszlóroczną kładkę nad wąską topielą, wy dostał się na garb olszyną porosły, przebrodził parę strug, ominął grząskie torfowisko i skierował się jak strzała na wielki dąb na brzegu jeziora, które leżało gładkie, szeroko rozlane, wchodzące w łąd mnóstwem zatoczek. Naprzeciw białeły góry piaszczyste niczym wyspa i znowu tło stanowiła czarna ściana boru.

Pod dębem Żuraw się przebrał — został tylko w bieliźnie i w chodakach. Przewiesił torbę przez ramię i wszedł do wody. Zanurzał się po pas i trzymał się brzegu. Spód był dość grząski, a grunt wybrzeża — pełen dziur i pieczar.

Żuraw co parę kroków siatkę w wodzie zastawiał na dnie, a nogą po tych pieczarach płoszył.

Gdy się podnosił, znajdował w niej wielkie żuki i muł, ale za trzecim razem ujrzał ciemną skorupę i podniesione wojowniczo szczypce.

— Jesteś — rzekł z triumfem, chwytając ostrożnie za grzbiet zdobycz i rzucając do torby.

Ogarnęła go zaciekłość łowiecka. Już nie patrzył ani na toń jeziora, ani na otoczenie, ani na słońce, tylko się zatapiał, podrywał i napełniał torbę. Aż wtem stracił grunt pod nogami i wpadł głową w jakąś bezdenną jamę pod olbrzymią olchą.

Zakotłowało się w wodzie. Jakaś wielka ryba oślizgnęła się po nim. Połknął sporo wody, ale wnet oprzytomniał i wy dostał się na powietrze. Musiał płynąć parę sążni<sup>83</sup>, zanim zgruntował, potem znowu wplaw — łapać kapelusze i siatkę. Wreszcie na brzeg wyskoczył.

— No, tym razem to chyba psota „domowego”.

Pomacał torbę — była pusta. Raki wy dostały się na swobodę.

Wieczór był bliski, opar wstawał z wody, ziąb chwytal przez mokrą bieliznę, ale Żuraw zawzięcie rozpoczął połów na nowo, wracając do dębu.

Zbiegłe raki musiały jednak zaalarmować swój szczep, bo łapały się tylko niedorostki, aż rybak, zniechęcony, zabrał się do odwrotu.

Dzwoniąc zębami, biegł do chaty. Na jednym przejściu nad topielą poślizgnął się i wpadł w szlam — i już z daleka posłyszał trąbkę na alarm i pohukiwanie towarzyszy.

Wybrali się ku niemu niespokojni.

— Czyś ty zbłądził? — spytał Rosomak.

— Nie, tylko się zagapił i wpadłem w tę jamę pod olchą.

— A suma nie było?

— Był. Okrutny. Mogłem rękami brać, ale o sobie myślałem, nie o nim.

Pantera już torbę obmacywał.

— Co tam? Kilka szczypawek.

— Bo wielkie drapnęły, gdym nurka dał. Brr! Jak zimno! A nie wiecie, czy Kuba nocuje w rękawie?

— Myśmy o ciebie byli trwożni. Nie patrzyłem.

— A wieczery nie ma?

— Owszem. Zacierki na mleku ugotowałem, aleśmy na ciebie czekali i wreszcie poszli ratować.

W chacie było przyjemnie, ciepło, ale Żuraw nie dał się przekonać i przede wszystkim do cna się na czysto wykapał.

Gdy przyszedł na wieczrę, rzekł z pewnym zawodem w głosie:

— Wiecie? Kuba jest w rękawie.

— Toć się troskałeś, by w lesie nie nocował.

— No tak, pewnie, ale zawsze to dowód strasznego sybarytyzmu<sup>84</sup>.

— Nareszcie przekonałeś się! — zaśmiał się Rosomak.

Żuraw zaczął jeść; rozmarzyło go gorąco, ogarnęła nieprzeparta sennaść.

— Nie wylej zacierki z łyżki do ucha! — droczył się Pantera.

— Jeszcze muszę statki pozmywać! — wymamrotał, opierając się o ścianę.

Ale oni dali mu drzemać i dokończyli domowe porządki.

<sup>83</sup>sążeń — dawna jednostka długości. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>sybarytyzm — zamilowanie do wygodnictwa i obżarstwa. [przypis edytorski]

Nie pamiętał, jak się znalazł w łóżku, dopiero wszystko sobie przypomniał rano, znalazłszy pod poduszką dwa raki — upominek Pantery.

## DZIEŃ CHYTREGO ROSOMAKA

Rubinowe latarnie w okiennicach i krzątanie się Żurawia budziły wodza. Szedł do kąpieli i spóźniał się na śniadanie, bo tu i ówdzie zajrzał. Ze wszystkich stworzeń leśnych najmilsze mu były ptaki — te obserwował i badał z zamilowaniem. Wokoło chaty pełno było skrzynek na drzewach i Rosomak doskonale znał historię i sprawy każdego skrzydlatego stadła. Żaden z leśnych ludzi nie mógł się pochwalić, że odkrył jakieś nowe gniazdo, bo ledwie zaczął, już wódz podpowiadał:

— W leszczynie, prawie na ziemi. Wiem, to dzierzba! — Albo: — Na sośnie za garbem. widziałem, to sikora czubatka zajęła stare wiewiórcze.

Miewał specjalnych faworytów.

W zmurszałym pieńku brzozowym niedaleko krynicy odwiedzał co dzień raszkę siedzącą na jajach. Pierwszego dnia sfrunęła; gdy wróciła, znalazła kilka mrówczych jaj w gniazdku. Na drugi dzień, gdy ujrzała nad sobą twarz olbrzyma-człowieka, zdrętwiała. Czarne jak paciorki oczki wyrażały bezgraniczną grozę. Olbrzym rzucił znowu kilka mrówczych jaj i odszedł. Na trzeci dzień już przysmak porwała od razu i odtąd, słysząc trzask gałęzi pod stopą olbrzyma, czekała na odwiedziny nietrwożna.

Po śniadaniu Rosomak oprawiał lampkę przed Królową, rąbał szczapy, wzuwał chodaki i szedł w las.

Brał ze sobą torbę, siekierę, sznur z hakiem na końcu i przepadał bez śladu. Szedł zwykle bardzo wolno, cały w słuch skupiony. Przystawał często, do pnia przytulony, albo wyciągał się pod krzakiem nieruchomy.

Las ledwie porastał drobnymi liśćmi; była to najlepsza, ale krótka pora do spostrzeżeń ornitologicznych.

Co dzień też Rosomak odwiedzał pszczoły. Od paru lat zajmowały dziuplę w starej wierzbie. Znał je dobrze. Czarne były, małe, bardzo cięte — dzikie, borowe.

Gdy leśni ludzie zajęli chatę, już je zastali. Ale dotąd nie było z nich pociechy.

Dziupla była nieszczelna, zmurszała, drzewo marne. Dobierały się do niej dziecięcy zielone, niszczyły myszy. Po ziemi ledwie zostawała garść narodu, a zanim się wyhodowały pszczoły, nadchodziła jesień.

W tym roku działo się najgorzej.

Ledwie chodziły na kwiaty, robota szła ospale, nie przynosiły do ula pyłku.

— Nie ma matki! — rzekł Rosomak po dłuższej obserwacji.

Ruszył w puszcze i rozmyślał.

Na leśnych fiołkach, co właśnie zakwitły, na łożowych kocankach pszczół było pełno.

Musiąca istnieć druga dzika barć, bo od osad ludzkich, od sadów i pól, przez te bagna i moczary za daleko było pszczołom lecieć. Barć musiała być — ale gdzie? Przez lat parę Rosomak ten swój raj schodził z końca w koniec, z kąta w kąt — i nigdzie barci nie widział drugiej.

Teraz znaleźć musi, te sieroty poratować. Położył się na polanie liliowej od fiołków. Pracowity naród zbierał słodycz skrzętnie i odlatywał. Każdą pszczołę człowiek leśny oczami odprowadził i zrazu niczego się nie dowiedział. Snuły się tu i ówdzie. Wreszcie wypatrzył, że jedne były małe i ciemne, inne większe i żółciejsze.

Po godzinie cierpliwości badacz stwierdził, że te pierwsze wracały ku wierzbie, drugie zaś wznosiły się nad drzewa i kierowały na wschód.

Miały przy nóżkach koszyczki złotego pyłku, a przy robocie nuciły wesoło.

Rosomak powstał z triumfem.

— Tam są i mają matkę! — rzekł, puszczając się za nimi na wschód.

Po drodze obejrzał każde stare drzewo; co raz na polankach przystawał, znowu owady śledził, znowu za nimi dążył, aż stanął nad nieprzezwyciężoną zaporą.

Była to smuga trzęsawiska.

— Aha! W borze barć mają! Żółte są jak żywica. Że mi to na myśl nie przyszło! Tam ich raj, w tej choinie.

Ptak

Za trzęsawiskiem, jakby wyspa wśród morza, była wyniosłość niewielka, porosła starymi sosnami.

Widział wyraźnie ich złote pnie, grube konary i czarniawe korony. Jedna, jakby przodownica, nosiła olbrzymią czapę z bocianiego gniazda.

— Zda się, ręką do nich sięgnąć, a „wara” mówi topiel. Bezdenna jest; ani krzaka, ani drzewka, ale wąska! Nie więcej jak półtorasta<sup>85</sup> kroków! Dostać się tam trzeba!

Położył się i rozważny plan układał. Zaraz też spróbował gruntu, cofnął się i zaczął rąbać loży, układać w snopy i wiązać.

Robotę przerwał mu sygnał obiadowy. Gdy zasiedli do stołu, każdy opowiedział o swych przeżyciach i wrażeniach.

— Wiecie, wodzu, dudek zagląda do skrzynki! — pochwalił się Pantera odkryciem.

— Toś rewidował skrzynki?

— A tak mnie ochota wzięła Kubę naśladować! Przejrzałem siedemnaście.

— Ładna porcja jak na jeden dzień.

— Byłoby więcej, ale na jesionie ladaco gałąź mnie zdradziła. Gruchnąłem o ziemię i zwichnąłem rękę.

— No i co?

— Ano nic, wyhukałem Żurawia-doktora, w mig mi nastawił, ale zabronił udawania Kubę przez parę dni.

— I bez mego zakazu nie mógłbyś pokazywać łamanych sztuk w tej chwili: ścięgniesz mocno naciągnięte.

— Cóż znalazłeś w skrzynkach?

— Najwięcej sikor-bogatek. Mają już pisklęta; w jednej naliczyłem dwanaście rozwartych gardzieli. To dopiero robota wykarmić taką chmarę. W kilku muchołówki, te małe, nakładły błękitnych jaj. W dwóch są sikory-modraczki; wysiadują tak twardo, że je można ręką brać. W jednej syczał na mnie krętogłów jak wąż, w innej złajały mnie szpaki, ale na tym jesionie właśnie miałem najgorsze przyjęcie. Zgadnijcie, kto go zajął?

— No któż by? Może dzięcioł?

— Trzmiele! Niewielkie, szare. Sypnęły mi się do oczu, więc zmykałem co tchu i przez to na gałęzie nie zważałem. I gruchnąłem.

— No, a w którejże było to gniazdo gołych mysząt, coś mi je łaskawie włożył do maszynki kawowej? — spytał spokojnie Żuraw.

— Ja? Myszęta? Jakie? Kiedy?

— Ach, prawda! To także pewnie „domowy”! Żeś go nie wołał na pomoc przy zwichniętej ręce!

— „Domowy” na medycynę nie chadza.

— A ja mam złą wieść. Pszczoły w wierzbie nie mają matki!

Zafrasowali się<sup>86</sup> obydwaj i jęli radzić.

— Pójdę po czerw<sup>87</sup> do Odrowąża — ofiarował się Pantera.

— Kładki do Odrowąża są jeszcze pod wodą, a takie kręte, że sto razy można się pomylić i w bagno wpaść.

— Może do domu pojechać, bo i chleba już mamy niewiele. Nawet nie mogę zrozumieć, gdzie mi tak prędko wyszedł — rzekł Żuraw.

— Gdzie? Pewnie „domowy” wyniósł i schował lub przepasł nim Hatorę — zaśmiał się Rosomak.

Obydwaj spojrzeli na Panterę, który z miną niewiniątka wciągał sznurki w świeże chodaki łykowe.

— Do domu jechać w tych dniach nie można — rzekł, jakby końca rozmowy nie słyszał — bo mi Łatana Skóra powiedziała dziś na ucho, żebym jej akuszera sprowadził. Czy pan doktor będzie łaskaw? — zwrócił się z ukłonem do Żurawia.

— Wypatrzyłem drugą barć — rozstrzygnął kwestię Rosomak.

— No to po co majaczysz i nas się radzisz?

— A po to, że fajki poobiedniej nie dopalił, a wyście statków nie zmyli. Jak się to skończy, to ruszymy wszyscy na ciężką robotę. Barć jest na Chojowej Górze, za topielą.

<sup>85</sup>półtorasta (daw.) — sto pięćdziesiąt. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>zafrasować się (daw.) — zmartwić się. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>czerw — tu: stadium rozwojowe pszczoły. [przypis edytorski]

— Aha, musimy faszyną<sup>88</sup> jakie takie przejście wymościć i jeszcze się skąpiemy po pas. Dobra nasza! Jazda! — porwał się Pantera do zmywania.

Po chwili ruszyli wszyscy trzej, zostawiając chatę pod opieką Opatrzności. Nawet Kuba, zgorzony tą ogólną wyprowadzką, dopędził ich i wsunął się na poobiednią drzemkę do kieszeni Żurawia.

Szli poza drogą za Rosomakiem i mówili o zamierzonej robocie.

— Co roku na świętą Annę<sup>89</sup> spoglądam na tę Chojową Górę i łeb suszę, jak by się tam dostać — rzekł Pantera.

— Dlaczegoż specjalnie na świętą Annę? — spytał Żuraw.

— Bo święta Anna grzyby sieje. Nie wiesz? Na Chojowej Górze rosną pewnie od początku świata co roku i nikt nie zbiera, boć tam nawet zimą trudno się dostać. Przekłęta topiel!

— Dla innych przekłęta, a dla nas błogosławiona — poprawił Rosomak. — Mieliśmy to taki swój świat i raj, gdyby bite drogi szły do chaty? Uciekliśmy po tygodniu, bo ludzie by nam życie zatruli.

— Pewnie. Chłopi i baby do Żurawia z chorobami, Żydzi po ryby, no i goście. Rany Pańskie! Jak kiedy posłyszycie w nocy, że jęczę, wiedzcie, że mi się to śni.

— Niech no kładki do Odrowąża nad wodą się pokażą, stary wnet się zjawi prawie mi o łamaniu w kościach! — rzekł Żuraw.

— Ten do nas pasuje. Jemu jestem rad — uśmiechnął się przyjaźnie Rosomak. — On mnie uczył leśnego bytu.

Stanęli nad topielą i zaraz zawzięcie zabrali się do roboty.

Wiązali faszynę i słali jakby pomost. Całe bagno chybotalo się pod stopami; musieli omijać zupełnie nieporosłe bezdnie, szukać choć nikłej skorupy białawego, gąbczastego mchu. Coraz to któryś zapadał się i towarzysze musieli go wyciągać na sznurze. Zmoknięci, czarni od szlamu, parujący potem, mordowali się, walczyli, zdobywali krok za krokiem — tak w swym uporze zaciekli, że nawet się nie odzywali. A wszystko dla zdobycia tej krzyny czerwii dla sierociego roju pszczelego.

Gdy hejnał wieczorny odtrąbiły żurawie, pół brodząc, pół pełznąć, Rosomak wy dostał się z grzędzawicy i bez tchu legł pod sosną-przodownicą. Towarzysze słali bezpieczniejsze przejście, ale już też byli bez sił.

— Wracaj, pora do chaty! — zawołał Żuraw.

— Wracajcie, ja tu zostanę, zanocuję. Jutro rano przynieście, ile znajdziecie, sznurów, garnek z żurem, kapelus z siatką, co wisi na ścianie w komorze, no i chleba kawałek na śniadanie.

— Zgłodniejesz, zmarzniesz w mokrej bieliźnie! — wołał Żuraw troskliwie.

— Zapalki i tytoń miałem w czapce, więc są suche, siekiera i nóż jest, chrustu nie brakuje. Przenocuję doskonale, o świcie już barć znajdę i co trzeba, przygotuję, zanim przyjdziecie. To nie ramowy ul<sup>90</sup>, co tylko daszek uchylić. Będziemy mieli jeszcze kramu co niemiara. Spocznę przed ciężką robotą. Żegnajcie!

— Do zobaczenia! Będziemy o świcie.

Rosomak został sam. Wypoczął chwilę i wnet zaczął się rozglądać i po swojemu otoczenie badać.

Zdziwiła go niespotykana cisza tego ostępu. Był pewny, że zastanie ptasie królestwo bezpieczne — a była pustka.

Ani ujawniania się, ani świergotu, ani przedwieczornego rozgardiaszu.

Sosny stały jakby nieme; nawet wokoło wydawały się puste. Życie kipiało dopiero za topielą.

— Jakiś zakłęty ką! — szepnął, powstając.

Obszedł brzęgiem, rozglądając się. Ród starych sosen mieszał się dalej ze zwartym świerkowym porostem, podszytym gęstwą paproci i jeżyn.

Gdy przystanął, szukając możliwej szczeliny, nagle na sośnie, tuż za nim, zaszczekał pies.

<sup>88</sup>faszyna — połączone gałęzie wikliny lub innych drzew. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>święta Anna a. Anna sprawiedliwa — matka Marii z Nazaretu i babka Jezusa, święta Kościoła katolickiego i prawosławnego. Jej święto obchodzone jest m.in. w lipcu, sierpniu i wrześniu. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>ramowy ul — ul w formie skrzynki, pokrytej daszkiem. [przypis edytorski]

Rosomak instynktownie za pień się cofnął i spojrział w górę.

Na konarze, obok siebie, siedziały dwie nieruchome, wielkie, bure postacie. Patrzyły na niego dwie pary jaskrawopomarańczowych, okrągłych oczu, mrugając; twarze starych skąpców czy zbrodniarzy wykańczał — w typie zbójcekim — czarny, potężny, zagięty nos-dziób.

Bez ruchu i głosu człowiek i para wielkopańskich rycerzy-rabusiów patrzyli na siebie.

Zrozumiał Rosomak ciszę i pustkę tego ostępu. Panowała tu tyrania bandyty w pióropuszu na głowie.

Zniszczył życie wokoło, wymordował wszystko i królował, i władał — mocarz siły ponad prawem.

— Tuś mi, krzyżacka wywłoko! — warknął zajadle Rosomak. — Tuś mi, herbowy rakarzu<sup>91</sup>, kacie leśnego stworzenia, bezbożniku możny, tyranie słabych, cichych i spokojnych! Teraz na cię sąd i prawo! Teraz na cię kres! Słyszałem nieraz w nocy twe krwawe hasło i jęk ofiar i szukam cię już lata. Aż mnie tu przyprowadził opiekun pomordowanych ptasząt, byś za żywot łotrowski gardło dał. Ostatnia to twoja noc!

Zawrócił i odszedł, rzuciwszy tę groźbę. Jeszcze korzystając z ostatnich chwil dnia, odszukał barć. Wskazały mu ją wracające z boru pracownice i ucieszył się, że była niewysoko i otwór miała dość szeroki.

— Teraz spocznę i ciszy posłucham — rzekł, wyciągając się na mchach.

Ale odpocząć nie mógł. Słońce zgasło, z bagien wstawały chłodne opary; ogarnął go ziąb. Więc się rozebrał, wytarł ciało do czerwoności mchem i znowu wilgotną białiznę naciągnął. Teraz się rozgrzał, na głód fajkę wypalił i rozdmuchał na brzegu niewielki ogieniaszek.

Obruszyło panów ostępu.

— Uhu, uhu! — rozległo się ponuro, groźnie.

Czarny cień wysunął się z gąszczy, miękkie skrzydła musnęły go prawie w locie, zakolowało straszidło nad ogniem i popłynęło nisko nad topielą do lasu po łup. Po chwili drugi za nim podążył.

„Uhu, uhu!” *Unguibus et rostro*<sup>92</sup>! Szponami i dziobem! Herbowa dewiza i bojowy zew! „Uhu, uhu!”

Wyciągnięty przy ogniu Rosomak słuchał. Od puszczy grzmiał weselny, wiosenny chór: łkanie słowików, bełkotanie cietrzewi, pobekiwanie kozłów. Na bojowe hasło rabusia — zaledwie chwila ciszy i znowu radosne hymny młodego życia.

Nagle rozdarł powietrze krzyk bólu, grozy, śmierci — i znowu cisza.

— Zadarł<sup>93</sup> zająca! — szepnął Rosomak.

Na niebo wypłynął księżyc. Mgły w jego widmowym świetle utworzyły korowody tańczących mar w gzałach powłóczystych. Zabie kapele im grały, powiew wiatru układał figury, grupy i koła.

Gdzieś daleko chlupnęła woda, coś zatętniło, zaklekotało, rozdarło korowód mgieł.

— Łoś idzie przez pochybelnik<sup>94</sup>! — szepnął Rosomak. — Dlatego nie ma topieli.

Jak widmo, bez szelestu piór, rabuś znowu nad nim przeleciał i zapadł w gąszczy.

— Z łupem wraca! Ma w gnieździe małe!

Ale wreszcie ze zmęczenia i trudu ogarnęła Rosomaka senność. Jeszcze patrzył, jak dym ogniska ku mgłom ruszył i w tan się wmieszał, jeszcze słyszał ostrzegawcze krakanie krzyżówki-matki i nagle ruszył i on za dymem i mgłami.

I taki był lekki jak one. Zrobił się dzień, a on szedł przez topiele, zaglądał do gniazd, głaskał ręką ptaki, przepływał rzekę, objąwszy ramieniem łosia za szyję, przypatrywał się, o krok stojąc, jak bąk-odludek zatapiał dziób w szlamie i buczał donośnie, i odtrącał pięścią puchacza od srokatego kozłęcia łani.

I takim snem czarodziejskim skończył się pracowity dzień wodza-Rosomaka.

Zbudziły go żurawie poranne trąby. Zerwał się. Ledwie bursztynowe były zorze na wschodzie i jeszcze senność w przyrodzie. Szpilki sosen miały na końcach paciorki z rosy;

Sen

<sup>91</sup>rakarz — oprawca; także łapacz bezdomnych psów. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>unguibus et rostro (łac.) — szponami i dziobem. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>zadrzeć — tu: unieść w górę, porwać; przenośnie: upolować. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>pochybelnik — niebezpieczne, grzańskie miejsce. [przypis edytorski]



na próg barci wyszło kilka pszczoł-wartownic i przecierały skrzydelka. Żaden ptak nie śpiewał. Czając się, unikając gałązki pod stopą, Rosomak ku gąszczom się przysunął.

Na tym samym konarze puchacz siedziały nieruchome, nadęte, ze złożonymi czubkami i spały — syte mordem.

Na dziobach i pazurach miały śliskość świeżej posoki<sup>95</sup>.

Cofnął się Rosomak, ognisko rozdmuchał i znowu omamiał głód tytoniem.

A tymczasem świat się zbudził, rozbarwił, rozśpiewał z taką ochotą i zapalem, że aż zarażony tym leśny człowiek począł nucić półgłosem:

Co dzień z rana rozśpiewana  
chwał, o duszo, Maryję!<sup>96</sup>

— My som<sup>97</sup>! Wodzu! — rozległo się za topielą; poderwał się Rosomak.

— Witajcie! Przynieśliście sznury?

— Całe mnóstwo.

— Zwiążcie razem. Przytwierdźcie jeden koniec do brzozy na brzegu, ciśnijcie mi tu drugi z hakiem. Weź cały rozmach, Żurawiu, bo Pantera kaleka!

— Aha, będzie poręcz z braku mostów. A może mamy chodzić po linie? — wołał Pantera.

— Ty nie dworuj<sup>98</sup>, ale wracaj pędem do chaty, przynieś strzelbę i cztery świeże naboje!

— Co się stało? Ryś tam może siedzi?

— Gorszy zbrodniarz! Śmigaj, chyża Pantero!

Sznur padł w wodę niedaleko sosen. Rosomak go dosięgnął, przytwierdził do drzewa i po chwili Żuraw wylądował obładowany.

— Chleba! — upomniał się Rosomak i dostał pełną torbę.

— Na kogo śmierć? — zapytał Żuraw.

— Zaraz ci pokażę.

Tymczasem jadł chleb i mlekiem popijał, aż pokraśniał na czarniawej twarzy.

— Barć jest?

— Jest, na tej sośnie z krzywą rosochą<sup>99</sup>. Nie wzięłeś przypadkiem dłutka i małej piłki?

— Wziąłem.

— Toś zuch!

— Ano, tyle lat w twojej szkole. Wykształciłem się. A u nas nowina! Przyleciał z dworu chłopak, że jakiś do ciebie gość przyjechał.

— Kto? Co za lichol!

— Mówił, że jakiś panicz.

— No, szczęście, że nie jakaś stara ciotka. „Panicz” może poczekać. Jest tam co jeść i na czym spać. No, syty jestem.

— To mi pokaż zdobycz.

— Poczekaj na Panterę. Nie można bestii płoszyć.

Czekali więc, z cicha gwarząc o swym bycie. Aż ukazał się laufer<sup>100</sup> Pantery: po sznurze biegł Kuba, przywitał wodza i śmignął na sosny. Za nim mozolniej chlupał po wodzie i skakał po pękach łoży Pantera.

Zebrali się i wstali do pochodu, gdy Rosomak, patrzący za Kubą, wskazał nań ręką.

Wiewiór wracał z gąszczy bez tchu — po ziemi, oglądając się ze zgrozą.

Dopadł Żurawia, wcisnął mu się za bluzę, głęboko, aż pod pachę. Dygotał całym swym mizernym ciałkiem i piszczał żałośnie.

— Co mu się stało?

<sup>95</sup>posoka — krew. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>Co dzień z rana rozśpiewana chwał, o duszo, Maryję! — fragment jednej z pieśni maryjnych pt. *Już od rana rozśpiewana*. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>som (daw.) — jesteśmy. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>dworować (daw.) — żartować, dowcipkować, kpić. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>rosocha — poroże; także rozwidlony pień drzewa. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>laufer (daw.) — tu: giermek, biegnący przed swoim panem. [przypis edytorski]

— Zobaczyl kata lasu. Chodźmy, tylko po łowiecku, cicho!

Wziął Rosomak strzelbę, włożył naboje i z gotową do strzału ruszył.

Podkradli się bez szelestu. Wtedy lułę podniósł w górę, a oni za nią poszli wzrokiem.

— Mnisze plemię grabicieli, zbójów! — szepnął.

— Junkier<sup>101</sup> Eduard i Kunigonda! — dopowiedział Żuraw.

— Bić, wodzu! — warknął Pantera.

Strzał padł, po sekundzie drugi. Eduard gruchnął z gałęzi jak gromem rażony, Kunigonda miała tylko czas skrzydła rozwinąć i zawisała na nich — już martwa — w świerkowej gęstwinie.

— To był dubelt<sup>102</sup> mistrzowski! — zawołał Pantera.

— Kiedyś, gdy byłem głupi i myślałem, że wolno zabijać, uchodziłem za dobrego strzelca! — rzekł Rosomak, stawiając strzelbę pod drzewem. — Ale dzisiaj nie zabijałem, tyłkom spełnił wyrok. Na zasadę siły przed prawem przychodzi dzień sądu i wypłaty. Niech mi las potwierdzi, że mam prawo mściciel! A teraz szukajmy gniazda!

— Na ziemi?

— Odroważ mi mówił, że się gnieździ byle gdzie: na pniaku, na kępie, przy pniu. Zresztą poznamy po trupiarni. Patrzcie, ile tu piór i kości. O, zielone czapki kaczorów, resztki czajczych czubków, cietrzewie, lirowate sterówki. A ot, świeżutki zajęc marczak. Słyszałem jego śmiertelny jęk tej nocy. Weselniki barwne, kraśne, młode, oszalałe wiosną i miłością, tu łupem były nienasyconego zdziercy, żarłoka, grabiciela. Wszystko grozą swych szpon ujarzmił i pożerał. Toć ten jego ostęp to cmentarzysko całej puszczy. Nikt nie miał prawa do życia i bytu — tylko on.

— Wodzu, tu na świerku jest jakaś kupa gałęzi, ale ja się nie wdrapię! — zawołał Pantera z gąszczu.

Poszedł Rosomak między obwisłe gałęzie i z trudem przeciskał się ku górze.

— A jakże, stare orle gniazdo zagrabił i swój przeklęty lęg<sup>103</sup> umieścił. Jest troje młodych. Jeszcze białe, ledwie wyklute, a już kłapią szczękami i w rękę mnie dziobią. Może żywcem wziąć i wychować na niewolników?

A wtem spod świerka rozległ się żaloszny okrzyk Pantery:

— O zbrodniarz! Toć tu leży skórka naszego Tupcia!

— Co znowu! — zawołał Żuraw. — Alboż jeden jeź w lesie. Pokaż, ja poznam. Gdy mam nóżkę opatrywał, musiałem jeden pazur obciąć.

Zamilkł, więc Rosomak spytał:

— No i co?

— Tak! Nie ma naszego Tupcia! — odpowiedział Żuraw, a Pantera, rozjuszony, krzyknął:

— Nie żywić przeklętego płodu! Łby im poukręcać!

Rosomak cisnął na ziemię gniazdo i lęg.

— Szczejnijcie do ostatniego! — warknął.

Leśny człowiek spełnił odwet puszczy.

Wrócili pod sosnę-przodownicę i założyli obóz.

— Na przyszłą wiosnę ten ostęp stanie się ptasim wyrajem. Zatokują tu głuszcze-brodacze, będą kuć dzieciocy, mysikróliki powieszają kunsztowne kołyski, w świerkach osiadają gołębie. Wrócą tubylcy zaradni, zapobiegliwi, niedrapieżni, weseli i łagodni. Teraz ci uczynili pustynię!

— Powiesić je po śmierci!

— Nie. Zabiorę i pięknie spreparuję. Zastąpią tę naszą na wpół przez mole zjedzoną sowę, co ją używasz na wrony jesienią. A teraz do barci!

— Jeśli ci niekoniecznie potrzebny, idę do chaty! — rzekł Żuraw. — Puchnę od żądał jak potwór, a Kuba nie daje się z zanadru wydobyć; pogryzł mnie, podrapał i bezustannie się trzęsie ze strachu.

— Mądry jest. Tupcio, nocny włóczęga, ufał swym kolcom i ot, jak skończył. Tak, Kuba, nie ma jak rękaw ze starego kozucha. Tam cię i junkier Eduard nie znalazł i nie złupił.

<sup>101</sup>junkier (daw.) — właściciel ziemski, szlachcic pruski. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>dubelt — tu: podwójne trafienie. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>lęg — ptasie potomstwo. [przypis edytorski]

Poszedł zatem Żuraw do chaty i tu dopiero Kuba ośmielił się na świat wyrzec. Ale od tej pory przestał zupełnie od domu się oddalać, nawet na wabienie rudej zalotnicy.

## NOWI PRZYBYSZE

Nazajutrz po straceniu pary morderców wśród nocy Żuraw się zbudził na kołatanie do komory.

- Zaraz, zaraz! — wymamrotał i spał dalej.
- Mamy urodziny. Córka! Matka i dziecko zdrowe! — zawołał zza drzwi Pantera.
- Srokatę?
- Jak jesienne kasztany, co się nimi dzieci bawią.
- Czy mam wstać? — rozbudził się Żuraw.
- Nie. Przepadło ci honorarium!
- Potrzebnieś budził!
- Śpiochy! Nie żal to taką noc wiosenną przespać? Idę na spacer.
- Tupcio tak uczynił i źle skończył.

Rano każdy zajął przede wszystkim do nowego domownika, niosąc Łatanej Skórze różne smakołyki.

Żrebiątko, trochę jeszcze chwiejne na nóżkach, wyzierało już ciekawie na boży świat, od boku matki nie odstępując.

- Istna karta geograficzna — zaśmiał się Żuraw.
- Frontowa<sup>104</sup> będzie panna! — poglaskał ją Rosomak.
- A Pantera zawiązał na cienkiej szyjce krasną kitajkę<sup>105</sup> „od uroku”.
- A potem, śmiejąc się, rzekł tajemniczo:

— Żurawiu, widziałem dziś w nocy, jak „domowy” wlał na półkę i coś włożył do garnuszka. Pewnie dla ciebie prezent.

- Może sam zobaczysz. Ja mam dość tych prezentów.

Ale Rosomak się zaciekawiał i zajął na półkę do garnuszka.

- Zaczny „domowy”! — rzekł, wyjmując coś szarego, okrągłego, wielkości cytryny.
- Co to? — spytał Żuraw nieufnie.

— Tupcio drugi. W małym wieku, ledwie mu kolce ze skóry wychodzą. Gdzieś go znalazł, Pantero?

— W nocy, na ścieżce do krynicy. Szła mama pierwsza, rozfukała się na mnie strasznie; za nią czworo takich pędraków.

— Tupcio był jeszcze mniejszy. Prawie goły. Ulokujemy go w skrzynce, na mchu i liściach suchych, jutro już będzie mleko chleptał.

- Ja go biorę na wychowanie! — ucieszył się Żuraw.

— Czeladka<sup>106</sup> się pomnaża. Dojdziemy do okazałego inwentarza! — rzekł Rosomak, zasiadając do śniadania, a potem zaraz zabrał się do preparowania puchaczy.

Zajął cały stół i tak się w tej trudnej robocie zagłębił, że ani nie palił, ani nie mówił, ani oczu nie podnosił, ani nie słyszał, co tamci mówili. W ogóle nawet nie wiedział, czy istnieją. Aż stanął nad nim Żuraw.

- Słuchaj no, a ten gość, co czeka we dworze?

— Nie zasłaniaj mi światła! — mruknął, operując lancetem skórki młodego.

— Rzekł Diogenes<sup>107</sup>! — zaśmiał się Żuraw. — Ale i chleba nie mamy wcale, i kartofle się kończą.

Milczenie. Ostatnie cięcia — skórka była oddzielona. Rosomak z triumfem dzieło swe oglądał.

— Nawet mistrz Łastowski<sup>108</sup> pochwaliliby mnie — rzekł. — Teraz arsenikiem zabezpieczyć i wypchać.

- A masz takie pomarańczowe oczy?

<sup>104</sup>frontowy — tu: przedni, świetny. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>kitajka — bawełniana lub jedwabna tkanina. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>czeladka — gromadka domowników. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>Diogenes a. Diogenes z Synopy (ok. 413–ok. 323 p.n.e.) — grecki filozof, przedstawiciel szkoły cyników. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>Łastowski, Antoni — specjalista-preparator, zawodowo zajmujący się wypychaniem zwierząt, właściciel istniejącej od 1848 roku w Warszawie Pracowni Wypychania Ptaków i Zwierząt. [przypis edytorski]

Zastanowił się Rosomak.

— Mam, ale czym zabrał pudełko?

Poszedł do komory, chwilę zabawił.

— Właśnie, że pudełko w biurku we dworze! — rzekł frasobliwie<sup>109</sup>.

— Dzięki Bogu. Z tej racji może obmyślisz, jak by się do tam dostać.

Zapalił Rosomak fajkę i z westchnieniem się zdecydował.

— Ano, to pójdę. Napisz mi na kartce żywnościowe braki. Wezmę stamtąd furę i do Tęczowego Mostu fernal<sup>110</sup>przywiezie. Mam w Bogu nadzieję, że ten gość tymczasem się znudził i wyjechał. O, dolo ciężka! Trzeba się przebierać i z tego rajy iść! Żeby nie to pudełko ze szklanymi oczami, to bym się nie ruszył.

Sprzątnął swe preparaty, przebrał się, dał Panterze moc poleceń i poszedł.

— Jeśli ten gość czeka i zechce parę dni go tam zatrzymać, to mu wieszuję wesolej zabawy! — zaśmiał się Pantera.

— Zapomniałem zapisać na kartce, żeby zabrał gazety! — syknął Żuraw.

— Nie troskaj się! I tak nie zabierze! Kto by i kiedy tu czytał! Bardzo nam potrzebne wiadomości o rewolucji w Meksyku, o zamieszaniu na Bałkanach<sup>111</sup>, o kursie pieniędzy lub o trzęsieniu ziemi w Kalabrii<sup>112</sup>. Daleko ciekawsze, czy nasze pszczoły wychowują matkę z tego czerwiu, cośmy im dali, czy dudek zajmie skrzynkę, czy wyszły z wody kładki do Odrowąza i czy znajduję gniazdo bąka lub remiza, a chociażby czarnego bociana, bo nam tego brak do kolekcji. Wiesz, popłynęmy pod tę olchę, może się sum trafi!

Popłynęli. Wzięli ze sobą specjalne podwójne siatki na długich drągach i skradali się milcząco. Pantera wiosłował, Żuraw kierował czółnem, ledwie muskając wodę. Wąskimi przesmykami wydostali się na jezioro — leżało ciche, gładkie jak szyba, prawie bez śladu prądu rzeki, która je przecinała, zwiężając się w przeciwległym kącie i niknąc wśród czarnych nawisłych łóz i olszyny.

O tej godzinie przedwieczera kwietniowego rojnie było w toni. Szeptem Pantera Żurawowi ptactwo wyliział:

— Patrz, tam para perkozów, a tu nur przelotny. Już zniknął. Kaczki z sitowia wypływają. O! Rybitwy! A tam u brzegu, widzisz? Łabędzie! Przelotem bywają. A ryby jak się rzucają! O wiele woda spadła. Pokazują się już pale po starym młynie. Hej, kiedy on tu stał, chyba przed wiekiem. Teraz topiel! Skręcaj powoli ku olchom!

— Pod którą spróbujemy?

— Ano, pod tą z suchym czółnem, gdzieś się wtedy skąpał. Dobrze czółno w poprzek postaw i przymocuj. Razem równo zakładajmy siatkę, tylko czółna nie odpieraj, bo pójdziemy na dno. Tylko się nie gorączkuj!

Żuraw zaciął zęby, bo mu dzwoniły z wrażenia łowieckiego. Zbliźali się do brzegu nieznacznie, zdradziecko, oczami się porozumiewając. Pantera wskazał wystającą gałąź olchową, zdjął swój pas, zawiązał w pętlę i o sęk zaczepił. Po czym napad odbył się z błyskawiczną szybkością.

Zanurzyli w wodę drągi z siecią, objęli nią jamę czarną. Pantera, trzymając koniec pasa w zębach, lewą ręką wiosłem uderzył w wodę — zamącił aż pod korzenie.

— Jest! — krzyknął Żuraw, czując uderzenie w sieć.

— Porywaj, wyciągaj, do czółna! Gwałtu, pilnuj, wywróci czółno! Bij w łeb, ogłusz! Do brzegu, do brzegu! — wołał Pantera i sam swe własne rozkazy spełniał.

Oplątany w oka podwójnej sieci, miotał się w czółnie potwór czarny, śliski, z olbrzymią głową. Łódź tańczyła, nabierała wody, lada moment mogła się wywrócić. Pantera z zębów pasek wypuścił i siecią olbrzyma do reszty oplątywał. Żuraw chwycił za wiosło, rozchybotane czółno ku niezaroślemu brzegowi parł. Zajechał w krzak łozy, za gałęzie chwycił i unieruchomił. Obydwaj byli wodą zlni i potem, zdyszani, zziązani i szczęśliwi z powodu zdobyczy.

Polowanie

<sup>109</sup>frasobliwy (daw.) — zafrasowany, zatroskany. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>fornal — robotnik folwarczny zajmujący się końmi. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>Bałkany a. Półwysp Bałkański — półwysp w Europie Płd. otoczony przez Morze Adriatyckie, Morze Jońskie, Morze Czarne, Morze Marmara i Morze Egejskie. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>Kalabria — region położony na południu Włoch. [przypis edytorski]

— Uf! A to ci patriarcha! Będzie ważył parę pudów<sup>113</sup> — rzekł Pantera, wywlekając z trudem olbrzymia wraz z siecią na ląd.

— Wyrzucam sobie, żeśmy bez Rosomaka na ten połów ruszyli — rzekł Żuraw.

— Mało on ich miał w życiu?! Zresztą rybactwem się bawi, ale pasja jego to ptaki. Teraz żywo się zbierajmy, bo nas czeka ciężka robota, nim go oprawimy. Żywcem go też nie dowieziemy, bo czółno przewróci. Zoperuj go po doktorsku, a ja popłynę po mój pas. A obejrzyj, czy ma w sobie but żandarma.

— Jak to?

— Odrowąż dowodzi, że taki wielki to ludojad i specjalnie żywi się żandarmami.

— To może lepiej puścić go do jeziora z powrotem, kiedy taki zacny uprawia proceder.

— No nie, bo ja też na zimowe posty chcę mieć wyżerkę.

— Ano, to szukam buta! A głowę to bym rad spreparować.

— Bez fatygi ci to mrówki zrobią. Znam jedno mrowisko jak stóg; tam ją zakopiemy.

Po godzinie już płynęli z powrotem. Jezioro zmieniło wygląd, bo się wiatr zerwał i napędzał chmury z zachodu. Parno było, zbierało się na burzę.

— Namagaj<sup>114</sup>, bo nie zdążymy przed deszczem! — rozglądał się Żuraw niespokojnie.

— Okrutnie miło być na wodzie, jak pioruny „głaskają” — śmiał się Pantera.

— O! Już chmury biorą pęd. Zaraz jak tabun rozhułany pójdą. Trzask, ot i z bata błyskawica pali. Będzie taniec!

Zakotłowało się w chmurach. Zygzak, błysk, grom padł, wicher skręcił czółno i nagle lunął deszcz. Jezioro-niebo stało się jedną masą wody, czarnych chmur, piany, fal, oślepiających błysków i huk, jakby świat cały w drzazgi się rozpadał.

Żuraw począł co prędzej wylewać wodę z czółna, bo tonęło prawie, a Pantera przestał wiosłować i, wyprostowany na dziobie czółna, cieszył się ulewą, gromami, nawałnicą, jakby największą przyjemnością.

Nozdrza miał rozdęte, usta roześmiane, oczy iskrzące, na każdy piorun odpowiadał okrzykiem i hulalo mu w duszy jakąś żywiołową rozkosz.

— Do brzegu! Toniemy! — krzyknął Żuraw.

— Et, bajki! Nie utoniemy! — zaśmiał się niefrasobliwie. — Zaraz minie! Ot, hulanka! Ot, szczęście, taką mocą być, tak używać!

Jednakże raczył zawrócić czółno do brzegu i o łozę zahaczyć.

Potem w mig wiosłem nadmiar wody wyrzucił.

— Przeszło! Szkoda! — rzekł patrząc w niebo. — Teraz trzeba dobrze grzebać wiosłem na rozgrzewkę! Ale cudnie było!

I zawrócił na rzekę.

Znowu toń była gładka, niebo błękitne, rozśpiewały się ptaki, zapachniało powietrze. Gdy przybili, koło chaty nie było śladu szału, tylko znak widomy został — rozdarta gromem od szczytu do korzeni brzoza przy krynicy.

Łatana Skóra zarżała do nich ze stajenki i z rękawa swego wytknął pyszczek Kuba.

— Żurawiu, jeść! — zawołał Pantera.

— Zaraz ogień rozpalam. Dać ci suche szatki?

— Nie warto! Dopiero jak suma oporządę, to się „przemienie”, jak mówił Odrowąż.

— Jak się taką bestię oporządza?

— Przede wszystkim trzeba z całej skóry zetrzeć szlam i śluz popiołem, potem wiechciem i wodą zmyć do czysta, poćwiartować jak wieprza i zasolić. Za parę dni sporządę z beczki wędzarnię i uwędzę. Łeb dziś jeszcze w mrowisku zakopię.

— Tyle roboty! Zaraz ci przyjdę pomagać.

— Niechaj! Wieczereż uwarz! Mnie po tej burzy, jak po szampańskim! Ani bym usiedział!

Dźwignął potwora na plecy i zwałił go wśród polany na trawę. Z rozmachem, ze śpiewem, z gwizdaniem zabrał się do mozolnej roboty. Parowała na nim koszula, tak się uwijał. Ale gdy skończył, dobytek uprzął i do wieczery zasiadł, przestał mówić, śmiać się. I ledwie zjadł, do alkierza swego się skrył.

<sup>113</sup>pud — rosyjska jednostka wagi, ok. 16 kg. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>namagać (daw.) — wysilać się. [przypis edytorski]



Żuraw myślał, że się przebiera, ale gdy zdziwiony ciszą zająztał, Pantera spał jak kamień, w mokrej odzieży i chodakach. Zaczął go trącać, wołać — bez najmniejszego skutku; więc mu tylko chodaki zzuł i tak go zostawił, sam zresztą też zmęczony i senny.

Nazajutrz przespalili i żurawi hejnał, i ptasi ranny chór. Zbudził ich dopiero ryk Hatory, rżenie klaczy i pisk Kuby.

— Oj, burza naniosiła komarów! — rzekł frasobliwie Pantera, siadając do śniadania. — Lada dzień chmury będą tego plugastwa. Trzeba okna siatkami zabezpieczyć i szyszek zrobić zapas na „kurodym”. Małej Łatanej Skórze chyba koszulkę uszyję, bo ją żywcem zjedzą. Na tę plagę to nawet Rosomak ratunku nie wymyśli.

— Owszem, całą zimę jakieś ingrediencje<sup>115</sup> mieszał i mówił mi, że ma kilka środków na próbę. Jak myślisz? Będzie on dzisiaj z powrotem?

— Wątpię, jeśli gościa zastał. Przed wieczorem skoczmy do Tęczowego Mostu na spotkanie. A może mu jakiego figla splecać? Wystraszyć?

— Rosomaka? Wystraszyć? — zaśmiał się Żuraw. — Znasz coś, czego by się bał?

— Eh, może bym i znalazł, ale bestia nic po sobie nie da znać, to i frajdy nie ma. Będę wędzarnię urządzał. Kazał mi też szczap smolnych nakopać i kosze rybne zrewidować. Ale przede wszystkim muszę podpatrzyć, czy dudek o skrzynkę konkuruje.

Poszedł i przepadł w borze. Po drodze zapomniał o wszelkiej robocie i musiał po swojemu używać, bo zjawił się w południe podrapany, w rozdartej bluzie i w jednym tylko chodaku, a z mnóstwem najświeższych wiadomości.

— Przyleciały już wilgi. Cieciorka siedzi na ośmiu jajach. Cyranka ma gniazdo przy błocie: będzie suche lato. Czeczota jest na brzozie jak bochen. Zabiłem żmiję, co się skradała do gniazda gajówki. Znalazłem gniazdo ziemnych trzmieli i dobrałem się do miodu. Trochę cierpki, ale niezły.

— A wędzarnia, smolne karpy<sup>116</sup>, kosze rybne?

— Głupstwo! Po obiedzie wszystko sprawię.

Jakoż odrobił sumiennie ranne próżniactwo. Rąbał, ciosał, dźwigał i przed wieczorem już był gotów iść na spotkanie wodza.

Zostawili Kubę na gospodarstwie i poszli. Bór, deszczem skąpany, jak czar był cudny. Stawali chwilami i brali w siebie piękno wiosennego rozkwitu oczami, uszami, całą pierśią — i byli oszołomieni majestatem arcydzieł. Wreszcie zatrzymali się nad strugą graniczną. Od zachodzącego słońca paliła się toń jak roztopione złoto — daleko, długo.

— Dziś nie Tęczowy, ale Złoty Most do naszego rajy.

— A mieni się jak adamaszek. To zarybek się bawi! — Wyciągnęli się na trawie, nasłuchiwali.

— Nie słyhać wozu. Ale poczekajmy. Będą tą smugą<sup>117</sup> kaczkę ciągnęły. To ich trakt. Ale wiecznie niespokojny Pantera poruszył się rychło.

— Zaraz z tej nieruchomości zasnę — mruknął i zaczął wycinać piękne łożowe pędy i zgrabnie obłuskiwać lyko na chodaki.

— Jada! — szepnął Żuraw.

Nadstawili uszu, wstrzymali oddech.

— Jada. O, spłoszyli sarnę. Poszła w leszczyny. Jada. Słyhać od ziemi turkot. Nawet gadają. Odezwijmy się po naszymu.

Huknęli. Długi zew i urywany odzew. Czyste echo pobiegło po wodzie, odbiło się od lasu i powtórzyło odzew. Nasłuchiwali.

— Czemu Rosomak nie odpowiada?

— Z kimś rozmawiał? Co to?

W głębi dalekiej zamajaczyły końskie łby. Zachlupała woda.

— Co to? Ktoś jedzie z Rosomakiem.

— No, fornal.

— Fornal jest trzeci. Zmykajmy!

— Co znowu! Jeśli Rosomak kogoś wiezie, to gość. Może Odrowąż?

Patrzyli, wóz się zbliżał.

Obok Rosomaka siedział chłopak w gimnazjalnej czapce i czarnej bluzie.

Gość

<sup>115</sup>ingredycja — składnik. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>karpa — pniak, korzeń drzewa. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>smuga — tu: pas ziemi obok lasu. [przypis edytorski]

— Jakiś smarkacz. Potrzebne nam dzieci! — mruknął Pantera.  
— Już wiem! — szepnął Żuraw. — To pewnie Stefan pani Anny.  
— Wodzowej siostry syn, urwipolec<sup>118</sup>!  
Żuraw tylko głową skinął, bo wóz był już tuż i Rosomak ich pozdrowił.  
— Witajcie! Rekruta wiozę!

Wóz wyładował i stanął. Fornal zaczął wyładowywać zeń różne tobołki; oni się witali. Rekruta obejrzeni bacznie a nieufnie leśni ludzie.

„Miejaska murowa stonoga!”, nazwał go w duchu Pantera niechętnie.  
„Pajęczyna!”, zdecydował Żuraw.

Ale dopust losu trzeba z rezygnacją znieść, więc obydwaj podali chłopcu prawicę.

— Wuj mi obiecał, że będę tu razem z wami pracował — rzekł niepewnym głosem.

— No nie — poprawił Rosomak — obiecałem ci tu byt, jeśli się do niego nadasz.

Bierz na plecy swój kuferek i ruszajmy!

Fornal zawrócił zaprzęg i odjechał. Pantera zarzucił sobie na ramię największy worek. Żuraw z Rosomakiem obladowali się resztą i poszli.

Rekrut wziął kuferek i podążył za nimi, potykając się na korzeniach. Ściemniało się — nie było śladu ni drogi, ni ścieżki; gałęzie były po twarzy, jakieś odrośla niskie chwytaly za nogi, ciężar kufierka dokuczał.

A tamci szli lekko, cicho, prędko i niknęli jak widma w gąszczu.

Chłopak po chwili spociał się i zdyszał; serce mu biło, ogarnął go lęk i wstyd. Zaciskał zęby, walczył ze sobą, ale czuł, że nie podola. Wreszcie gałąź zerwała mu czapkę; zaczął jej szukać, a gdy znalazł, ujrzał się sam w gąszczu.

— Wuju! — zawołał z przestraszeniem.

Ale zamiast wuja Pantera ku niemu wrócił.

— No i co tam? Zostałeś?

— Nie. Tylko mi czapkę zdarło i straciłem was z oczu.

— Czapkę zdarło, boś się lasowi nie uklonił, a to wysoki pan i możny. Respekt trzeba przed nim mieć.

— A gdzie tamci?

— Poszli. Nie będziemy cię wszyscy niańczyć! No, toból ci cięży. Daj no, pomogę.

— Dziękuję panu. Dam radę.

— Tutaj „pan” jest bór, a „pani” woda. Ja jestem leśny „ludź”, Pantera. Nie udawaj, ręce ci dygocą z wysiłku. Masz, przewlecż rzemień kufierka przez tę gałąź. Ot, tak, bierz na ramię, ja też, i ruszajmy! A stąpaj noga w nogę, równo: lewa, prawa, lewa, prawa!

— A czy my nie zbłądzimy tak bez drogi? — rzekł po chwili chłopak.

— Jak to „bez drogi”? Toć szlak jak pocztowy, drzewami sadzony.

— A co to błyszczą przy ziemi? To pewnie wilcze oczy się świecą.

— Gdzie? Ach, to? Świeliki latarki zapaliły.

— Co to?

— No, świętojańskie robaczki. Złapać takich dziesiątkę do szklanki, to czytać można jak przy świecy. No, czemu skaczesz?

— Bo coś szeleści pod nogami. Pewnie żmija.

— Żmije śpią w nocy. Żaba ci spod nóg skoczyła. Idź prosto, nie targaj!

Chwila milczenia. Nagle chłopak się wzdrygnął, wpół kroku stanął; kuferek spadł z drążka na ziemię.

— Co to? — szepnął.

— A bodaj cię! Co znowu?!

— To, co krzyknęło tam z prawej.

— Sowa! Ot, siedzi na sęku. Prędeż! Zbieraj twój toból! Tym pędem to i na wieczerzę do chaty nie zdążymy, a moja chudoba<sup>119</sup> czeka doglądu.

Znowu szli w milczeniu. Chłopak strzelał oczami na wsze strony niespokojnie, trwożnie. Samotność i cisza, przerywana nieznanymi odgłosami, rozstrajały go rozpaczliwie.

— Proszę pana, to jest, proszę Pantery, i wam wcale tu nie straszno? Tak samym?

Obraz świata, Strach,  
Kondycja ludzka

<sup>118</sup>urwipolec (pot.) — psotnik, urwis. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>chudoba (gw.) — inwentarz żywy; gospodarstwo, skromny dobytek. [przypis edytorski]

— Tu jest moc mieszkańców. Ot, posłuchaj: beczy kozioł, bełkoce cietrzew, żaby rajcują, błotniaki wszystkie wrzeszczą. Tu więcej życia niż w mieście.

— Ale ludzi nie ma!

— No to właśnie najbezpieczniej. Co jest gorszego dla człowieka niż drugi człowiek?

— Ale tak ciemno!

— Zaraz elektryczność na niebie zapala. A zresztą lęka się tylko głupi. Co jest straszniejszego w borze i co złego tu nas może spotkać? My tu między swoimi!

— Jeszcze daleko do domu?

— Niedaleko. Nie czujesz dymu?

— Nie. A co znaczy dym?

— No, wieczerzę warzą.

— To tamci już są w domu?

— Już dawno. Przecież nie pełzną jak my!

— Bardzo trudno iść prędko.

— No, no, nie próbuj, bo upadniesz! Ot, już widać światło w hacie.

— Dzięki Bogu! — szepnął chłopak.

— Hej, wy tam! — rozległ się głos Rosomaka.

— My! — odkrzyknął Pantera.

— Bywajcie! Chcieliśmy już iść was szukać.

— Blisko tego.

Spotkał ich Rosomak przy furtce.

Pantera cisnął na ziemię worek i kuferek.

— Uf, co tam jest tyle ciężkiego w tym tobole? Macie rekruta. Ja lecę do Hatory i klaczy.

Chłopak znalazł się w jasno oświetlonej izbie; odetchnął bezpieczny i zaczął się ciekawie rozglądać.

— Pozdrów Królową! — wskazał mu Rosomak obraz.

Przeżegnał się i spytał skwapliwie:

— Może mam coś zrobić?

— Będziesz wszystko robił jak i my. Tymczasem spocznij na ławie.

— Jak tu cudnie!

— Nie śpiesz się z zachwytem, aż się wżyjesz! Będziesz mieszkał w sieni. Jutro odzienie i obuwie zmienisz i dostaniesz zajęcie.

— Ciekawym jakie! — zawołał Pantera, wchodząc do izby z wiaderkiem mleka. — A także, jak na tego nowego przybysza będziemy wołać. Ja już mam dla niego nazwę! — zaśmiał się.

— Jaką? — spytał chłopak.

— „Coto”! Gdyśmy szli, co krok wołał: „Co to? Co to? Co to?”.

Żuraw postawił na stole misę jakiejś polewki; usiedli wokół.

Chłopak dostał łyżkę drewnianą, kromkę czarnego chleba i patrząc, jak oni jedzą, zaczął czerpać ze wspólnej misy.

— Co to? — spytał po chwili.

Wszyscy się zaśmieli.

— Nie inaczej! Dobrze cię ochrzcił Pantera. Będziesz „Coto”, zanim na inną nazwę zasłużysz. Pytasz, co jemy? To polewka z ryb.

— Z suma! Wiecie, wodzu, żeśmy ułowili takiego, jak się rzadko trafia. To był tydzień wielkich łowów: puchacze, sum!

— No i nowych przybyszów: źrebię, Tupcio i Coto.

— I kosięta się wyległy w szopce Hatory!

Coto chciał spytać, co to kosięta, ale się zawstydzził. Postanowił sam się dowiedzieć rano.

Po wieczerzy zawołał go Żuraw do pomocy przy zmywaniu statków, przy czym chłopak się bardzo zabrudził i potłukł miskę. Potem go wezwał Pantera i poprowadził po drabinie na strych, gdzie naładował olbrzymi wór siana.

— Będziesz na tym spał, rekrucie Coto. Schodź ostrożnie po drabinie, żebyś siebie nie urządził jak miskę! Macie, już leży!

Jedzenie

Chłopak zaczął obcasem o szczebel i spadł do sieni, szczęściem na siennik. Zerwał się zawstydzony, ale Żuraw z Rosomakiem karmili małego Tupcia i nawet się nie obejrżeli, a Pantera, zeskakując zgrabnie i lekko ze strychu, rzekł:

— Szczęście, żeś nie gliniany, bo nie starczyłoby cię na długo. Tu sobie pościel na ławie i spocznij po tylu wrazeniach.

Chłopak chwilę stał bezradny. Jakże miał spać bez łóżka, bez poduszki, bez nocnej komódki i dywanika pod nogi? Kuferek gdzieś został na dworze, a na samą myśl, by go szukać w nocy samemu, dreszcz go przeszedł.

Ale nikt się nim nie zajmował. Żuraw z Rosomakiem przeszli do komory. Pantera zgasił światło; zmęczony setnie, legł w swym alkierzu i zasnął natychmiast. Trochę tylko mrok sieni rozjaśniała lampka od obrazu i chłopak usiadł na sienniku, bliski płaczu.

Drzwi wejściowe nawet na klucz nie były zamknięte, w lesie coś szemrało, chodziło, wołało, po izbie coś się snuło — nie, nie sposób zasnąć!

Nieszczęsny Coto zaczął w duchu wymyślać matce, wujowi, swej doli, całemu światu. Potem wyczerpał cały zapas buntu i goryczy, przymknął oczy, bo go paliły od wiosennego wiatru i słońca, a potem już nic nie pamiętał, bo zasnął.

Zasnęły też kosięta pod skrzydłami matki i źrebię u stóp Łatanej Skóry, która, drze miąc na stojąco, budziła się na każdy szelest i dotykała nozdrzami dziecka, jakby mówiła: „Nie bój się, śpij, ja nad tobą czuwam!”

Tylko małe Tupcio, wierny tradycji rodu, biegał drobnymi kroczkami po całej chacie i tępił zawzięcie wszelakie owady, które się zakradły z dworu.

## COTO

Rosomak wypychał puchacza. Brak wprawy wyrównywał zawziętością i zaangażowaniem. Ponieważ zaważał w izbie, rozłożył pracownię w komorze i po trzech dniach dzieła dokonał.

— Udały się! — rzekł triumfująco do Żurawia.

— No i wreszcie zajmiesz się czymś innym — mruknął bez humoru Żuraw.

— A co tam pilnego?

— Przede wszystkim chłopak.

— Poszedł w las szukać gniazd. Chce zebrać kolekcję jaj.

— Nic nie znajdzie, bo się wszystkiego boi. Gdzieś pewnie niedaleko siedzi w gąszczu i czeka obiadowego sygnału. Trzeba się nim zająć, skoro żeś go nam tu na umartwienie sprowadził.

— Co miałem robić?! Nie mógł zostać tam we dworze, bo by uciekł po kilku dniach. A siostra mnie błaga, żeby go przetrzymać parę miesięcy, bo bardzo wyczerpany naukami. Przeszedł tyfus i zakochał się w czterdziestoletniej profesorowej, i chciał się strzelać.

— Chciałbym wiedzieć, co my na to pomożemy i dlaczego mamy go niańczyć!

— Zapewne dlatego, żeby nam tu nie było za dobrze. Ja go obserwuję. Parę dni bawiła go nowość, teraz przechodzi okres tęsknoty, nudy i wspomnień „nieszczęśliwej” miłości; przefermentuje, przegryzie i odżyje.

To rzekłszy, Rosomak, którego nic bardzo nie wzruszało, co nie było przyrodniczą osobliwością, zapalił fajkę, obładował się swymi ptaszniczymi przyrządami i ruszył w las.

Przede wszystkim odwiedził pszczoły.

Opodal barci stanął i patrzył.

„Naród” się snuł tu i ówdzie, zda się jak zwykle. Ale po obserwacji twarz leśnego wodza zaczęła się rozjaśniać, promienieć, aż się ułożyła w cichy uśmiech radosny. Dla niego miał wyraz brzęk owada, jego ruch, jego sposób wchodzenia przez szparę-wrota. I słyszał wyraźnie to, co wreszcie sam wymówił za nimi:

— Matka jest.

I wtedy dopiero usłyszał gdzieś opodal w łożach głos ludzki — gniewny, skarżący się. I poznał głos Cota.

— Proszę Pantery, co to za życie! To dobre dla starych albo dla mizantropów. Zresztą dla dziwaków i odludków. Ale ja kocham i ja chcę żyć! I mnie nikt nie zrozumie! Ja tu nie chcę być, ja tu oszaleję! Ja tak strasznie za nią tęsknię!

Noc, Sen

Miłość

— Ciężka bieda! — ozwał się głos Pantery. — To czemuż nie drapniesz stąd? Ja cię na skraj lasów wyprowadzę i leć do lubej. Tuś nam też tak potrzebny jak zdun<sup>120</sup> w lipcu.

— Kiedy matka mi nie dała pieniędzy.

— To sobie na drogę zapracuj!

— Gdzie, jak?

— A ot! Ryb nałów, ususz, torbę naładuj i sprzedaj. Albo wyszukaj gniazdo remiza, strzyżyka lub czyża. Wódz mówił, że to można sprzedać do kolekcji. Ja bym na twoim miejscu i tygodnia nie zwlekał. Za czym człowiekowi tęskno, to trzeba dostać. A zresztą możesz „na gapę” pod ławką w wagonie jechać. Żydzi tak robią z miłości do rubla, to i ty możesz przez miłość do kobiety.

Coto umilkł. Wszystkie te sposoby nie trafiały mu jakoś do przekonania.

— Żebym ja mógł pożyczyć pieniędzy na drogę — bąknął.

— Hm! — odparł Pantera. — A z czego oddasz?

— Mama musi mi dać.

— Na podróż do ukochanej? To by ci od razu w Warszawie dała, zamiast tu przysyłać, gdyby chciała twym amorom dogadzać. Na taki interes nikt ci nie pożyczy. Całkiem bieda, rekrucie Coto! Zamiast takiej pożyczki oszukańczej, zrób szczerzej i prawdziwiej: zacznij się w nocy przy trakcie i obedrzyj słabszego i głupszego. Albo stań pod kościołem i lamentuj: „Litościwe osoby, choć grosik dla poratowania zranionego serca!”.

— Pantera żartuje, drwi ze mnie!

— Co zaś! Jakbym w twojej desperacji był, to bym tak zrobił.

Tu Rosomak, czując potrzebę interwencji, rozsunął firankę łoży i wynurzył się za plecami rozmawiających. Coto zerwał się przerażony. Pantera zaświecił zębami w uśmiechu i dalej obdzierał łożę z kory, kunsztownie zwijając лыko na chodaki.

Rosomak wziął się też do tej roboty; zawstydzony chłopak stał, nie wiedząc, co ze sobą począć.

— Wszystko to racja — ozwał się Rosomak, jakby od początku w rozmowie uczestniczył. — Nudno ci tu, boś głuchy i ślepy na ten świat, co cię otacza. Te oczy i uszy otwierają się zwykle później w życiu, jeśli się w ogóle otwierają, bo większość ludzi organów tych nie posiada i zupełnie braku ich ani potrzeby nie czuje. Racją też bardzo despotyczną w osiemnastym roku życia jest miłość i bardzo tej twojej chorobie współczuję, bom ją też w swoim czasie przechodził. Gdybyś jednak, wedle rady Pantery, stąd umknął do Warszawy, swej ukochanej tam nie znajdziesz, bo wyjechała z dziećmi do Ciechocinka<sup>121</sup>.

— To ona ma dzieci? — zaśmiał się Pantera.

— Czoro. W tym córka piętnastoletnia.

— Coto! — zawołał Pantera tonem zgrozy ze śmiechem.

— Wcale mu się nie dziwię. W jego wieku kochałem się na zabój we wdowie, która miała wnuka. Ale nie o to chodzi. Pytam, czy chcesz, abym ci dał pieniędzy, byś wbrew woli matki, no i zapewne w tajemnicy przed nią, jechał do Ciechocinka, do pani profesorowej?

— Ja, proszę wuj, chciałbym wrócić do Warszawy, bo ja tu czuję się taki niepotrzebny. I nudzę się.

— Do Warszawy odesłać cię nie mogę, bo na prośbę matki tu jesteś. Cóż byś zresztą tam robił? Wiesz, że matka pojechała ze starą ciotką do Odessy<sup>122</sup>. Więc się namyśl do jutra! Jeśli postanowisz jechać, pójdziemy stąd do domu, gdyż tu pieniędzy nie mam nigdy; tam je dostaniesz i napiszesz mi kwit, że na stanowcze swe życzenie opuszczasz mnie i odjeżdżasz do Ciechocinka. Muszę mieć dla twojej matki ten dokument.

— Nie, wuju, nie potrzebuję do jutra się namyślać! Tak nie chcę.

— Więc czego chcesz?

— Chciałbym, chciałbym, sam nie wiem... Chciałbym tu czymś być, coś robić!

— Nie być rekrutem Coto! — zaśmiał się Pantera.

— No, to zrób parę chodaków, kosz na ryby, sidła na ptaszki, tysiąc rzeczy najłatwiejszych i prostych. Wierzę, że ci się nudzi, kiedy żyjesz w takim ludnym kraju, a ni

<sup>120</sup>zdun — rzemieślnik zajmujący się piecami. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>Ciechocinek — polskie miasto uzdrowiskowe w województwie kujawsko-pomorskim. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>Odessa — miasto na Ukrainie, położone nad Morzem Czarnym. [przypis edytorski]

mowy, ni obyczaj u ludu nie znasz. Ba, nawet i nie odróżniasz jednego oblicza od drugiego. Chcesz, zadam ci siedem robót, a jak je skończysz, to ci obiecuję spełnić siedem twoich życzeń.

— Wuj się na mnie gniewa? — szepnął chłopak nieśmiało.

— Ani trochę. Rozumiem cię i chciałbym, żebyś się przemógł, ale krępować cię nie chcę. Tu wszystko żyje swobodnie i w górę, ku słońcu. Zanim Pantera ci te siedem robót wymyśli, chodź ze mną, pokażę ci tutejszy tłum. — Popatrzył na słońce i dodał: — Mamy półtorej godziny do południa.

Coto spojrział na zegarek:

— Wuj ani o minutę nie chybił. To sztuka!

— Ja większą sztukę potrafię — rzekł Pantera. — Wódz musi na słońce spojrzeć, a ja tylko kiszek posłuchać. I wiem, na jakie idziesz widowisko. Wódz posadzi Eduarda czy Kunigondę na storku<sup>123</sup>, wleziecie pod szaterek<sup>124</sup> i będziecie kuwiekać<sup>125</sup> na ptaszki. Ja ci jutro pokażę podobne widowisko u wodopoju przy Tęczowym Moście.

Ruszyli. Rosomak spytał:

— Znalazłeś już dużo gniazd?

— Nie mam szczęścia. Łażę i łażę, drapię się na drzewa: znajduję puste.

— Nauczę cię. Uwważaj! Tu, u nas, na drzewie, w drzewie, na krzaku, na ziemi, na kępie, na wodzie legnie się ze trzysta gatunków ptactwa. Z tego siedemdziesiąt najmniej można znaleźć tuzinami łatwo, reszta wymaga większych starań, a już ze trzydzieści należy do wielkiej sztuki obserwacji lub wprost szczęśliwego wypadku. Mam kolekcję dwustu gatunków, a teraz rocznie przybywa mi ledwie po kilka. A są takie, których szukam od kilku lat bezskutecznie. Ty nie kolekcjonowałeś niczego w życiu?

— Ach, owszem: owady, marki pocztowe, monety. W tym roku jakoś się zniechęciłem.

— Pisziesz pewnie, tworzysz?

— Skąd wuj wie? Mama pisała?

— Nie. Ale kto uważa, ten poznaje dużo obyczajów, nawet ludzkich. W maju wszyscy mają świetne szaty i śpiewają. Kto z ludzi ma osiemnaście lat, przeżywa maj. Pisz, chłopcze, śpiewaj, marz!

— Ja bym jednak chciał znaleźć te gniazda, których wuj szuka od tylu lat.

Uśmiechnął się Rosomak.

— Dobrze. Tymczasem pokażę ci, jak się szuka tych dwustu, które już mam. — Zwolnił kroku i wskazał, nie przystając, krzak czeremchy.

— Widzisz tam, na lewo, o metr nad ziemią, ten pęk kwiatów i ciemną plamkę? Tam siedzi na pięciu jajkach gajówka mniszek. Pan ma kapturek czarny, pani rudy. W południowych godzinach pan panią wyręcza w nudach wylęgania. Ona tam, ot, na tej brzozie czyści pióra i rozpręza skrzydełka.

Coto wytrzeszczył oczy, wreszcie stanął. Z czeremchy wyfrunął „pan” spłoszony, zatrwożyła się „pani” — patrzyli ze zgrozą na potwora, co rozchylał gałęzie krzaka.

— Mogę wziąć jedno jajko? — spytał Coto.

— Jeśli jasne, to jest mało załęgłe. Inaczej zniszczy przy wydmuchiwaniu.

— Mam początek kolekcji! — ucieszył się Coto, pokazując zdobycz. Rosomak sięgnął do jednej ze swych kieszeni i dał mu szklaną tubkę wyłożoną watą. Było już na dnie rdzawo nakrapiane jajeczko.

— A to czyje?

— Sikory czubatki, znalazłem je wczoraj w starym wiewiórczym gnieździe.

Coto zaczął oglądać każdy krzak czeremchy.

— Pilnuj też jałowców! To kopalnie gniazd. A ot, na brzozie, kunsztowna kobiałka zięby; widzisz, przyklejone do tej rosochy jakby zgrubienie pnia.

— Wdrapię się!

— Jazda!

Skoczył chłopak. Wdrapywał się dość niezdarne, wreszcie złamała się gałąź i spadł.

— Czekaj!

<sup>123</sup>stark — w języku myśliwych tyka. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>szaterek — w języku myśliwych. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>kuwiekać — w języku myśliwych oznacza wabienie. [przypis edytorski]

Rosomak wyjął z torby sznur z hakiem na końcu i zarzucił zgrabnie na rosochę.

— Masz pomoc. Opasz się końcem, masz węzeł w środku, wciągaj się.

Wciągnął się Coto.

— Co za cudny koszyczek, wyłożony czerwonymi, jedwabnymi nitkami; dwa jajka jak kamyki szarosine, w plamki ciemne.

— Weź jedno! Dopiero łęg zaczęły, może się nie doliczy.

— Ale jak zniosę na dół?

— Ano w dziobku, jak kukulka swoje podrzuca.

Coto z ostrożnością umieścił zdobycz w tubce.

— Ależ wuj ma oko! — zachwycił się.

— Leśnego „ludzia”, jak mówi Pantera. Ja wiem, gdzie kto mieszka w moim świecie! Trafiam!

Teraz Coto zaczął się potykać, bo oglądał każdą brzozę i czeremchę.

Raptem spod nóg poderwała mu się malutka żółto-szara ptaszyna.

— Wuju, tu coś jest! — zawołał gorączkowo, padając na ziemię.

— Jest świtunka lub piecuszek, nie uważałem. Tak, świtunka, bo samczyk lamentuje, słyszysz „pi — pi — pi!”? Ostrożnie, bo rozdepczesz. Domek ma wejście z boku, przy ziemi, może pod tą suchą paprocią. Masz?

— Nie, tu nic nie ma.

— Dobrze schowana. Szukaj, nasłuchując lamentu; im głośniejszy, tym jesteś bliżej. Zupełnie jak dziecinna zabawa w „ciepło i zimno”.

— Jest, jest! Otworek, na ziemi; mnóstwo jajek, jak paciorki!

— Weź jedno i zmykajmy, bo strasznie lamentują!

— Wuju, to już naprawdę moja znajda<sup>126</sup>, pierwsza?

— Tak, tylko nie mów Panterze, bo cię przezwie piecuszkiem lub świtunką przy leśnych chrczinach.

— A kiedy będą moje leśne chrcziny?

— Gdy ci się otworzą leśne oczy i uszy i gdy poczujesz leśną duszę w sobie.

Coto przyglądał się szarej polance, pokrytej zeschlą trawą.

— I jak się to uchowa? Pod każdą stopą, bez żadnej ochrony? Na pastwę wszystkiego!

— Uchowa się. Za kilka tygodni wyleci gromadka, będzie się radować latem; jesienią powędruje za morze, ani dba, ani się troszczy! Ma wielką moc w sobie, słucha Prawa i wierzy, że życie dostała, by żyć, a zatem żyć będzie. Właściwy byt ziemi stanowią słabi i mali, a posłuszni swemu zadaniu. Słyszysz go? Już się raduje! Potwór odszedł, samiczka wróciła do chałupki, a on tam na najwyższych czubach olszyn uwija się, żeruje i niewielki śpiewak powtarza swą melodyjkę: „Cilp, calp, calp! Cilp, calp, calp!”. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni go słyszę i muszę się do niego uśmiechać, takie to zabawne.

— Teraz i ja go słyszę. I zapamiętam.

Rosomak przystanął.

— Widzisz ten olbrzymi jałowic? Od trzech lat znajduje się tam gniazdo dzwońca. Co roku pewnie je ta sama para dobudowuje wyżej, że aż stąd widać mech. Zobacz, czy szczęśliwie przezimowały i czy mieszkają.

Coto skoczył, rozchylił z trudem zwarte igliwie i wspiął się na palce.

— Są trzy jajka: błękitne w czerwone cętki!

— Ano to szczęśliwie wróciły! Niechże się latem cieszą!

— Wuj to każde drzewo zna.

— Prawie. Są znajomi bliżsi i dalsi. Są wybitne osobniki w tym narodzie: jedne wiekiem stare, inne urodą wspaniałe, jeszcze inne wdziękiem za oczy chwytające. Nie ma dwóch jednakich, tylko trzeba patrzeć. Tu można patrzeć, poznawać, rozróżniać, aż się żyje wśród wielkiego towarzystwa, złożonego z tysięcy jednostek. Nawet ich charaktery poznać można, obcując z nimi jak my. Żuraw z Panterą po imieniu zwą różnych znajomych i całe historie o nich prawią, gdy w niedzielę składamy wizyty.

— Jak to?

— Ano, zobaczysz! Pojutrze niedziela.

Szli chwilę w milczeniu, wreszcie Coto się odezwał:

<sup>126</sup>znajda (pot.) — tu: znalezione zwierzę (jajko). [przypis edytorski]

— A jakich gniazd wuj dotąd nie znalazł?  
— Podróżniczka, remiza, strzyżyka i trzciniaka świerszcza. No i czyża, który wedle legendy kładzie doń jakiś kamyk, co je czyni niewidzialnym.

— Ale ja i o tych ptakach nigdy nie słyszałem ani ich nie znam. Wuj mi da ornitologię<sup>127</sup>.

— Pięć, w różnych językach, z barwnymi tablicami.

— To wracajmy do domu! Zaraz się biorę do roboty.

— Wróćże sam, ja jeszcze zboczę w te łozy.

Coto obejrzał się bezradnie.

— Nie trafię.

— Spróbuj! Kieruj się ciągle na wschód! Po drodze miniesz polankę z wielkim świerkiem, który masz mieć po lewej ręce. Potem przejdziesz około trzech brzóz, jedna ze złamanym wierzchem, i znajdziesz we wrzosach ścieżkę. Przy starej choinie, gdzie kupę szyszek naniósł dzięcioł, skreć na prawo i tam już trafisz na szlak do Tęczowego Mostu. Jakbyś zbłądził, nie denerwuj się; usiądź i słuchaj, niebawem Żuraw z chaty da sygnał obiadu. Wtedy posłyszysz klekotkę Hatory łakomej i ta cię na polankę doprowadzi.

Coto pokręcił frasobliwie głową, westchnął i zawrócił.

Rosomak poczekał, aż zniknął w gąszczu, i uśmiechając się, z daleka ruszył za nim. Chłopak zabląkał się po chwili, zaczął kluczyć i kręcić się w prawo i w lewo. Wreszcie po wielkich trudach dojrzał do polanki ze świerkiem. Wtedy usłyszał sygnał obiadowy, a wnet „bambole” Hatory.

Gdy jej rogaty łeb ukazał się w chaszczach, Coto odetchnął i puścił się jej śladem, na nic nie zważając. Ale Hatora też nie pilnowała się żadnego szlaku; rznąła prosto — łozy nie łozy, błoto nie błoto, ruczaj nie ruczaj.

Szczęście, że była syta, więc się zbyt do obroku nie kwapiła, bo by jej nie dogonił.

Zziajał się, zmoczył, podrapał twarz i ręce, aż spocony wydostał się na szlak szerszy i ujrzał przed sobą śmiejącego się Panterę.

— Po loskocie myślałem, że jakiś niedźwiedź zmartwychwstał i goni Hatorę. A to ci pilno do miski, rekrucie. Brniesz jak koń, na wprost, przez bagno!

— Pantera wie, że sam, sam znalazłem gniazdo świtunki? Mam jajko!

— Drozdowa co dzień w kurniku też znajduje jajka! Taka sztuka! Świtunka! Wielka mi parada! Ja znalazłem hajstra.

— Co to takiego?

— Czarny bocian leśny. Wódz się ucieszy. Niedaleko był od tego miejsca, gdzie łożę darł.

— Będziemy razem wydmuchiwać!

— Razem to trudno, ale zaraz ci pokażę, jak się robi, tylko chudobę oporządę.

Pobiegli obaj do osady. Oparty o płot, już Rosomak czekał.

— Nie zbłądziłeś? — spytał.

— Owszem, ale uratowała mnie Hatora.

— Nie łże, będą z niego ludzie! — rzekł Pantera.

Coto poprosił zaraz o podręczniki i nawet nie czuł głodu, tak się tablicami zajął.

— I to wszystko, to mnóstwo tu jest, żyje, gnieździ się, śpiewa! — zawołał zdumiony, gdy zasiedli do posiłku.

— Alboż tylko to! A ssaki, a gady, a owady, a rośliny! Tu jest tylu mieszkańców na ziemi co gwiazd na niebie.

— Ludniej niż w mieście stołecznym.

— Tylko wybieraj, z kim chcesz zawrzeć bliższe stosunki. Damy ci listy polecające; ja do ryb i gadów, Żuraw do badyli, wódz do ptasiego rodu! — rzekł Pantera.

— Onegdaj byłem proszony na wesele jaszczurek z Wdowiej Polany. Galanto<sup>128</sup> się odbyło: pan młody miał zielony fraczek, panna młoda kostium popielaty, bo zaraz pojechali na miodowy miesiąc pod wykrot wśród wrzosów. Sikory, naturalnie, plotkowały, żaby grały, drozd odśpiewał *Veni Creator*<sup>129</sup>. Były różne mowy i przemowy familii, alem

<sup>127</sup>*ornitologia* — nauka zajmująca się ptakami, tu: atlas ptaków lub podręcznik na ten temat. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>*galanto* (gw.) — elegancko, porządnie. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>*Veni Creator* (łac.) a. *Veni Creator Spiritus* — hymn do Ducha Świętego. [przypis edytorski]



zapomniał, co prawili. Wiem tylko, że w posagu był pień zmurszały pełen liszek i mrowisko przy nim.

— Na ptaki mam największą ochotę.

— To wodza stosunki. Ale jak cię gadzina utnie, to nie będziesz gada lekcewał. Wężowego króla ze srebrnym kamykiem na głowie wódz ci nie pokaże, a ja wiem, gdzie mieszka.

— No i „domowego” też mu pewnie pokażesz — uśmiechnął się Żuraw.

— Daj no tymczasem jaja do spreparowania! — rzekł Rosomak.

Zajął się Coto, zainteresował, ciągnęło go do tablic i do tekstu, i do kolekcji, i do poszukiwań. Ledwie doczekał się końca południowego obrządku i rozporządzenia zajęć oraz wypraw; po czym pełen zapалу znalazł się na ścieżce, obładowany sporą torbą, krocząc za Rosomakiem, który niósł na ramieniu rozwidloną tykę, a w ręku wypchanego puchacza.

Wyszli na piaszczyste polany, z rzadka brzoza i sośnina porośłe, i zatrzymali się wreszcie obok wielkiego krzaka jałowca. Spojrzał Rosomak na słońce.

— Trochę za wcześnie. Długo posiedzimy, ale to dobra dla ciebie próba. W ptasznictwym zawodzie należy mieć cierpliwość indyjską. Ptactwo najruchliwsze jest rano i wieczorem, w południe lubi sjęstę. Masz dobry wzrok?

— Niezły.

— No to zajmujemy stanowisko!

Na szczycie drążka umieścił puchacza i wbił tykę mocno w ziemię, tuż przy jałowcu. Z torby wydobyl coś w rodzaju namiotu z lekkiej zielonkawej tkaniny i rozstawił na patykach, nadając jej kształt jakby rozszerzenia krzaka. Na szczycie przytwierdził pęk sosnowych gałęzi. Wsunęli się obydwaj do środka, zamknęli wejściową szparę.

— Usiądź jak najwygodniej i nie ruszaj się! Myśliwi na cietrzewich tokach siedzą w budkach z gałęzi, na mrozie, czasami sześć godzin. To ciężkie; trzeba cierpieć bez ruchu. Nam tyle czasu nie trzeba. Tyka nazywa się w starym języku łowieckim stark, a nasza kryjówka szaterek. Teraz wyszukaj w tkaninie parę okrągłych otworów i wyglądaj!

— A na co polujemy?

— W ten sposób można polować na jastrzębie, wrony, sroki, sójki. Nie znoszą one puchacza i ledwie go dojrzą, napadają z wrzaskiem. Kiedyś miałem żywego w tym celu i przez jedną jesień zastrzeliłem różnych rabusiów sto kilkadziesiąt sztuk.

— To szkoda, że wuj nie wziął strzelby.

— Teraz niechętnie mieszam się do spraw tego państwa. Nie czuję się w prawie wydawania wyroków i wymierzania kary. Tutaj panuje ład i większy od mojego rozum. Wszystko w tym świecie się wiąże, uzupełnia, spełnia jakiś obowiązek, służy jakiemuś wielkiemu, często dla nas niezrozumiałemu, prawu, utrzymuje przemądrą równowagę. Obserwując, przekonałem się, że kto staje się ponad prawo zuchwały, silny, drapieżny, nawet zbyt liczny, bywa doprowadzony do umiaru wyrokiem Władzy, co tym rządzi. I już tylko bardzo rzadko, gdy mnie zaślepi mój rozum, występuję czynnie w obronie małego i słabego. Patrzaj, uważaj! Jak zwykle, pierwsze sikory dojrzały puchacza i popłoch sięją. — Zniżył głos i objaśnił: — Sikor mamy pięć gatunków, tych pospolitych. Ta żółtawo czarna krawata to bogatka, największa i najzwyczajniejsza. Tamta na brzoźce to modraczka, istny błękitny klejnocik. Uboga sosnowka i czubatka jeszcze nie dosłyszały wieści. A oto zlatuje zięba, samiec w ceglastej kamizelce. No i rozumie się, buńczuczny karzeł, wołowe oczko; ten by na orla się rzucał. Widzisz?

— Widzę! Jakże to cudne!

— Oho! Już i reszta drobiazgu w sukurs leci. Rudzik, ten z pomarańczowym przodem, gajówka, mniszek i malutka piegza, i żółtawy zaganiacz, i kropkowana pod spodem muchołówka. Patrz, co za gromada! A teraz flegmatyczne poświerki się ruszyły. A wszystko łąja, wymyśla, klnie, urąga, jedno drugie podjudza. Wic!

— A ten taki cętkowany, co tak szyję wyciąga i głowę kręci?

— To krętogłów! Spryciarz, symulant. No, ale teraz musimy ratować puchacza. Już skrzeczą sójki i sroki. I ot, jastrząb wisi nad polaną! Skończone widowisko, bo dojdzie do awantury, polecą pierze z puchacza i nasza sztuka drugi raz się nie uda.

Natura, Obraz świata,  
Prawo

Rosomak rozsunał płótno i rozprostował członki. Śpiewacza rzesza rozproszyła się, obsiadła dalsze drzewa, rajcowała, cudowała, wreszcie rozpierzchła się po lesie, roznosząc żalostną wieść:

— Zbójca ze Starych Chojarów ukazał się w biały dzień na Wdowiej Polanie! O dolo, o losie! Wrócił, wrócił!

— Cyt, cyt, cyt! — uspokajały sikory. — Leśny duch go dojrzał, ukazał się, pojmał go i uwięził! Cyt, cyt! Za kratę wsadzi!

— A jak nie uwięzi, to nic, to nic, to nic! Ja mu jutro oczy wydziobię! — wołał zziązany królik malutki.

Tymczasem Rosomak wracał z Cotem, i ten, cały przejęty, „wydawał” lekcję:

— Już niektórych znam, tych barwnych: zięba, rudzik, modraczka, bogatka! Mam w oczach! Teraz będę czytał ze zrozumieniem.

— Zaludnia ci się pustka tutejsza. — Tu Rosomak uszu nadstawił na jakieś fujarkowe gwizdanie i skręcił w tym kierunku.

Natknęli się na Żurawia, który, idąc zamyślony, zasłuchany, pogwizdywał na fletni z wierzby.

— Kosy ci będą odpowiadać, tak doskonale je naśladujesz.

— Jak się dobrze wsłuchasz, odnajdziesz rytm kujawiaka<sup>130</sup> w kosiej arii.

— Dokąd idziesz z workiem na plecach?

— Ano, piątek! Chleb nam mieli dostarczyć do Tęczowego Mostu.

Rosomak pozbył się swego ładunku, ukrył pod płachtą puchacza.

— To chodźmy też na koncert!

Ruszyli ścieżyną za Żurawiem.

— Teraz słuchaj! Nie patrz, nie myśl, tylko słuchaj! — szepnął do Cota.

Zbliżał się późny, pogodny, majowy wieczór — pora najświetniejszych arii.

Coto oczy przymknął i cały się w słuch zamienił. Zrazu słyszał tylko gwar, potem zaczął w zgrai akompaniatorów i orkiestry rozróżniać solistów.

Na tle monotonnego poszumu puszczy i akordu żabiego ze szczytów drzew brzmiała pieśń, duet srebrnego gwizdania. Flecik Żurawia powtarzał głos tenorowy, pierwszy.

— To drozd-śpiewak i kos popisują się! — szepnął Rosomak. — Kos wiecie prym!

— Jakby wyrwasy taneczników, krótkie przyśpiewki mieszały się z duetem.

— To zięby i trznadłe hulają i dwuwiersz poddają.

— Hej ha! Chłopcy z dziewczuchami, ostro!

— Brawo, brawo, brawo! — rzuciła przelatująca kukulka.

A wtem zagłuszył i zakasował duet mistrzowski trel słowika.

Rosomak uchylił kapelusza.

— Cześć, mistrzu bekwarku! — uśmiechnął się.

Lutnista opanował całą rzeszę śpiewaczą. Górował nad chórem i orkiestrą, zmógł wszystkich. Kunsztowna, pełna łkań, namiętych zwierzeń, miłosnych szepków, zapamiętałych przysiąg i zachwytów, płynęła pieśń miłosna wiosny.

Uciszyło się wokoło, ludzie przystanęli zasłuchani. Żuraw flecik swój wsunął w zana-drze.

Nagle pieśń się urwała. Rosomak wskazał na szary cień przenikający przez gałęzie.

— Bandyta! — rzekł.

— Sowa zbój, zbój, zbój! — zapaplały sikory czujne i popędziły w ślad za nią.

W głowie Cota formowały się słowa, rytm, napływały rymy. Czuł, że napisze śliczny sonet.

I oto stanęli nad Tęczowym Mostem.

— Zostań tu! Za chwilę wrócimy — rzekł Rosomak, wchodząc z Żurawiem w bród.

Plusk i rozmowę ich słyszał zrazu Coto, a potem zajął się znowu koncertem.

Tu nad wodami nie było solistów, tylko gwar wiecowy, okrzyki, oklaski, gwizdy, śmiechy i nawoływania, przerywane ponurym warczeniem bąka.

Aż surmy żurawie zagrały donośnie hejnał wieczornej straży.

Obładowani tygodniowym zapasem chleba wyszli z brodu Rosomak z Żurawiem.

— A co to krzyczy tak przeraźliwie? — spytał Coto.

<sup>130</sup>kujawiak — polski taniec ludowy. [przypis edytorski]

— To ze swych letnich legowisk pulki żurawi tak co dzień witają i żegnają słońce. Czas do chaty.

Gdy stanęli na polanie, znaleźli Panterę zajętego ściąganiem z trawy i z gałęzi upranej bielizny. Hatora i Łatana Skóra ze swą miniaturką-córeczką chodziły za nim, dopominając się obroku, Kuba pokazywał łamane sztuki na lipie, ogień błyskał z chaty.

— Zrewidowałeś kosze rybne, Pantero? — spytał Rosomak.

— A jakże, alem ryb nie oprawił. Czekam na Cota.

— Owszem, owszem! — ofiarował się ochoczo chłopak, porywając mokry worek na specjalną do tej roboty ławkę przy wodzie, i zapamiętale zabrał się do dzieła.

— Wariacie, zapal „kurodym” i okryj plecy płachtą, bo cię komary pożrą! — wołał mu Pantera.

Istotnie plaga błot była klęską tego rajy, ale Coto postanowił znieść cierpienie jak czerwonoskóry Indianin i nawet gwizdał przy robocie.

Po chwili Rosomak przyszedł mu z pomocą i dym fajki odpędził chmarę komarów.

— Widzę, że nasz rekrut chce się do szczepu leśnych ludzi wkręcić — rzekł Pantera, stając nad nim.

— Chcę! — rzekł Coto, rękawem ocierając twarz, tak że stała się krwawa.

— I wydaje ci się bohaterstwem wydać się na łup komarom. A właśnie obroń się przed nimi, to leśna sztuka. Patrz, nam mniej dokuczają. Wódz broni się fajką, Żuraw jakimś octem własnego wynalazku, a ja mam ziele. Mała Łatana Skóra już by zdechła, gdybym jej nie smarował codziennie trzy razy.

Ruszyli do chaty z oczyszczonymi rybami i Coto spytał:

— A właściwie kiedy ja będę leśnym „ludziem”? Mnie się zdaje, że już wiele rzeczy umiem, już nie błędzę, ptaszki rozpoznaję.

— A leśnego ducha widziałeś? Nie zląkłeś go się? A byłeś w nocy w puszczy? A siedłeś przez trzęsawiska, co się gną pod nogami jak skorupa? A pływać umiesz? A wiesz, co robić, jak cię w wodzie kurcz chwyci? A potrafisz się poratować, gdy cię daleko od chaty żmija utnie? Hej, hej, rekrucie, daleko ci jeszcze do bytowania w tym rajy!

— Nauczę się! — uparcie rzekł Coto.

Zasiedli do wieczery i Żuraw rzekł:

— Oznajmiam, że kładki do ludzkich siedzib musiały już z wody wyrzeć, bo miałem dziś pierwszą pacjentkę: baba z febrą i wrzodziankami<sup>131</sup>. Bardzo się ucieszyła, że jesteśmy. I skończone moje dni spokojne!

— Można by kładki popsuć.

— Chłopi jak bobry, zreperują w mig! Trudno, trzeba radzić, przysięgłem! — westchnął Żuraw.

— Pojutrze niedziela, Coto! — rzekł Pantera. — Dotąd nie bywałeś z nami, boś popłakiwał po krzakach, ale teraz wiedz, że w święta po pacierzach ruszamy kupą w las i każdy się chwali jakąś osobliwością, którą przez tydzień wypatrzył. Trza i tobie z czymś wystąpić. Jutro cały dzień szukaj leśnego ducha. On lubi w dzień siedzieć pod wykrotami lub w świerkowych gąszczach. Maleńki jest, tylko głowę ma wielką i jeden róg na czole. W nocy cały świeci jak próchno.

Tu Pantera złapał myszkującego pod stołem Tupcia i usadowiwszy go na kolanach, podał mu miseczkę z ikrą i wątróbkami rybimi i gładząc po złożonych igłach, dalej prawil:

— „Domowego” naszego chatnego także jeszcze nie znasz. Jest w każdym domostwie taki skrzat, co psoci lub pomaga, zależnie od humoru. Nasz ze mną żyje w zgodzie, wodza szanuje, ale dla doktora nie ma żadnego respektu. A początek niechęci stąd, że doktor nasypał kiedyś na podłogę zielonego lukrecjowego proszku. Skrzat, strasznie łakomy na słodczyce, zjadł, no i odtąd znenawidził Żurawia. Prawda?

— Musiał ci się skarżyć! — roześmiał się Żuraw. — Ratowałeś go pewnie w przy-padłościach.

— Coto! — zawołał Rosomak — słuchaj Pantery, potem ci kiedyś stary Odrowąż jeszcze więcej cudów borowych opowie. Ale to sobie zapamiętaj: jeśli chcesz być leśnym „ludziem”, musisz w sobie zatracić lęk, gniew, wychować zaś w sobie, aż cię zupełnie ogarnie, umiłowanie wszystkiego i wszystkich, co tu z tobą żyją i bywają pod bożym

<sup>131</sup>wrzdzianka — ropne zapalenie skóry. [przypis edytorski]

słońcem. A teraz spać; jutro o świcie pójdziesz ze mną daleko, na starą porębę. Będziemy kopali pnie na szczapy.

Coto wyszedł jeszcze przed chatę. Oswoił się z nocą na tyle, że powędrował aż na polanę, unikając jednak bliskości gąszczy, i chwilę stał, nasłuchując.

Noc w puszczy nigdy nie ma majestatycznej ciszy nocy pól — w głębiach boru zawsze coś szumi, szeleści, czai się, przemyka, błyska, chrzęści. Żerują, rabują, mordują w ciemnościach.

Dwa ptaki poczęły krążyć nad polaną lotem nietoperzy. Rozległo się żalosne „pau, pau”, skrzydła musnęły skroń chłopaka. Gdzieś niedaleko zatrzeszczała sucha gałąź pod niewidzialną stopą. Zawrócił szybko do chaty.

„A każdy z nich pójdzie w tę noc, w te ciemności, drogi nie zmyli!”, pomyślał i westchnął. Miał w sobie lęk!

Ale gdy się znalazł pod dachem, poczuł się bezpieczny, znużony, senny.

Rozebrał się prędko i zasnął, oswojony już ze swym twardym pościeleniem.

Zbudziło go miarowe stukanie w ścianę tuż przy głowie. Zerwał się i nagle ujrzał straszną zjawę.

Z głębi sieni, przy ścianie, patrzyła nań twarz świetlana, wielka, jarząca, żywa. Mrugały oczy świecące, poruszały się usta szerokie, jakby coś mówiły lub chichotały bez dźwięku. I całe to unoszące się w powietrzu widziadło, zda się, płynęło ku niemu. Chłopak, zrazu skamieniały z wrażenia, wrzasnął nieludzkim głosem i rzucił się ku drzewom, w ciemności nie mogąc odnaleźć klamki.

Ale drzwi się otworzyły i głos Rosomaka spytał spokojnie:

— Co ci, chłopcze?

— Wuju, tu coś strasznego się ukazuje!

Jasna poświata nocy objęła sien; widziadło znikło.

— W ciemności widzialne! — szepnął Coto, trzymając się rękawa Rosomaka, który drzwi zamknął. — Widzi wuju?

— Widzę! — odparł, kierując się ku zjawie, i roześmiał się, zapalając zapalniczkę. — Oto dlaczego wciąż mi brak tutek szklanych! — rzekł. — Pantero! — zawołał głośnie.

Milczenie. Poszedł więc do izby, zapalił lampkę i przyprowadził Cota do mniemanego ducha.

Do ściany misternie na nitkach i ćwieczkach przytwierdzone były, tworząc dwoje oczu, nos i wielką gębę, szklane tutki, pełne świętojańskich robaczek. Wszystko to jarzyło się, ruszało, kłębiło. Coto patrzył zawstydzony, ale go Rosomak pocieszył.

— Nie dziwię się, żeś wrzasnął. Ale to spryciarz! No, trzeba to biedactwo wypuścić na swobodę, a że już na świt się zbiera, pójdziemy powitać las przed ledwuchną.

— To ptak?

— Skowronek borowy. Tak go zwie nasz szanowny Kluk kanonik<sup>132</sup>.

Pozdejtmował całe urządzenie i zajrzał do alkierza.

— Pantera prysnął na nową wyprawę, figiel spletawszy! Bądź gotów na to, że to nie ostatni, i wypleniaj lęk.

Wyszli do podsienia chaty i usiadłszy na podwalinie, wzuli chodaki. Świat był ledwie perlowy, a głębie przesycone rosą i ciche. Ruszyli ścieżynami niewidocznymi, a mówili szeptem, nie śmiać ciszy mącić. Rosę, moc powietrza i słowa Rosomaka wchłaniał w swą młodą duszę Coto.

## NIEDZIELA

Dzban świeżego mleka i bochen chleba postawił na stole Żuraw, nie rozpalając wcale ognia na kuchni; więź kwiatów Pantera przyniósł i obetkał nimi obraz Królowej; z komory Rosomak wyniósł dla każdego czystą odzież i bieliznę.

— Niedziela! — zaśmiał się Coto i pobiegł do kąpieli, zostawiając na przyzbie, na pokaz wszystkim, pierwszą parę własnoręcznie splecionych lykowych chodaków.

Był z nich dumny jak z arcydzieła, toteż mocno się stropił, gdy po powrocie ujrzał je w rękach Pantery.

<sup>132</sup>Kluk, Jan Krzysztof (1739–1796) — polski przyrodnik, rysownik i ksiądz katolicki, kanonik kruszewicki, brzeski i inflancki. [przypis edytorski]

— Masz drugą parę na zapas? Bo my dziś cały dzień w pochodzie; obiad w torbie, wrócimy dopiero na noc do chaty. A to partactwo i dwóch godzin nie wytrzyma. Patrz, na podeszwie nie zawleczono podwójnie, uszy przedrą się od sznurka, pięta nieosłonięta. Będziesz kusztykał boso od południa.

I cisnął pogardliwie arcydzieło.

— No, nieźle! — zdecydował pocieszająco Rosomak po obejrzeniu.

A Żuraw popatrzył i dał chłopcu z zapasu inną parę.

— Zostaniesz boso, zmija cię utnie i będę miał kram z leczeniem! — zdecydował.

Arcydzieło zostało wyrzucone za płot.

Wypucowali się, przebrali, zjedli śniadanie i poszli wszyscy pod krzyż. Rosomak odmówił pacierze, odśpiewali *Kto się w opiekę*<sup>133</sup>.

Coto był przejęty ceremonią i zgorzszony, że go Pantera wciąż trącał i oczami pokazywał patnią skrzynię łęgową, zawieszoną wysoko na brzozie.

Ledwie skończyli, Pantera krzyknął:

— Wodzu, dudek jest w tej skrzynce!

— Widziałeś?

— A jakże! Gdyśmy śpiewali: „Ciebie on z łowczych obierzy<sup>134</sup> wyzjuje”<sup>135</sup>, łeb wysadził i czub nadstawił, taki ufny! Pokazywałem Cotowi, ale nie zrozumiał, że kolegę tam ma!

— A jak się nazywa dudek po łacinie? — spytał Coto.

— Pewnie Coto *vulgaris*<sup>136</sup>.

— Radzę ci nie cytować łaciny, bo Pantera cię przezwie i tak zostanie! — zaśmiał się Rosomak, patrząc z radością na brzozę.

— To już który nowy mieszkaniec skrzynek? — Zaczął liczyć: — Pierwsze osiadły wszędobylskie sikory: bogatka, modra i uboga, potem czarne muchołówki, krętogłów, następnie szpaki i dzięcioły. Dudek jest siódmy.

— Ósme szerszenie, dziewiąte rude myszy — wymieniał Pantera — no, i my w naszej skrzynce! Dziesięciu osadników w puszczy.

— Jazda! — zakomenderował Rosomak. — Torby z jedzeniem na ramię, siekiery za pas; każdy jakiś sprzęt do swych kolekcji i zdobyczy. Chałupę kołkiem zamknąć, obrok dla towarzyszy postawić u płotu i marsz!

Zakrzętnął się każdy i poszli.

Dzień był świąteczny, pogodny, zbyt upalny nawet.

— Poświęci nas majowy deszcz po południu — rzekł Żuraw, rozglądając się po niebie.

Idący na czele Rosomak zaintonował ich leśny hymn. Radosna pieśń objęła las i ich dusze jakimś żywiołowym junactwem<sup>137</sup>.

Powiedziesz ty, powiedziesz nas,

Na ten słoneczny szlak,

Gdzie kwitnąć sercom i pieśniom czas,

Gdzie szumu czeka uspioń las,

Gdzie czeka lotu ptak!

— Kto ma zdobyć osobiwą, niech idzie na czoło i prowadzi! — rzekł Rosomak.

Żuraw się wysunął.

— Mam dwa kwiaty i grzyba.

Szli teraz poza ścieżką, jakimś fantastycznym zygzakiem, omijając to skłębione gąszcze, to grzęzawice<sup>138</sup>.

— Żeby cię tak tu zostawić samego! — rzekł Pantera do Cota.

— Spróbujcie, wybrnę! — odparł zuchowato.

<sup>133</sup>*Kto się w opiekę* — poetycki przekład biblijnego psalmu 91, przetłumaczonego na polski jako pieśń religijna przez Jana Kochanowskiego (1530–1584). [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*obierz* (daw.) — matnia, sidła, pułapka na zwierzyńce. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>*Ciebie on z łowczych obierzy wyzjuje* — fragment biblijnego psalmu 91, przetłumaczonego na polski jako pieśń religijna przez Jana Kochanowskiego (1530–1584). [przypis edytorski]

<sup>136</sup>*vulgaris* (łac.) — tu: zwyczajny, pospolity; dookreślenie gatunku typowe dla nazw przyrodniczych. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>*junactwo* — odwaga, dzielność. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*grzęzawica* (daw.) — błoto, bagno. [przypis edytorski]

Wreszcie w jakimś zadrzewionym mokradle, złożonym z brzoź podszytych zielskiem, stanął Żuraw i wskazał coś.

Sam jeden — plama barwy i subtelnego wdzięku — wznosił się smukły kwiat o fantastycznej formie.

— Kwiat pewien, zwany trepkim królowej. Nie większy od lilii polnej! — powiedział Żuraw i zaraz padł na ziemię, by całą roślinę zdobyć do swego zielnika.

— Szkoda! — rzekł Rosomak. — Tak cudnie wykwił wśród chwastów, sam jeden, jak piękna dusza wśród ordynarnego tłumu. Wykopać go i z wielką bryłą przenieść do ogródka!

— Racja! Zrobię to jutro.

Rozkoszowali się widokiem długą chwilę, aż Pantera, szpiegujący wzrokiem gałęzie drzew, rzekł do Cota:

— Widzisz tę brzozę przy haliźnie, ze zgrubieniem przy konarze, na lewo?

— Widzę! — odparł ten po chwili szukania.

— A widzisz takie czarne dutki<sup>139</sup>, co z tego zgrubienia na wszystkie strony wychodzą?

— Widzę.

— A wiesz, co to jest?

— Mech.

— Z wierzchu, a wewnątrz?

— Wewnątrz? Pewnie narodził na drzewie.

— Wewnątrz z siedem ptaszków. A to czarne, co na zewnątrz wychodzi, to ich ogony.

— Nie może być! Pójdę i obejrzę.

— Idź ostrożnie, bo tam grząsko. To mieszkanie jeszcze jednej sikory. Raniuszek, cały ptak mały jak orzech, tylko ogon taki wspaniały. Jakim cudem tyle się tego zmieści w tej mchowej chałupce? Bo bywa czasem dziewięć sztuk... Ale na ogony trzeba ściany dziurawić.

— Wuj ma takie gniazdo?

— Mam! Zresztą tego ruszyć nie można, bo zamieszkałe.

Gdy Coto dotknął brzozy, by się na nią wdrapać, poruszył się mchowy domek.

Z otworu, misternie okrytego, z boku zaczęły wyfruwać białe kulki puchu. Nadlecieli rodzice, powstał zgiefk i pisk.

Jedno tylko pisklę dostał do rąk Coto; obejrzał, pocałował i puścił do kompanii.

— Śliczności! — rzekł wracając. — Doprawdy, do kwiatów podobne. Żal mi, że mi się spłoszył.

— Nic to! Czasami takie małe żarłoki zamęczają rodziców za długo. Patrz, jakie to już lotne. Dadzą sobie radę!

Ruszyli dalej, coraz głębiej zapuszczając się w bagna; wreszcie znaleźli się wśród istnego łąnu kwitnących irysów.

— Złote pole. Idziemy do Oka Czarnego — rzekł Pantera. — Żuraw pokaże nam wodne чудо. Tylko baczność na kładkach!

Jakoś weszli na bierwiona śliskie i okrągłe i Coto wpadł jedną nogą w czarną bezdeń<sup>140</sup>. Wyrwał go Rosomak, ale chłopak spociał się ze strachu przed otchłanią i prawie stracił przytomność, tak że go wzięto za pas i prowadzono jak ślepego.

— Boże, czy to jeszcze daleko? — szepnął wreszcie z rozpaczą.

— No już! Podnieś głowę i patrz!

Stali nad taflą czarnej, nieruchomej wody, pokrytej kobiercem kwitnących grzybieni. Staw miał ramę z olch i ponurość jego, samotność, skrytość, zdradliwość stroiły te śnieżne kwiaty.

— To nie żywy staw, jakieś okno do dna niewiadomego. Mierzyliśmy sznurami, ileśmy ich mieli, ale kamień na końcu tonął w jakimś śluzie. A przecież gdzieś znajdują grunt i pokarm te korzenie i do słońca wydobywają się kwiaty. Nie ma takich odmętów bagna, by z nich nie mogła dusza wybrnąć do światła, tylko rzadko człowiek ma wolę, wiarę i mądrość roślinnej łodygi! — mówił zadumany Rosomak.

— No, ale gdzie to чудо, Żurawiu? — spytał Pantera.

Kwiaty

Ptak, Piękno, Natura

<sup>139</sup>dutka — dolna część ptasiego pióra. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>bezdeń (daw.) — otchłań, głębia bez dna. [przypis edytorski]

Ten rękę podniósł.  
 — Nie widzisz tego jednego kwiatu i pąka?  
 — Prawda! Jeden się urodził jaskraworóżowy. Skąd? Jak? Dlaczego?  
 — Tam w otchłani bagna żyje też widocznie myśl-fantazja Arcymistrza.  
 — Ten kwiat zerwać trzeba — zdecydował Pantera, zastanawiając się nad sposobem.  
 Ale kwiat rósł za daleko, by go dosięgnąć było można prętem lub rzutem sznura, więc Pantera zaczął się rozbierać.  
 — Daj spokój! — sprzeciwił się Rosomak — pamiętasz, jakiej dostaliśmy wysypki wtedy, przy mierzeniu głębi?  
 — Wielka rzecz! Po trzech dniach minęło. Muszę zdobyć dla Żurawia kwiat. Muszę, już ja wiem dlaczego!  
 Zaśmiał się i nagi skoczył w czarną głęb.  
 — Ruszyło go sumienie! Chce wynagrodzić wszystkie figle i psoty „skrzata” — uśmiechnął się Rosomak.  
 Pantera płynął jak ryba. Czuć było, że się bawi — bez żadnego wysiłku.  
 Przy jednej gęstwini roślin się zatrzymał i widzieli z brzegu, jak po liściach umknął jakiś ptaszek. Wreszcie Pantera dopłynął, kwiat zerwał, lodygę wkoło szyi omotał i zawrócił.  
 — Wuj mnie nauczy pływać! — poprosił Coto.  
 — I owszem, od jutra.  
 Pantera wydobył się na brzeg. Przede wszystkim wypłuł coś z ust na dłoń i podał Rosomakowi.  
 Było to jajko.  
 — Tego nie ma w kolekcji. Gniazdo było sobie najzwyczajniej na liściu, jak na talerzu. Pięć jaj! A oto dla Żurawia „skrzat” przyniósł prezent. Biegł ze mną po liściach, kierował, pomagał wyrwać lodygę. Zapomniał o zielonym proszku.  
 — Dostanie miodu i mleka! — zaśmiał się Żuraw; przykucnął, puszkę swą otworzył i schował starannie zdobycz.  
 Pantera tymczasem wytarł się nieco trawą i włożył szaty.  
 Zawrócili. Znowu Coto przedygotął przeprawę kładek i wydostali się na ląd stały.  
 — A oto macie moją trzecią osobliwość! — rzekł Żuraw, stając na jakiejś polance.  
 — Osina w kołnierzu.  
 — To grzyb? — zdumiał się Coto.  
 — Tak, huba drzewna, ale fenomenalnej wielkości. Drzewo na wpół suche. Jutro spiłujemy z obu stron i okaz pomieścimy w chacie. Od biedy można na tym siedzieć.  
 — Najlepsza hubka do ognia jest osinowa — rzekł Pantera.  
 Tu spojrzął na słońce i wyciągnął się jak długi.  
 — Obiad! Krokiem się dalej nie ruszę.  
 Pokładli się wszyscy. Na polance kwietnie było, sucho. Brzęczały pszczoły. Ogarnęła ich senność.  
 — Będzie burza! — szepnął Żuraw, układając się wygodniej.  
 I zasnęli wszyscy.  
 Rosomaka zbudził jakiś szelest. Rozwarł oczy i bez ruchu patrzył. Na skraju polanki, trochę w cieniu, stała, spoglądając na ludzi, para łośi — matka i dziecko.  
 Niezdarne, jakby z jakiegoś prabytu pozostałe stworzenia — niczym duchy boru, bóstwa pierwocin ziemi. Ciężkie, niezbyt foremne łby, racice jak ski<sup>141</sup>, potężne kończyny.  
 Łosza<sup>142</sup> ocierała szyję o drzewo, a małe, trochę za matką ukryte, skubało gałązki.  
 Wreszcie samica, uspokojona nieruchomością ludzi, zamruczała i przeszła obok śpiącego Cota; ciężką racicą wgniotła w ziemię jego kapelusz. Małe obwąchało go ciekawie.  
 W tej chwili chłopak się obudził i zerwał. Zwierzęta dały potężnego susa; rozległ się trzask łamanych krzaków i zniknęły w gąszczu.  
 Teraz się wszyscy porwali i Coto lamentował, słuchając opowieści Rosomaka.  
 — Gdybym się nie ruszył!  
 — Ba, nastąpiłaby na ciebie kłępa i tak byś wyglądał jak twój kapelusz.

<sup>141</sup>ski (daw.) — narty. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>łosza — samica łośia, kłępa. [przypis edytorski]

— Olaboga! Jeść! — zakrzętnął się Pantera.

Rozłożyli zawartość toreb. Był chleb, ser, suszone ryby, u Pantery w garnuszku kilka ciemnych, mocno spiczastych jaj.

— Widzicie smakosza! Czajcie jaja sobie przyrządza — zaśmiał się Rosomak.

— Zabrałem przez zemstę. Wczoraj na błotach to utrapione ptaszysko skrzydłami po twarzy mnie biło, wrzeszczało, lajało... A wcale mi nie o jej gniazdo szło, tylko o podróżniczkę, który mi mignął w szuwarach. Nie dała szukać, spłoszyła, co tylko tam żyło. Za to niech się fatyguje i troska o drugi łęg.

— Masz, Coto, spróbuj delikatesów! Aha! Nie ufasz! No to nie dostaniesz.

I Pantera zjadł ostatnie.

— Więc podróżniczka nie znalazłeś?

— Jak to? Żebym ja głupiej czajcie dał się za nos wodzić? Przecież wstyd by był, gdyby Pantera na niedzielny pokaz nic nie miał! Chodźcie! Nim te ryby przeżujemy, dwie wiorsty<sup>143</sup> ujdziemy.

Teraz Pantera wysunął się na czoło.

Rosomak mijane ostępy nazywał dla nauki Cota, wbijał mu w pamięć charakterystyczne ich cechy.

— Patrz, to Proszalna Baba. Czy ci ta brzoza, pogięta jakąś katastrofą, z pokurczonymi gałęziami, z głową przy ziemi, nie przypomina żebraczki w kruchcie? A ta, o śnieżnym kwiecie, olbrzymia jarzębina, gdy stanie jesienią w kolorach, czyż nie Krasawica? Ile jej drozdów, kwiczołów, gilów składa wizyty i śpiewa koncerty, biesiadując! A w tym gąszczu, ta sosna z kołtunem jakiegoś pasożyta, czy nie Wiedźma? A ot Janosik, ten świerk masztowy wśród czarnego zagaju. Las, jak ludzkie zbiorowisko, ma tłum i jednostki. Górują jedni urodą, inni siłą, inni indywidualnością, inni powagą lat. Patrz na te trzy dęby! Trzej starcy. Zostali sami na tej wielkiej haliźnie. Był tu kiedyś zwarty ostęp ich rówieśników, jeszcze pnie znaleźć można w jeżynach. Co to za chłopcy na schwał były, taki pułk moczary! Tych trzech opowiada czasem tradycyjną legendę. Trzeba tylko ich szum rozumieć. Tylu a tylu padło, ścieląc groble pod armaty i poczty za Szwedów; tylu a tylu dało życie za Napoleona<sup>144</sup>; tylu a tylu przez chciwość i interes poszło spławem kupieckim do Gdańska<sup>145</sup>, a w zamian inni padli, splacając koszty insurekcji<sup>146</sup>. Ostatni legli niedawno; jeszcze ich zwłoki zmurszałe sterczą het, oplątane krzami. Tędy „wieszateli” Murawjow<sup>147</sup> kazał ciąć tryby<sup>148</sup> i dukty, polując na niedobitki partyzantów-męczenników<sup>149</sup>. Trzej starcy dużo widzieli. Całą kronikę puszczy znają. Oddajmy im pokłon i cześć!

Odkryli głowy i szli chwilę w skupionym milczeniu, aż Pantera niepoprawny rzekł:

— Mnie się widzi, że ten stary, co mu trochę głowa łysieje, ma lokatora w dziupli.

— Co zaś? — zdziwił się Rosomak.

— Nie wiem. Może ryś. Chociaż tego jeszcze nigdy nie spotkaliśmy. Może kuna, tchórz? Otwór wydaje mi się jakby świeżo podrapany. Ja dopilnuję.

— I ja! — szepnął prosząco Coto.

Pantera tylko głową skinął, bo się pilnie rozglądał i orientował. Wreszcie zanurzył się w las trzciny pokrywających brzeg błotnisk. Las to był zielony górą, zeschy od dołu, wyższy nad ich głowy, tak że po chwili tylko po ruchu suchych kit można było poznać ich ślady. Stopy kaleczyły haniebnie twarde pniaki i z trudem rozdzielali gąszcze. Rosomak głową pokręcił. Nawet on się „cudował”, jakim sposobem człowiek bez węchu łasicy i oczu kota znajdzie w tym zielonym odmęcie gniazdo małej ptaszyny.

<sup>143</sup>wiorsta — dawna rosyjska jednostka długości, ok. 1 km. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>Napoleon a. *Napoléon Bonaparte* (1769–1821) — francuski dowódca wojskowy i przywódca polityczny, jako Napoleon I cesarz Francuzów i głowa I Cesarstwa Francuskiego. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>Gdańsk — polskie miasto powiatowe położone nad Morzem Bałtyckim, stolica województwa pomorskiego. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>insurekcja — chodzi o insurekcję kościuszkowską z 1794 roku. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>Murawjow, *Michail* (1796–1866) — rosyjski konserwatywny działacz państwowy, zarządzał gubernią wileńską w latach 1863–1865 podczas tłumienia powstania styczniowego; posiadał przydomek „Wieszateli”. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>tryba — wycięty w drzewostanie pas. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>partyzanci-męczennicy — chodzi o uczestników powstania styczniowego z 1863 roku. [przypis edytorski]



Toteż wędrówka długo trwała — musiał Pantera nieraz zbłądzić, ale wreszcie przykucnął na ziemi i rozchyliwszy suche badyle, pokazał im marnie usłane gniazdo z szuwarów, a w nim pięć błękitnawo-kropiastych jajeczek.

Żuraw, mniej zajadły do ornitologii, spytał ocierając pot z czoła:

— Naucz mnie, jak się to znajduje taką igłę w stogu siana!

— Ano tak. W błocie jak kierz<sup>150</sup> z kitą rogoży<sup>151</sup>. W środku, ot ten! A naprzeciw trzeba mieć tamtą brzozę, ot, jak ręce rozciągnąć. A wtedy trzeba szukać tego!

I zdjął z wierzchołka szuwaru czarne pióro cietrzewie, przywiązane nitką.

— Pantero, niecnoto! — zawołał Żuraw — dobrałeś się do moich narzędzi. Toć to jedwab opatrunkowy!

— Nie znam się na tym. Szukałem kiedyś nici do szycia podartej kurty i wziąłem, co znalazłem — odparł niefrasobliwie Pantera. — Ot, mam resztę w kieszeni!

I oddał mu sumiennie brudny, splątany węzeł drogocennych nici.

— Ot, troglodyty pierwsze wcielenie! — burknął Żuraw, odrzucając śmiecie.

Rosomak troskliwie zebrał gniazdo i jaja do kolekcji i uczył Cota.

— Śliczny to i rzadki ptaszek, krewny słowika, ale wcale nie solista. Za to ma piękną błękitną tarczę na piersi. Niech żyje Pantera za tę zdobycz!

— To i koniec! Wódz się niczym nie chwali? Ani Coto?

— Wybrnijmy stąd i niech zabezpieczę jajka. Widziałem coś ślicznego, ale pewnie poszło. Zaprowadzę was w każdym razie.

— Poszło? Co to może być takiego?

Ale Rosomak milczał i gdy stanęli na trwałym gruncie, wskazał ręką daleko widoczny świerk — tam się skierowali.

Gdy mijali jakąś wrzosem pokrytą haliznę, nagle ujrzeli coś czerwonego, sunącego pędem po ziemi.

— Kuba! — ucieszył się Żuraw.

„Chr, chr!” radosne i Kuba już był na jego ramieniu — zziąjany, mokry, z bokami zapadłymi.

— I jak to szelma nas odnalazł! — podrażnił go Pantera. — Chałupa zamknięta; ani orzechów, ani mleka!

Ale Żuraw czekał widocznie na swego faworyta, bo wkrótce w zanadrzu jego rozległo się zapalczywe gryzienie orzechowej skorupy i zazdrosne mruczenie, by nikt się nie ważył na udział w uczcie.

Świerk, do którego przyszli po długim pochodzie, nie był to Janosik — nazywał się Widz. Konary gęste i rozłożyste tworzyły jakby stopnie, a na samym szczycie była zrobiona z paru lat platforma. Stamtąd dobrą lornetką można było objąć cały raj leśnych ludzi.

Poszedł pierwszy Rosomak z Panterą i po chwili rozległo się ze szczytu:

— Jest! Nie poszło!

Skoczył więc Coto niecierpliwym. Dał mu Pantera lornetkę i wskazał kierunek.

— Widzisz polankę w gąszczu? Brzozy jak wianek wkoło!

— Widzę! I tam coś stoi, skubie trawę. Sarna! I coś się przy niej rusza, w ciapki, małe. Jakie śmieszne!

— Wczoraj się pewnie uległo! Wypatrzyłem przed wieczorem. Dobrze stąd obserwować, nie płosząc. Zresztą polanka wkoło błotem otoczona, ciężki dostęp.

— I chatę widać, i wodną siatkę, i bezbrzeżne bagna, i Czarne Oko już poznaję, i jezioro. Można sobie zrobić, stąd patrząc, mapę i wszędzie trafić. Jutro zaraz zrobię! — zawołał Coto.

— I chmurę widać, co na nas idzie. Oj, bo też skwar trapił. Na ziemię i hajda na pusty łąd! Bo tu pioruny lada moment zagrają!

Ukryli pod świerkiem torby i wierzchnią odzież, gniazdo i puszkę z kwiatem, siekiery i nawet kapelusze; w białźnie tylko i z odkrytymi głowami patrzyli w niebo, oczekując rozkosznej kąpeli.

Burza

<sup>150</sup>kierz (daw.) — krzak. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>rogoża (bot.) — pałka, roślina rosnąca na brzegach jezior, rzek i bagien. [przypis edytorski]

Wicher zaszamotał lasem, porwał się z nim za bary, zawył nagle; gdzieś w puszczy z trzaskiem zwałiło się drzewo — błysk oślepiający wypisał na czarnej chmurze swój mocarny znak.

Zakotłowało się, lunął deszcz, zadygotało powietrze gromami. Wicher darł liście, całe gałęzie — zdawało się, że zwałi drzewa.

Coto oślepiiony, ogłuszony spojrzął po towarzyszach. Pantera gryzł suszoną rybę. Rosomak osłaniał fajkę, by mu nie zgasła. Żuraw zdjął koszulę, owinał w nią Kubę, a tors swój w deszczowej kąpeli rozcierał garścią mchu. Żaden nawet okiem nie mrugał na bezustanne olśniewające błyskawice i jakby głusi byli na ryk piorunów.

Coto postanowił też okazać niefrasobliwość i zaczął gwizdać, ale Pantera dość niedelikatnie trącił go w bok.

— Jak On gada, milczeć, robaku! — krzyknął wśród huku gromu. — Jest czego słuchać z uwagą. To też boży wykład!

— A jeść suszoną rybę wolno?

— Wolno, bom głodny. Ale nawet głupi kos wie, że gwizdać podczas burzy to nieobyczajność chamska jest. Ot, masz karę.

Z chmury wraz z ulewą sypnął grad — zrazu drobny, potem coraz większy. Coto rękami osłonił głowę, a potem, naśladując towarzyszy, zaszył się, ile można, pod mchem i wrzosami. Lodowe kulki smagały boleśnie; zabielała od nich polana.

Pantera wreszcie wyskoczył i schronił się pod jałowcem. Umknął też — czerwony jak rak — Żuraw, nie zapomniawszy zabrać owiniętego w koszulę Kuby. Ale był to ostatek burzy. Chmura posunęła się na wschód i wyjrzało słońce.

— Teraz klusem do chaty — zakomenderował Rosomak.

Zebrał swe graty i pobiegł. Pantera wnet się na czoło wysunął i zniknął w gąszczu. Żuraw w biegu naciągał kurtkę. Coto, dzwoniąc zębami, płatał się w zdartych chodakach. Rosomak suchą odzieżą osłaniał drogocenne gniazdo. Ale się wnet rozgrzali i gdy dobiegli chaty, parowała ich bielizna.

— Obejdziemy się bez chininy<sup>152</sup> — rzekł Żuraw, wchodząc do izby.

Pantera już rozniecił ogień na kominie i wnet czterech — nie leśnych, ale dzikich — nagich ludzi wśród śmiechu przebierało się w suchą odzież.

— Teraz tylko spać — rzekł Coto.

— Doprawdy? A robotę zdać na skrzata — oburzył się Pantera. — Zbieraj te mokre łachy i rozwieś porządnie na strychu! DREW też stamtąd rzucić do sieni, podłogę do sucha wytrzeć, kartofli na kolację obrać, Hatorę wydoić! Widzisz przecież, że tamci już się zanurzyli w swe preparaty zielne i jajeczne. Jazda!

— Co tu jest jednak roboty!

— Aha, a tyś z początku się nudził i łąził po krzakach. Tutaj wszystko tak pracuje. Jak się czasami zmęcę, to tylko popatrzę na tę modraczkę, co karmi jedenaścioro żarłoków, albo na raniuszka, co buduje swe gniazdo! To trochę bardziej kłopotliwsze niż nasza robota!

Poszli boso do szopki. Hatora, sucha, przeżuwała flegmatycznie, Łatana Skóra stała też rozsądnie pod dachem.

— Patrz, jakie to mądre! Wróciło sobie w porę do chaty i zerka na nas z politowaniem. Wynoś się, Kis! — odpędził węża i przykucnął do dojenia.

— Weź no, Coto, pęk ziele, zatknięty za strzechą, i wytrzyj nim małą!

Łatana Skóra obwąchała ziele i ręce Cota i pozwoliła łaskawie dotknąć córki. Małeństwo też przychylnie poddawało się operacji.

Gdy Pantera skończył doić, nalał mleka w skorupkę dla węża, a potem wynalazł w kącie garnek i rzekł z cicha:

— Kropelkę też daję małej, ale Żuraw o tym nie wie. Szkoda niebożątka, jeszcze trawy nie skubie, a komary tną. Naści, rośnij zdrowo!

Patrzyli przyjaźnie. Wąż zanurzył głowę w mleku, żrebię ssało z lubością.

— Pantera — rzekł Coto. — Słyszycie? Co to tak dziwnie terkoce? Jaki to ptaszek?

— To? — posłuchał Pantera. — To znak długiej sloty. To źmija!

— Nie może być! Wężę są przecież nieme.

<sup>152</sup>chinina — pierwszy skuteczny lek przeciwko malarii. [przypis edytorski]

— Chodź, zobacz. Tylko cicho!

Stąpając ostrożnie, z wolna, w kierunku głosu, ujrzeni na ścieżce do wody zmięę. Na wpół zwinięta, podnosiła tylko głowę i wydawała monotonne „trrr” na bardzo wysokim tonie.

Pantera oddał Cotowi skopek, cofnął się do szopki bezszelestnie i nagle skoczył ku gadowi. Miał laskę w ręku — uderzył raz i drugi. Terkotanie umilkło, błysnął białawy brzuch i gad martwy rozciągnął się jak sznur na ścieżce.

Pantera zmiażdżył mu głowę i rzutem laski cisnął daleko w gąszcze.

— Ot, masz ptaszka! Rzadko się odzywa, ale głos ma. Straszne mnóstwo tego plugastwa tu była, gdyśmy osiedli. Zabijaliśmy tuzinami co dzień. Hatora była pogryziona i klacz, i ja. Tamci bosy nie lubią chodzić, więc się ustrzegli.

— Ale że to nie śmiertelny ten jad!

— Przecież mamy doktora! Ale gorączkowałem parę dni. Odrowąz nauczył mnie potem, jakie ziele jest pomocne. Zwierzęta je same znajdują, jeśli tylko dłużej w dzicy żyją. Odzyskują pierwotny instynkt, zatracony przez oswojenie.

Wrócili do chaty.

— Gad trąbi — będzie słota — oznajmił Pantera, trącając Cota i oczami pokazując towarzyszy.

Żuraw w jakieś specjalne waty i bibuły spowijał różowy kwiat, Rosomak wydmuchiwał jajka. Żaden się nie odezwał.

— A na jadalnym stole tylko chleb i sól.

— Gdzie nasza wieczerza?

— Niedziela, nic się nie gotuje — mruknął Żuraw, a Rosomak przerwał dmuchanie i spytał:

— Zabiłeś gada?

— Zabiłem i chcę kartofli suto omaszczonych i gęstych. Mam dosyć płynów!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, przyniósł ze spiżarni ziemniaki i zaczęli je z Cotem obierać.

— W słotę co robić? Nuda! — rzekł chłopak. — Miałem jutro uczyć się pływać, rysować mapę, pilnować, co mieszka w dębie! A tu siedz w izbie!

— Czasami dobra słota! Mnóstwo się zbierze roboty. Zobaczysz, jaki tu bywa warsztat! No, rozpalaj ogień!

Rosomak skończył robotę, wyszedł z chaty i wróciwszy, rzekł:

— Tak! Będzie chłód i słota dni kilka. Nareszcie znaję czas poreperować siatki i kosze.

— A ja skatalogować zielnik! — dodał Żuraw.

— A ja nas wszystkich obszyć i połatać — rzekł Pantera.

— A ja? — spytał Coto.

Rosomak wskazał półki z książkami:

— Historię nowych znajomych poznać!

Zapalił fajkę, zdjął ze ściany skrzypce i po chwili zaczął grać.

— Ot, dopiero prawdziwy niedzielny bal! — szepnął Pantera.

Coto się zaszuchał. Jakieś nieznanne, dziwne melodie wygrywał Rosomak. Jakby opowieść to była, baśń, marzenie. Po chwili Żuraw zaczął mu dopowiadać na jakiejś cudacznej, powiązanej z kilku trzcina czy łóz fujarzy.

Na dworze wieczór posępny zapadał. Niebo, powleczone chmurami, ciemniało i gasło. Żarzyły się węgle na kominie, buzował ogień na kuchni. Daleki chór żab był cichszy niż zwykle, jakoś krócej odegrały hejnał żurawie. Ale smutku nie było ani w przyrodzie, ani w muzyce. Czuć było, że za chmurą stało mocarne majowe słońce, że to tylko chwila tęsknoty i zadumy — w młodości.

— Czyje to, wuju? — spytał Coto, gdy Rosomak przerwał i smyk przykręcał.

— Leśne, majowe! — uśmiechnął się grajek-amator.

I Coto zrozumiał, że to był śpiew puszcy, podsłuchany przez leśną duszę człowieka.

Muzyka, Las, Natura

## SŁOTA

Monotonne dudnienie deszczu po dachu zbudziło Cota. Zaspał, bo w chacie panował ruch roboczy — izba zawalona była prętami łoży, lykiem dartyem, rybimi koszami i królował wśród tego Rosomak, już pracą zajęty.

— Leje — rzekł — będzie co najmniej trzydniówka. Tamci poszli po kwiat Żurawia.

Coto pobiegł do kąpieli. Hatora i klacz w otwartych drzwiach szopki rozmyślały, czy warto narażać na szwank swe skóry, i ziewały na przemian. Kis, błyszczący nową suknią, mizdrzył się w lusterku krynicy. Zmoknięte ptaki siedziały pod parasolkami liści.

— Co mam robić? — spytał chłopak, gdy połknął śniadanie.

— Na co masz ochotę?

— Nauczyć się od wuja koszykarstwa.

— Nietrudna nauka! Wytocz dobrze nóż i szykuj mi, ot tak, witki. Dobieraj starannie gładkie, giętkie, długie! Materiału tu nie brak.

Zaznajomił się Coto z przyborami do rybołówstwa, z ich pierwotnym a dowcipnym urządzeniem, z nazwą i teorią użycia.

Łozy, leszczyna, brzezina i konopne sieci stanowiły jedyny materiał, nóż — jedyne narzędzie. Gdy patrzył na ręce Rosomaka, zdawało mu się, że i robota jest fraszką, tak łatwo łoża się gięła, rozszczępiała, nabierała żądanej formy, wiązała szczelnie i mocno jak żelazny drut.

Ale gdy chciał sam pleść i wiązać, wszystko się buntowało, nie słuchało ręki, łamało, rozłaziło niesforne. Chłopak zrazu opuścił ręce desperacko i chciał roboty zaniechać, ale zawstydził się i zaciąwszy zęby, zaczął ze złością z łożą upartą się borykać.

— Psiakrew! Ja cię zmuszę! — warknął.

— Nie po naszymu! — pokręcił głową Rosomak. — Nic tak nie zdziałasz, łamiąc nasz leśny zakon<sup>153</sup>. Ta łoża dała nam swe wici na użytek, ale tnąc je, dziękowałem jej za dar, a teraz gnąc je, życzliwie o niej myślę. Nie wolno się gniewać; gniew, jak bumerang, wraca do tego, kto go cisnął. Udziela się niepokój wewnętrzny rękom, tak że szarpia, łamia, psują zamiast tworzyć, i powstaje wokoło rozgniewanego i złorzeczącego prąd szkodliwy. Przepróż, chłopcze, łożinę; ona dobra, tylko twe ręce niewprawne. Patrz i ucz się najłatwiejszych ruchów, ujęć, łączeń. A ucząc się, myśl przychylnie o tym tworzywie i wżyj się w jego charakter i właściwości. Wtedy robota będzie dobra!

I zaczął spokojnie i cierpliwie układać palce chłopaka, kierować jego ruchami.

— Wuj się nigdy nie gniewa?

— Człowiekowi nie wolno używać słów „nigdy” i „zawsze”. Mogę najwyżej rzec, że staram się gniewać jak najmniej. Uważaj, nie przyciągaj za mocno tego łyka, tę grubszą wic przed gięciem przygrzej nad ogniem, to się stanie giętsza, a palce lewej ręki tak trzymaj!

— Oj ta dana, oj dana! Rokicino kochana! — zaśpiewał wchodzący do izby Pantera, mokry i ziemią umazany. — Przynieśliśmy „trepek królowny” na noszach jak królewskie regalia<sup>154</sup>. Ulewa, wicher, chłód! Na pohybel<sup>155</sup> komarom i innemu szkodliwemu robactwu! Widziałem całe stadko morskich mew: muszą być srogie wichry na Bałtyku<sup>156</sup>, co je aż tak daleko zagnały. Uparty Żuraw poszedł z piłą do tej huby, a ja mam obiad gotować. Czy są ryby?

— Jeden pyszny szczupak. Kosz był dziurawy, więc się drobiazg wysupłał.

— Oj! Nawet go wódz oczyścił. Udał nam się wódz! Ale widzę, że Coto ma już bąble na rękach. Przystań partolić, skocz na warzywnik, przynies szczaw i nowiny! Okryj plecy siermięgą<sup>157</sup>, bo nie nastarczymy z suszeniem!

Pobiegł Coto i wrócił z mokrym szczawiem i ze złymi nowinami.

— Coś wyłamało płot i stratowało kartofle — pewnie Hatora.

— Bardzo proszę nie obmawiać Hatory, to sprawa łosia albo kozła! Zaraz zobaczę. — I korzystając z okazji, przysnął od gotowania obiadu.

<sup>153</sup>zakon (daw.) — tu: prawo, zasada. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>regalia — tu: symbole władzy monarszej. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>na pohybel (daw.) — na zgubę. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>Bałtyk a. Morze Bałtyckie — morze śródlądowe na szelfie kontynentalnym w północnej Europie. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>siermięga — wierzchnie ubranie chłopskie. [przypis edytorski]

Praca, Nauka, Nauczyciel,  
Uczeń

Praca

— Ten byle biegać! — zaśmiał się Rosomak i zaczął sam gospodarzyć przy kuchni. Pantera wrócił po dobrej godzinie już nie mokry, ale jak gąbka, co wodą nasiąkła.

— Źle! Nasze kartofle zwęszyły dziki. Możemy się z nimi pożegnać.

— Mają dobry gust — rzekł filozoficznie Rosomak.

— Można na nie zapolować, skoro to szkodniki — wyrwał się Coto.

— To i na nas można polować, bo my też lubimy kartofle.

— Ale swoje!

— Jeszcze niewielu ludzi szanuje cudzą własność, a ty chcesz karać dzika, pramieszkańca boru! I zabijać! Jakim prawem? Zrobimy koło warzywnika pomost na drzewie i jak się zanęca, będziemy mieli pyszne studium. Kartofle dostaniemy od Odrowąża.

— I to racja! — zgodził się Pantera, ale Coto milczał nieprzejednany.

— Takem się spocił przedwczoraj, motykując! — zamruczał.

— My też — wruszył ramionami Rosomak. — Trud i praca same w sobie są przyjemne i zdrowe, a za kartofle dziki ci się jeszcze odwdzięczą, zobaczysz!

Po chwili wrócił Żuraw — druga gąbka — i ledwie do obiadu „wałęgi”, jak ich nazwał Rosomak, osuszyli siebie i izbę.

Ale potem ulewa i chłód tak się wzmogły, że nikt za próg się nie wychylił. Zaspany Kuba wylazł ze swego baraniego rękawa i ziewając, przyłączył się do kompanii. Ziębły Tupcio zaszył się w posłaniu Pantery, a ludzie zajęli się pilnie robotą. Pantera przy oknie latał odzież, Żuraw zajął cały stół atlasami i zielnikiem. Rosomak coraz to wyrzucał przed chatę zreperowany kosz. Coto, pomimo bąbli, mozolił się z łożą, ale zamiast wymysłów, pogwizdywał *Koszykarza*.

— Może byś wziął ode mnie lekcję łatania, ty derusie<sup>158</sup>, rekrucie! Patrz, jakieś kurtkę urządził! Wisiałeś pewnie na jakimś sęku, zanim całe plecy się podarły.

— Ej! Ja nie chcę takiej babskiej roboty! — mruknął lekceważąco chłopak.

— Co to jest babska robota? Nie każę ci dzieci rodzić ani karmić, co jest jedynie specjalnie kobiece. Poza tym każda robota każdemu człowiekowi przystoi. Nawet może ja lepiej łatom niż Drozdowa.

— Pantera zna tylko jedną kobietę: Drozdową!

— Już piętnaście zim się swarzymy<sup>159</sup>, można poznać.

— A Pantera nie miał żony?

— Żony? A ty miałeś?

— Ja jeszcze nie, ale Pantera już ma pewnie trzydzieści lat.

— I siedem, rekrucie. Ale mi to jeszcze nigdy do głowy nie przyszło.

Zaczął się śmiać i zwrócił do Żurawia:

— Doktorze! Może byśmy sobie zafundowali po żonie?

— *Spirea palustris*<sup>160</sup>! — zamruczał Żuraw, pisząc.

— A wuj był przecież żonaty! — rzekł Coto.

Rosomak milczał chwilę, bo zębami przytrzymywał wić.

— Tak. Miałem żonę i matkę! Obydwie zmarły, ale żyją w mej duszy czczone i bardzo umiłowane. Dlatego dziwię się, gdy ktoś lekko o tych rzeczach mówi i w ogóle rozmawia. I równie dla mnie dziwnie, gdy słyszę wyrażenie: baba, babskie. Zdaje mi się, że tacy nie pamiętają, kim jest matka, siostra, żona, albo są nieszczęśliwcami, którzy tych trzech rodzajów istot najświętszych nie mogli kochać ani szanować.

Coto spuścił głowę i poczerwieniał, ale Rosomak dobrotliwie po głowie go pogładził.

— Leśny zakon, chłopcze! Miłować, szanować!

Zapanowało chwilowe milczenie, ale niespokojny Pantera wyjrzał za okno i krzyknął:

— Patrzcie! Nie mówiłem? Dudek wyleciał ze skrzynki.

— Doskonała okazja prysnąć od łatania i jeszcze raz zmoknąć! — zaśmiał się Rosomak.

— Nie! Mam dosyć. Ale nie wiem, dlaczego, jak zwykle w słotę, nie zaśpiewamy chórem! Tylko niech wódz zawtóruje na skrzypcach, bo inaczej nie wytrzymam. Żurawiu! Wiedź prym!

<sup>158</sup>derus (daw.) — obdartus. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>swarzyć się — klócić się. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>spirea palustris (łac.) — rodzaj krzewu z rodziny róż. [przypis edytorski]

— Poczekaj do wieczora! Teraz byśmy na próżno sprząkali, by znowu wszystko rozkładać. Ja za godzinę kosze połatam, Żuraw górę roślin uporządkuje. Tymczasem możemy śpiewać niekunsztownie, ot, jak trznadle!

I zaintonował *Koszykarza*. Coto i Pantera przyłączyli się ochoczo, ale bez wielkiego talentu. Żuraw czasami nerwowo ręce do uszu podnosił, aż wreszcie zaczął spieszenie składać swe rośliny i opróżniać stół.

— Ratunku, Pantero! Bierzesz jeden ton pierwszy, a potem nagle dwa tony wtóru. Przestań, bo wszystko sobie w uchu poplączesz.

— Co tam, byle wesoło! — odparł figlarz ze śmiechem. — Właśnie tak wyciągałem, żeby się z tobą podroczyć. Teraz będzie koncert.

Coto bawił się całą duszą. Pieśń po pieśni: ludowe, narodowe, kipiące krakowiaki i oberki oraz smętne rusińskie dumki płynęły z pełnych płuc, aż dygotały ściany chaty, aż im się śmiały oczy i pokraśniały twarze. Kuba skoczył na piec przerażony, a Tupcio stoczył się z łóżka i ukrył w kącie. Za płotem ukazały się, zapatrzony ze zdumieniem w okno, głowy Hatory i kłaczy. A oni na przemian śpiewali i śmiali się z uciechy.

— Taka słota się nie sprzykrzy — rzekł wreszcie Coto.

Nie sprzykrzyła mu się, choć trwała tydzień. A ile się nauczył. Na trzeci dzień już zrobił porządną kosz na ryby, wiązał sieć prawie tak prędko jak Rosomak, łąty wstawiał geometryczne. A poza tym ile się nasłuchał o tajemnicach puszczy, ile przewertował atlasów, wykuł teorii z Naumanna<sup>161</sup>, Brehma<sup>162</sup> i Taczanowskiego<sup>163</sup>! A ile się nauczył nowych pieśni, śmiesznych zagadek i przypowieści Pantery. A ile razy zmókł, zmarzł, bez żadnej szkody dla zdrowia. A jak się żył z towarzyszami, jak się czuł swojsko wśród nich — o tyle starszych, a tak młodych duszą!

Aż któregoś dnia dostąpił zaszczytu, że Rosomak posłał go w swoim zastępstwie, by przejrzeć parę bliższych koszy rybnych! Oni z Panterą założyli w izbie warsztat stolarski; obrabiali brzożową czeczotę na skrzynki, które Pantera fabrykował bardzo kunsztownie zimą.

— Przywiąż sobie od razu dwa pęcherze pod pachy, bo się utopisz! — rzekł chłopcu na pożegnanie niepoprawny kpiarz.

Ale Coto nie był już nowicjuszem. Wylał wodę z czółna i naśladował ruchy Rosomaka — powolne, przemyślane. Nawet z braku fajki trzymał w zębach lodygę tataraku.

Parę razy zmylił drogę wodną, ugrzązł z czółnem w szlamie, paru „hatów” nie odnalazł, ale w rezultacie nawet się z głową nie skąpał i ze sporym workiem ryb do domu zawrócił. Nagle, wśród jakiejś gęstwiny trzcin, usłyszał tuż obok głos ludzki.

Jak już zdziczał i stał się ostrożny na wzór tubylców z puszczy, pokazał jego ruch, którym wiosłem się całą siłą odepchnął i ledwie się obejrawszy, umknął. Mignęła mu jakaś głowa, wyrastająca nad chaszczę — i tyle.

Gdy wylądował i wszedł do izby z rybami, rzekł: „Widziałem człowieka!” takim tonem, jakby mówił: „Widziałem hipopotama”.

— Co znowu! W tę słotę! To chyba jakiś śmiertelnie chory do Żurawia. Kładki muszą być znowu pod wodą.

Żuraw stęknął i czekał na los.

— A może to był leśny duch? Uważałeś, jedno miał oko czy parę? Róg sterczał na głowie?

A Coto szczerze raportował:

— Nie trafiłem do wszystkich „hatów” i dwa razy ugrązałem na mieliźnie. Ale ryby przywiozłem. Są szczupaki i jазie.

— Ho, ho! Jakie to już mądre i gadające, ten projekt leśnego „ludzia”.

Pantera wytrząsnął ryby w ceberek<sup>164</sup> i zaczął je oprawiać, a Coto się przebieirał koło ognia, gdy wtem skrzypnęły drzwi wejściowe i głęboki głos pozdrowił ich.

Zerwali się wszyscy. Oczy Rosomaka zabłysły tak, jak błyszczwały tylko do jego ukochnych ptaków, uśmiechnął się radośnie Żuraw i wszyscy jednym głosem odpowiedzieli:

— Witajcie, ojczel!

<sup>161</sup>Naumann, Johann Andreas (1744–1826) — niemieckim ornitolog. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>Brehm, Alfred Edmund (1829–1884) — niemiecki zoolog. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>Taczanowski, Władysław (1819–1890) — polski ornitolog. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>ceberек (daw.) — wiejskie naczynie zrobione z klepek. [przypis edytorski]

Do izby wszedł olbrzymi chłop. Twarz miał suchą z orlim nosem, parę szarych, bystrych oczu, usta osłonięte przyszyżonym siwym wąsem, na głowie gęsta, krótka, szpakowata czupryna — a w całości swej typ przepyszny, sarmackiej siły i powagi. Miał na sobie burą kapotę, nogi w rzemiennych chodakach; przy jednym boku nosił borsuczą torbę, przy drugim lubiankę, puzderko, na plecach strzelbę pistonówkę<sup>165</sup>, za pasem rzemiennym siekiere. Pozdrowiwszy, podniósł oczy na Królową i odmówił ich zwykłą modlitwę: *Salve Regina*, potem zaczął się rozbierać i zawieszać swe rzeczy w alkierzu Pantery na zwykłych widocznie miejscach. I mówił, odpowiadając na ich pytania:

— Byłbym już u was, synkowie, dawno. Co mi kładki! Ja znam przejścia zawsze dostępne! Ale mi córka wnuczkę urodziła i trochę zachorzała. Musiałem więc być za gospodynię i niańkę. A potem chrzciny! Trza było całą „okolicę” ugościć. Teraz już z wami zostanę przez sianokosy. Trawy, widzę, dobre, ale z rybami ubogo w tym roku. Za wielka woda i jeszcze dołało. Ale od nowiu nastanie dobra pogoda. Widzę, chłopak wam przybył do kompanii. Swój czy cudzy?

— Siostry syn! — odparł Rosomak.

— Jasnooki i czarnowłós jak wasz ród. Krzepki w sobie i suchy; pożyje długo, byle rozum miał. A mądry dzieciuch! Jakiem na niego zawołał, to tylko okiem rzucił i umknął. Tak, chłopcze, zawsze czyn, jak w pustce obcego spotkasz. Obcy a wróg to prawie jedno!

Stary był widocznie u siebie. Zajrzał do spiżarni, do sieni, do komory, umył ręce, rozwiesił swą kapotę na piecu i rozsiadł się ze swą kobiałką<sup>166</sup> za stołem.

— Gościńce<sup>167</sup> przyniosłem. Tytoń mój zeszlóroczny, nad podziw się udał. A te nici na siatkę, z samych płoskuni<sup>168</sup>, zebrane po źdźble. Nie zerwie się, nie zgnije! A taki pantofel macie?

— Remizowe gniazdo! — krzyknął Pantera.

— A to dla doktora z tej góry piaszczystej nad rzeką! Trudno było żyć wtedy, kiedy tą siekiere trzeba było i drzewo ciąć, i zwierzynę zabić!

— Przepyszny okaz — radował się Żuraw.

— Jasiek tego mnóstwo nabierał i trzyma dla doktora schowane w swironku<sup>169</sup>. Są i skorupy, i całe garnki!

— Skarby!

— Jak dla kogo. Dobrze uciechę sprawić. Jako dla mnie kiedyś chorążego strzelba! Nie znaleźliście przypadkiem?

Potrząsnęli głowami. Była to mania starego — odnalezienie strzelby ukrytej w czasie powstania<sup>170</sup>.

Pantera dostał parę przepysznych rzemiennych chodaków, a resztę zawartości kobiałki stary zaniósł do spiżarni.

— Magda napchała jaj i manny. Powiada, że czajcze się sprzykrzą! A teraz dajcie no robotę i powiadajcie, jak się wam wiodło od przybycia!

Zaczęły się opowieści. Stary zabrał się do wiązania sieci, oni — do swych robót.

Przed obiadem Coto wymknął się za Panterą do obrządku zwierząt i spytał:

— To ów sławny Odrowąż? A on kto taki właściwie?

— Mędrzec nad mędrkami w leśnym bycie. On to z nami chałupę stawiał, on nas wszystkiego, co umiemy, uczył. Dla niego nie ma nic nieznanego tutaj.

— A on chłop? Bo mnie się zdaje, jakby jeden z Matejkowskich<sup>171</sup> rycerzy ożył.

— Jego pradiadawie byli dworzanami pradiadków Rosomaka kiedyś, jak cały ten szmat łądu i wody do tego rodu należał. No i tak trwało przez wszelkie katastrofy. Ten Odrowąż był ze stryjem Rosomaka w powstaniu, uratował go od śmierci i Sybiru<sup>172</sup>, wywiózł za granicę, i ledwie go ubłagano, zmuszono, by przyjął folwark w nagrodę. Ma

<sup>165</sup>pistonówka a. kapiszonówka — odprzodowa broń palna z zamkiem kapiszonowym. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>kobiałka — nieduży wiklinowy koszyk z wikliny lub z лыka. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>gościńiec (daw.) — tu: dar, podarunek. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>płoskun — rodzaj konopi. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>swironek (daw.) — schowek, magazyn. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>powstanie — chodzi o powstanie styczniowe z 1863 roku. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>Matejko, Jan (1838–1893) — polski malarz, twórca obrazów historycznych i batalistycznych. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>Sybir a. Syberia — kraina geograficzna w płn. Azji, wchodząca w skład Rosji; miejsce zesłania m.in. powstańców styczniowych. [przypis edytorski]

zatem folwark, dworek, jedynaczkę córkę tak urodziwą jak ziemia w maju, zięcia mruka, ale bardzo porządnego człowieka, Szczepańskiego, wnuka Jasia... no i nowo narodzoną wnuczkę, niewiadomego mi jeszcze imienia. Każdego lata tamci spędzają z nami parę tygodni, bo koszą siano po polach, ile im siły starczy, w czym i my im pomagamy. A stary, byle miał czas wolny, z nami bytuje. Zimą pilnuje naszego raję!

Gdy na trąbkę przyszedł do obroku zwierzęta, Odrowąż je obejrzał starannie i uwolnił od kleszców, których Pantera nie wypatrzył. Pochwalił źrebie, dojrzał dziurę w dachu obórki i zaraz ją zapchał szuwarami, a wracając do chaty, rozejrzał się po niebie i ziemi, powęszył i rzekł do Rosomaka:

— Jutro będzie pogoda, a że woda zgórowała na niższe zalewy, możemy poszukać ryb w szuwarach z nakrywką.

— Wuju, i ja popłynę! — zawołał Coto.

— Tere-fere kuku! Popłyniesz, ale po ziemi ze mną i z motyką do kartofli — zaprotestował Pantera. — Kto z garnka żyje, musi do garnka coś dolożyć.

Coto milczał, wdrożony do posłuszeństwa leśnego, ale łamał sobie głowę, jak by i robotę załatwić, i połowu nie stracić. Jakoż, zaledwie sprzątnęli po obiedzie statki, chwycił motykę i pomimo słoty popędził na warzywnik. Wrócił triumfujący przed wieczorem i zastał w chacie tylko Żurawia.

— Odziobałem całe pole. Wolnym na jutro.

— Pantera tego właśnie chciał.

— A gdzie tamci?

— Popłynęli sprawdzić wysokość wody. Ot, wracają! Przynies no wody z krynicy!

Wrócili i wnet się zabrali do porządkowania jakiegoś cudaczego kosza, który Rosomak zniósł ze strychu.

— Podobne do muchołówki, takiej szklanej — zauważył Coto.

— Twój wujek to majster od połowów. Zobaczysz, jaka to sztuka.

— To weźmiecie mnie z sobą?

— Poprobujemy, czy przynosisz szczęście. Rybactwo to jak gra w karty, ślepa rzecz. Bywa kompan szczęśliwy, bywa i zło-oczny. Poprobujemy, jakiś ty!

— Umieć już kosz nastawić i pływać ma mnie wuj nauczyć, i racze pieczary znam nad jeziorem, i wiem, jak się każda ryba zwie.

— Nawet i taka, co piszczycy? — uśmiechnął się Odrowąż. — I pewnie kielbie umiesz łapać?

— Nie, piszczącej nie znam. Ani kielbi. Niech mi ojciec opowie o strzelbie z powstania, będę słuchał do północy.

— Hej, gadki się prawi po św. Marcinie<sup>173</sup> albo spoczywając w skwarne, niedzielne południe. O tej porze światła nie wypada świecić wieczorem. Ze słonkiem trza iść spać, na żurawia wołanie wstawać.

Jakoż stary wypił kubek mleka na wieczrę i zaraz poszedł spać do alkierza Pantery, który ulokował się na stryszku chaty.

Coto postanowił do świtu nie zasypiać, lecz zbudziły go nie trąby żurawie, ale monotonny, przeciągły głos ludzki.

To Odrowąż odmawiał godzinki<sup>174</sup>, a na świecie był pogodny ranek.

— No, odwalona ślota-wiedźma — rzekł wesoło Pantera, zeskakując z góry. I stanął, nasłuchując.

— „Tyś niezwykniętego plastr miodu Samsona”<sup>175</sup>. To jeszcze dobrą chwilę potrwa, nim dziad skończy — szepnął. — Chodź, pokaż ci pływanie.

<sup>173</sup>św. Marcin a. Marcin z Tours (316/336–397) — biskup Tours, święty Kościoła katolickiego i prawosławnego; jego święto obchodzone jest 11 listopada. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>godzinka — tu: modlitwa poranna. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>Tyś niezwykniętego plastr miodu Samsona — fragment z modlitwy maryjnej, odwołujący się do tekstu biblijnego: „Lecz przypadł Duch Pański na Samsona i rozdarł lwa jakoby koźlę na sztuki roztargając, nie mając zgoła nic w ręku; a tego ojcu i matce nie chciał oznajmić. I szedł, i mówił z niewiastą, która się była podobała oczom jego. A po kilku dni wracając się, aby ją pojął, zstąpił, aby oglądał ścierw lwi, a oto rój pszczół był w paszczęce lwiej i plastr miodu. Który wzięwszy w ręce, jadł na drodze i przyszedłszy do ojca swego i matki, dał im część, którzy też sami jedli, a przecię im nie chciał powiedzieć, że był miód z ścierwu lwiego wybrał” (*Biblia Jakuba Wujka*, Sdz 14, 6-9). [przypis edytorski]



Świat, deszczem obmyty, aż oczy rwał krasą. Polecili prawie nadzy do ruczaju i Pantera po swojemu wciągnął chłopaka od razu w głęboką zatokę, że się wnet zaczął topić i bezradnie, rozpaczliwie miotać w wodzie. Podtrzymał go więc i bawiąc się, sztuki pływakie pokazując, ośmielił, lęk przemógł, sposobów uczył.

— Nie takie to straszne, jak się zdaje — rzekł Coto, gdy po pierwszej próbie na brzeg się wydostał.

— Nie ma tu nic straszego, bo jakbyś się nawet utopił, to raz śmierć! — zdecydował filozoficznie Pantera, wycierając się garścią szuwaru i naciągając suchą bieliznę.

Gdy wrócili na śniadanie, Odrowąż godzinki odśpiewał i wzuwał buty na przyzbie.

— Zaraz ruszemy? — spytał Coto.

— Ryba nie zwierz, nie żeruje o świcie. Lubi słonko jak owad! Chyba wiosną z luczzywem jej się szuka i bije. I za godzinę będzie czas!

Nie spieszyli się. Przy śniadaniu zaczęli sobie opowiadać różne rybackie historie. Po tem wypalili po parę fajek i nareszcie ruszyli.

Na przodzie czółna zajęli miejsce Rosomak, mając pod ręką cudaczny swój kosz. Odrowąż ulokował się z tyłu, a Coto przykucnął w środku.

— Do koszów i zaglądać nie warto, woda poszła wyżej „hatów”. Od razu płynmy za jezioro w tatarak! — rzekł Rosomak, biorąc się do wiosła.

Coto podziwiał, jak czółno pod ich wodzą zwrotne było, zwinne, lekkie. Przemykało przez ciasne przesmyki, kręte prostki. A oni, wiosłując od niechcienia, gwarzyli o zwierzu i o borze, o życiu letnim i zimowym tej bożej głuszy — tylko nie było mowy o ludziach.

Wreszcie wypłynęli na bezbrzeżną połąć zatopionych nizin, porośniętych szuwarami i tatarakiem. Z rzadka, jak bukiety, stały łożowe krzaki i wypryskały nad kobierzec zielony czuby wodnych żabieńców i kobylnika.

Badawcze oczy rybaków objęły to wodne pole. Umilkli, fajki wsunęli w zandrże, przygotowali się do roboty.

Odrowąż wiosło ujął starannie, Rosomak swoje wziął w lewą rękę i z koszem w prawej stanął na samym czubie łodzi, gdzie tylko na dwie stopy było miejsce i najłżejsze zachwianie groziło przymusową kąpielą.

— Może ja pomogę wam wiosłować, ojczy? — rzekł Coto.

— Cyt! Siedz cicho! Nie przeszkadzaj! — fuknął dziad, wpatrzony w Rosomaka. Czółno posuwało się powoli, prawie dnem muskając o trawy.

Rosomak oczami badał toń i niekiedy ruchem wiosła wskazywał kierunek. Coto oczy wytrzeszczał, ale nic nie widział i nic nie rozumiał.

Nagle Rosomak kosz w wodę cisnął i nogą go przydeptał, jednocześnie wiosłem utrzymując łódź w miejscu. Było to mgnienie oka, ale w tej sekundzie Odrowąż swoje wiosło zaparł w grunt, a Rosomak nogę cofnął, kosz poderwał i wytrząsnął zeń sporego szczupaka.

— Udało się. Dobry czas! — uśmiechnął się Odrowąż, wyjmując wiosło i garnąc znowu wodę powolnym ruchem.

— Jakże to? Skąd wuj wiedział, że tam jest ryba? — spytał Coto, oszołomiony tą sztuką.

— Uważam na ruch trawy, gdzie ryba żeruje. Nie zawsze się trafi! — odparł Rosomak spokojnie.

— To straszna sztuka, wuju, tak się utrzymać: i siebie, i kosz, i łódkę. Jak wuj to potrafi! — zachwycił się chłopak. — Ja bym się skąpał.

— I jam się nieraz skąpał. I z innym sternikiem nie dam rady. Rybactwo takie wymaga, by dwaj byli jak jeden. Widzisz, ot tam, ryba chodzi!

Umilkł, znowu się cały we wzroku skupił i naprężony do rzutu i skoku, ruchem lewej ręki dawał znaki.

Zapał ogarnął Cota. Podniósł się i aż drżał. Następny rzut kosza, małe drgnienie łodzi, przedziwna zwinność rybaka w utrzymaniu równowagi — i znowu błysnął w słońcu biały brzuch ryby, spadającej z kosza do czółna.

— Dzieciuch przynosi szczęście! — rzekł Odrowąż. — Zbieraj ryby do torby i nie stój, bo mi zaslaniasz!

— Boże, żebym ja tak potrafił! — westchnął chłopak.

Bywały jednak rzuty chybione. Wtedy Rosomak mruczał: „Pudło!”, a Odrowąż spluwał w wodę. Bywała zdobycz marna — płotka, drobiazg. Wtedy Rosomak mówił: „Szlak znaczy, jakby kryolinę nosiła”, Odrowąż komenderował chłopcem:

— Wyrzuć do wody z powrotem, nie dla nas taki towar!

Po tym zielonym łanie płynęli zygzakiem, nawracając, krążąc — pochłonięci namiętnością łowiecką, nie rachując ani czasu, ani sił. Słońce dogrzewało mocno, po twarzy Rosomaka spływał pot; chłopcu od wpatrywania się latały płatki czerwone przed oczami. Aż wreszcie z kosza na dno łodzi spadło coś czarnego wielkości talerza.

— Ot i „czerepacha”<sup>176</sup>, tfu! — splunął Odrowąż. — Już nic nie złowim po niej.

— Żółw! — krzyknął Coto. — Będę go hodował!

A Rosomak spojrział na niebo, odłożył kosz i zstąpiwszy w środek łodzi, usiadł i wydobyl fajkę.

— Południe, ryby w głąb poszły. Możemy spocząć. Pod ławką jest torba z chlebem. Jedz, chłopcze!

Starsi palili, rozglądając się. Ptactwo wodne krążyło z wrzaskiem — czajki i hryce najzuchwalej dopadały i łajały intruzów.

— Dzieciuch ma szczęście! — ozwał się nagle Odrowąż, dając wyraz myślom, które snuł. — Bo i z rodu szczęśliwego ma krew, choć nazwisko inne. Tak to, chłopcze, możesz się dumnie nosić. A żebyś wiedział, w czym rodu szczęśliwość: w tym, że umie jednak, bez lęku, tracić i nie rachuje, dając. Trzeba dać, wszystko da; ani się zawaha, ani nie pożałuje. Tego nie potrafi ni głupi, ni cham! Na to potrzeba wiele razy wszystko stracić, wszystko oddać! Powiadał mi mój dziad, co brał udział w insurekcji z panem, że nawet podjezdek<sup>177</sup> w stajni się nie ostał, a sprzedali nawet guzy od szat. A jak się mój dziad frasował, to pan się śmiał: „Co się krzywisz, jakbym na marmuzele<sup>178</sup> stracił! Rzeczypospolitej dano, skrypt mam”. I szramę głąskał na twarzy! — Zadumał się Odrowąż, fajka mu zgasła i potem jakby do siebie zamruczał:

— Jaśnie wielmożna Pani! Trza jej wszystko dać. Tak się należy!

Wytrząsł fajkę, wstał, wziął za wiosło i pchnął czółno.

— Poprobujemy na pohybelniku, tam jazie okrutne się trafiają, a może i sum z głębi na mieliznę wyjdzie.

Pokręcił głową Rosomak.

— Tam spód torfowy, jałowizna, zimno. Kierujcie przez jezioro na zalany ług<sup>179</sup>!

Rozpoczęły się znowu łowy.

— Wuju! — zaczął prosić Coto — żeby ja raz spróbował! Już widzę ruch ryby, już rozumiem, jak wuj nakrywał. Raz jeden spróbuję!

— Niech się pozbędzie ochoty! Tu płytko, niezbyt grząsko. Niech się skąpie: woda ciepła! — poparł go Odrowąż.

— Co się mam skąpać! Potrafię!

— Na wszelki wypadek zdejm koszulę i zzuż chodaki! — rzekł Rosomak.

— Ale ja czuję, że potrafię! — upierał się chłopak. — To tylko zrazu wydaje się takie trudne. Teraz rozumiem.

Rosomak zszedł ze swego stanowiska, oddał mu wiosło i kosz.

Coto stanął na krawędzi, zachwiał się, podtrzymał wiosłem.

— Na obu nogach twardo i śmiało stój.

— Ja wiem, tylko... O, już stoję.

— Wiosło podnieś, bo czółno trzymasz bez ruchu! — komenderował Odrowąż.

— Zaraz, zaraz! Tak się to zdaje łatwe... O, już!

W tej chwili stracił równowagę i głową naprzód wpadł w wodę.

— Aha! Już! — spokojnie rzekł Odrowąż.

— Mówiłem: „Zdejm koszulę!” — dorzucił równie spokojnie Rosomak.

Chłopak zerwał się na nogi i chwycił oddech. Trochę się zląkł, a najbardziej stracił rezon. Wgramolił się do czółna, a Rosomak, jakby nic nie zaszło, wyłowił wiosło, kosz, kapelusze i zajął znowu swe miejsce.

<sup>176</sup>czerepacha (daw.) — żaba leśna. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>podjezdek — koń wierzchowy używany przez służbę. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>marmuzela (gw.) — panna z miasta, która lubi się stroić. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>ług a. łęg — podmokła łąka. [przypis edytorski]

— Oczom wszystko łatwe się zdaje, jako myśli i językowi! — rzekł Odrowąż. — Nic to! Skąpiesz się raz i drugi, za trzecim ustoisz. Potem, kosz ciskając, znowu się skąpiesz, a wreszcie sposób zrozumiesz i byleś uparcie chciał i rybactwo lubił, to będzie ciebie i łódź, i woda, i ryba słuchała. Władzę nad każdą rzeczą tak można wziąć.

— Ojcze, na lewo, żywo! Tam coś wielkiego chodzi! — szepnął Rosomak.

Wychylił się naprzód, wyprężył i skoczył. Cisnął kosz i siebie zarazem. Woda bryzgnęła pod nim, zakotłowało się w koszu; — nie podnosił go, ale przez wierzchni otwór ramię zanurzył.

— Jest! Jakiś ludojad! — zawołał.

Odrowąż czołnem zawrócił. Coto, zelektryzowany, skoczył też do wody i do kosza się cisnął.

Po chwili trudu Rosomak zdobycz przytrzymał, Odrowąż wiosłem kosz podważył, a Coto go do czołna wygarnął:

— Sum wąsacz! Osobliwość! Trzymajcie pod koszem, bo wyskoczy! No, teraz do domu wracać. Udało się jak w bajce.

— A czemu wuj nie zrzucił koszuli i chodaków? — zaśmiał się Coto, gdy obydwaj, do cna zmoczeni, znaleźli się w łodzi.

— Bo mi nie poradziłeś! — uśmiechnął się Rosomak.

Teraz dla rozgrzania parli łódź żywo, a Odrowąż takie znał prostki i przesmyki, że ani się obejrzeni, jak byli w swej przystani.

Rosomak huknął — nikt mu nie odpowiedział, tylko Kuba przyśmigał po gałęziach i skarżył się, że głodny. Odezwała się też klacz i nawet apatyczna Hatora oznajmiła, że jej się należy południowy obrok. A słońce stało dobrze po południu. Chata była pusta. Na stole leżała kartka od Żurawia, że przyszedł do niego chłop po ratunek dla chorej żony i że wróci ledwie na noc. Ale Pantera o sobie żadnego nie składał raportu i Rosomak głową pokręcił.

— Figiel jakiś komuś płata albo zasnął w puszczy. No, bierzmy się do roboty! Rozpalaj ogień, chłopcze, i przebierz się! Ja domowników nakarmię i krowę wydoję. Zaraz trzeba ryby oprawić, bo upał. Naści, Kuba, orzechów, nie lamentuj!

Odrowąż nie dbał o obiad ani o spoczynek. Zaraz suma na trawę wywlókł, zabił i jął słuź ze skóry wiechciem i popiołem oczyszczać. Coto skoczył mu na pomoc.

— Pantera opowiadał, że raz w brzuchu suma znalazł żydowskie „bogomolie”<sup>180</sup>. Podobno połknął cyrulika<sup>181</sup>, który się utopił.

— A pantofle strawił! Ho, ho, Pantera widział pewnie i króla węzów z kamykiem, co czyni niewidzialnym. Tego kamyka on często używa!

— On także opowiadał, że dał gadzinie rozdrażnionej gałązkę lipową do ugryzienia. No, i gałązka zrobiła się gruba jak kolek. Czy to być może?

— Wszystko być może, byle znalazł się głupi, co kłamcy uwierzy.

— On mi obiecał to pokazać, tylko żmij nie spotkaliśmy wtenczas.

— Jak się trafi żmija, to właśnie lipowej gałązki nie będzie pod ręką.

Rosomak przyniósł im mleka i chleba — na gotowanie obiadu nie było czasu.

Zajęli się wszyscy trzej oprawieniem ryby i tego się zmachali, gdy wreszcie ukazał się Pantera, niosąc w rękę przepysznego zielonogłowego kaczora.

— Byłem u pszczoł na Puchaczym Ostrowiu! — zagadał, by usprawiedliwić swoje zniknięcie. — Lada dzień będą się roić! Okrutna siła! A wracając, patrzę: z sosny zrywa się jastrząb i coś błyszczący przy rososze. A to on, szelma, kaczora tego tam przyniósł i zaczął drzeć. Ot, na szyi znaki. Odebrałem! Ale i wam wyprawa się udała. Suma pod nakrywkę wódz wziął! Ot, majster. Dajcie, ojcze, zastąpię was! Palcie fajkę na komary!

Odrowąż się wyprostował, obejrzał kaczora i krzesząc ogień z fajki, powoli odparł:

— Z sumem też osobliwość się stała. Płyniemy, płyniemy... Patrzymy: sokół leci i bęc... Coś nam w czołno upuścił. To był sum.

— Ho, ho! Musiał nie sokół, ale nurek być — zaśmiał się Pantera.

— Nie. Sokół i pewnie ten sam, co tego kaczora na wodę złowił.

I Odrowąż pokazał dziób ptaka rozdarty żelazem haczyka.

<sup>180</sup>*bogomolie* — prawdopodobnie chodzi o przedmioty związane z kultem religijnym. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>*cyrulik* (daw.) — fryzjer wykonujący także proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

Coto na razie nie rozumiał i patrzył zdumiony, aż go objaśnił wybuch śmiechu Pantery.

— Ot, i dopatrzył. Przed wami nic się nie ukryje. Mówiłem ci, rekrucie, mędrzec nad mędrkami ten nasz nauczyciel.

— No, to opowiedzże, jakieś polował? W jeziorze, z harbuzem na głowie?

— Nie. Z brzegu, na Tęczowym Moście. Kaczki tam stadami żerują. Nawłokę kijanek na haczyki, puszcze na wodę, a sam leżę i czekam. Fatyga niewielka, a jak sznurki od wędek o nogę zaczepić, to i przespać się można. Jak kaczka się złapie, to sama znać da i obudzi, za nogę ciągnąc!

Rosomak ryby oprował i ani słowem się nie odezwał, ale milczenie to dobrze Pantera rozumiał, bo po chwili zaczął się usprawiedliwiać.

— Właściwie myślałem, że się szczupak złapie, ale te kaczki takie obżarte, że szuflują<sup>182</sup> błoto, na nic nie zważając. No i te kaczory to nicponie. Gniazda nie pilnuje, samiczki nie pilnuje, o małe nie dba. Łobuzy błotne! Prawda, wodzu? Rozpustniki to i byłyby, pewnie nawet pijaki, gdyby ktoś tam na bagnie wódkę szynkował.

— Jeśliś się mianował kaczym misjonarzem, to w ten sposób obyczajów nie poprawisz.

— Zawsze o jednego zbereźnika mniej!

— Pozostali cnoty nie nabiorą, ale chytróści w unikaniu misjonarza!

— Gotowe! — zawołał Pantera, prostując się. — Teraz niech nam doktor gotuje głowę suma, a ryby do pieca! Ażeby wódz na mnie nie był krzywy za tego marnego kaczora, to ja powiem, żem odkrył osobliwość. No, mówić?

— Pleć, pleciugo! — zaśmiał się Odrowąż.

— Znalazłem gniazdo kaczki na drzewie. Dalibóg, na sośnie!

Rosomak ruszył ramionami. Coto parsknął śmiechem.

— Bywa! — potwierdził Odrowąż. — Nawet ci opowiem, jak małe wyprowadza, bom widział: brała każde w dziób, zносиła na ziemię i kładła łapkami do góry. Leżały spokojnie na grzbiecie, aż zniosła ostatnie. Wtedy każde odwróciła na łapki i poszły za nią sznurkiem do wody.

Nikt mu nie zaprzeczył, a Coto jął się dopominać, żeby go Pantera zaraz do gniazda prowadził.

— W niedzielę pójdziemy. A teraz, Pantero, chatnym ładem się zajmij, bo Żuraw wróci późno w nocy. Zresztą on już swój miesiąc odsłużył. Na ciebie kolej.

Pantera obładował się rybami i ruszył do chaty, pośpiewując:

Oj dej dy dy, oj dy dy,  
Zagnali mnie do bidy!  
Oj do bidy, do jakiej.  
Dali latać przetaki<sup>183</sup>.

Bujne wyprawy, włóczęga po puszczy, cudaczne łowy i pomysły — wszystko to trzeba było przerwać i zaprząć się do orki domowego gospodarstwa na cały długi miesiąc.

Przez chwilę oswiady był Pantera, potem coś sobie wymyślił na pociechę, bo zaczął pogwizdywać i uśmiechać się do siebie. I zabrał się do roboty z wielkim rozmachem.

## ZNÓJ

Zapanowało nad ziemią słońce w całej potędze. Wieczorne zorze nie gasły. Ledwie się stały bursztynowe na zachodzie, już wschód opalowy się nadszedł i po krótkiej nocy budził się świat do czynu. Bujały liście, kwiaty, słały się dywany coraz barwniejsze, we wszystkich gniazdach samiczki ogrzewały jajka lub zaczynały karmić pisklęta. Miodowa woń biła ku niebu z polan kwiatnych, upajała szarą chmarę pszczałę, podniecając do rójki<sup>184</sup>. Jak srebrne flety grały po lesie wilgi — ostatni przybysze letni! Nie było to jeszcze lato, ale zaczął się znój i gorączkowa praca tworzenia owocu z kwiatu, hodowania przyszłości.

<sup>182</sup>szuflować (daw.) — przerzucać. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>przetak — duże sito. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>rójka — masowe loty owadów w okresie rozmnażania się. [przypis edytorski]

Pod sosnami w słońcu zabarwiły się poziomki; w cieniu wystrzeliły pierwsze wielkie dzwonki; łąki zaczerwieniały od smółek.

Wszystkie te oznaki zbierał w myśli Pantera, przykuty do chaty, oczekując na coś, co go uwolni od gotowania i krzątania gospodarskiego.

Obierając kartofle, sprzątając, piorąc bieliznę, rąbiąc drwa, zawsze zerkał w kierunku kładek, które prowadziły do dalekich ludzkich osiedli.

Aż pewnego odwieczera, gdy szykował ryby do suszenia, posłyszał szelest w chaszczach i na polanie ukazał się chłopak, wyrostek.

— Jasiu! A gdzie matka? — krzyknął Pantera, czując wielką ochotę do fiknięcia koziołka z uciechy.

— Idzie z ojcem i siostrą. Bo wiecie, mamy dziecko! — Marynka! A gdzie dziadzio?

— W puszczy. Aleście marudzili z przybyciem w tym roku!

— Czekaliśmy na ciotkę, która się aż do Kalwarii<sup>185</sup> pieszo ofiarowała. Nie można było domu bez opieki zostawić! A wiecie? W tym roku już i ja koszę!

Stanął chłopak — wyprostowany i dumny, że znoju już jest godny jak sławy. Na ramieniu niósł kosę i grabie, a spod kres<sup>186</sup> słomianego kapelusza patrzyły zuchwale czarne oczy. Kosę starannie zawiesił w cieniu, pozbył się torby i spencera<sup>187</sup> płóciennego i od skwaru spragniony poszedł do wiadra z wodą.

A na polanę weszło dwoje ludzi. Kobieta — smukła, wysoka, z dzieckiem na rękę i mężczyzna — czarniawy, obładowany kosami, grabiami, łożową kołyską i torbami.

— Pochwalony Jezus! — pozdrowiła kobieta, uśmiechając się z serdeczną życzliwością.

— Na wieki! Witajcie, matko! — odparł Pantera. — Oczy wypatrzyłem, tak was wyglądam! Łąki czerwone, gotowe do cięcia, a was nie ma i nie ma.

— Ale za to robotnica nam przybyła! — zawołała wesoło.

Pantera zdjął kapelusze, uklonił się nisko szerokim ruchem.

— Panie ojczy, pani matko! Pięknie proszę o rękę tej pani.

— Z miłą chęcią. Bierzcie i trzymajcie! — zaśmiała się, podając mu dziecko.

Pantera wziął je na ręce.

— Witam cię, panno młoda, i biorę cię sobie za żonę. Wolno pocałować? Bardzo trafnie w matkę się wdała. Oczy masz jak barwinek, a włoski ciemne. Na warkocze i zębki jeszcze trzeba poczekać, widzę! Proszę panią do chaty, zaraz gniazdo jak dla wilgi uszukujemy!

— Kiedy żona dała wam córkę, mnie wypada dać posag! — rzekł czarniawy zięć Odrowąża, zdejmując z ramion swój ładunek i podając misterny łożowy koszyk na sznurach, prymitywną kołyskę.

W parę chwil instalacja nowo przybyłych została dokonana wedle corocznego porządku. Kobieta z dzieckiem zajęła alkierz, posłanie Odrowąża wyniesiono do sieni. Dla Cota i Szczepańskiego z synem posłano obficie siano na górze i Szczepańska wnet objęła chatne rządy.

Pantera bawił się z dzieckiem, przekomarzał się z matką i promieniał radością, że pozbył się żmudnego obowiązku po dziesięciu tylko dniach dyżuru.

Udawało mu się tak co roku.

Ruszyli też zaraz we trzech obejrzyć trawy i wrócili wszyscy razem, bo się wnet zhukali w puszczy.

Coto od razu się z Jaśkiem zapoznał i zaczął dopominać się kosy.

— Jakże to! — nudził Rosomaka — on ma tylko trzynaście lat i kosi, a ja mam szesnasty.

— Ho, ho, ja mam trzydzieści siedem i dopiero się dziś ożeniłem. Pojąłem waszą wnuczkę, ojczy. Zaraz, ledwie ją poznałem, bo bałem się, że mnie Żuraw ubiegnie! — śmiał się Pantera.

— No i na teściową zdałeś swą robotę.

<sup>185</sup> Kalwaria — prawdopodobnie chodzi o Kalwarię Zebrzydowską, miasto w pld. Polsce i znany ośrodek ruchu pielgrzymkowego. [przypis edytorski]

<sup>186</sup> kresa (daw.) — tu: rondo kapelusza. [przypis edytorski]

<sup>187</sup> spencer (z ang.) — krótka kurtka. [przypis edytorski]

— Ale za to wyręczę żonę w grabieniu. Coto, dostaniesz kosę, nie lamentuj, mam zapasową. A dogodzę ci przez wdzięczność, żeś mi doradził małżeństwo. Pyszny wynalazek! Zaraz mi przybyło powagi!

I na udokumentowanie tej powagi dał susa w gąszcze, zabeczwał jak kozioł i krzyknął:

— Hej, Jasiak, Coto! Kto goni Panterę?

Chłopcy pognali.

— On ich godzinę będzie zwodził, a wreszcie gdzieś się przyczai, omami, że i do wieczora będą szukali! — zaśmiał się Odrowąż.

Jakoż, gdy przyszli do chaty, zastali Panterę z „żoną” na ręku i z Kubą na ramieniu. Trochę tylko był zdyszany.

— Gdzie chłopcy? — spytał Rosomak.

— Szukają Pantery po puszczy.

Rosomak i Żuraw powitali Szczepańską, ale Odrowąż nie dał im długo gawędzić.

— Póki jasno, przygotujcie i wyklepcie kosy. Jutro z rosą trzeba zaczynać!

Wziął więc każdy kowadelfo, młotek i kosę bez rękojeści i rozpoczęło się staranne, delikatne kucie.

— Hej! Kwiaty, ziola, manny, kostrzewy, tomki wonne i kto was tam zliczy i nazwie! To wasza śmierć kosę ostrzy i zębi! — rzekł Rosomak jakby z żalem i z cicha, że go tylko druh Żuraw słyszał.

— Jedno dla drugiego żyje i ginie. Zostanie w ziemi korzeń jak dusza! — odparł Żuraw.

„Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń!”, podzwaniały po stali młotki, jakby dawali sygnał do roboczego boju. A Odrowąż, niczym wódz, każdą kosę — niby klingę szabli — pod słońce obejrzał, za godną uznał lub poprawić jeszcze polecił; dla Cota sam ostrze wyklepał i w rękojeści osadził.

A właśnie i chłopcy nadbiegli zziązani, zmoczeni, w odzieży podartej, ale rozbawieni i śmiejący się, niosąc w triumfie kapelusze i chodaki Pantery.

— Tropiliśmy jak ogary, ale Pantera od nich śmielejszy — wołał Coto.

— Rzuciłem wam chodak i kapelusz i widziałem, jakeście lecieli z nosami przy ziemi, a ja siedziałem na Proszalnej Babie, nisko nad ziemią. A potem zeskoczyłem i poszedłem do chaty. Z was rekruci, myśliwi z torbą na śliwy!

Odrowąż skinął na Cota i wyprowadził go na polanę.

— Masz, dzieciuchu, kosę. Przypatrzyć się, jak osadzona. Tu oto ostrze założone na dzierzak<sup>188</sup>, pierścieniem żelaznym i klinkiem umocowane. Czasami bywają okazje u nas, że się na sztorc oparwia. Wtedy kosiarze już się kosynierami zwą i koszą wraże łby. Narzędzie to zatem szanowne i nobilitowane, więc trzeba je szanować i utrzymać w takim ochędóstwie<sup>189</sup>, jak żołnierze broń utrzymują, bo nie wiadomo, kiedy i na co będzie potrzebne. Rozumiesz?

— Rozumiem, ojczel! — odparł Coto, mimowolnie prostując się jak szeregowiec przed wodzem.

— To dobrze. Jak nauczysz się ciąć trawę, pokażę ci, jako się robi, gdy na sztorc założysz. Teraz ujmij ot tak, stój prosto, ramionom daj rozmach i za każdym rzutem przy końcu zakosu prawą koniec ostrza nieco w górę poderwij. Ot tak! Nie kręć się cały jak wiatrak, tylko w krzyżach jak na śrubie się obracaj. No! Spróbuj!

Coto stanął w pozycji i zaczął machać.

— Niczego sobie. Pojmiesz! — zachęcał go stary. — Ramiona rozprężaj, nie garb się. Swobodnie, drobno zagarniaj, grzywy nie zostawiaj, podrywaj u końca. A jak czujesz, że tępieje, popraw menteszka<sup>190</sup>. Ot tak! W takt, równo. Możesz zagwizdać: „Ej ostre, ej ostre, ej ostre kosi nasze”<sup>191</sup>.

Praca, Wiad

<sup>188</sup>dzierzak — rodzaj długiego kija. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>ochędóstwo (daw.) — porządek, czystość. [przypis edytorski]

<sup>190</sup>menteszka (daw.) — ośelka do ostrzenia kosi. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>Ej ostre, ej ostre, ej ostre kosi nasze — fragment pieśni patriotycznej *Bartoszu, Bartoszu* (inaczej tzw. *Kra-kowiak Kościuszki*). [przypis edytorski]

— A jak na sztorc postawię, to będzie: „Bartoszu, Bartoszu, nie traćwa nadziei”<sup>192</sup> — zaśpiewał Coto.

Uśmiech wygładził bruzdy na licu Odrowąża.

— Umiesz? Pewnie matka nauczyła? No to i chwala Bogu! Zdasz się do roboty.

— „Bóg pobłogosławi, ojczyznę nam zbawi”<sup>193</sup> — podchwycił Jasiek.

— Panie! — rzekł Odrowąż do Rosomaka — może już oni doczekają sądu i wolni będą!

— Może oni, może ich dzieci lub wnuki. Sprawiedliwość przyjdzie i sąd być musi — odparł poważnie Rosomak.

„Dzyń, dzyń, dzyń, dzyń!”, wydzwaniła lita stal kos. Chłopaki zawzięcie ślali pokozy — ledwie ich zwolano na wieczerzę. A potem, leżąc obok siebie na sianie, gwarzyli.

— Ja bym chciał dostać się do Ameryki! — mówił Jasiek. — Ojciec powiada, że tam już jest z naszych wojsko, co tu przyjdzie Mochów<sup>194</sup> i Szwabów<sup>195</sup> prac.

— U nas w szkole jest tajny związek wojskowy. Po nocach się ćwiczą. Mają rangi i odznaki, i przydomki. Ale to wielki sekret i małych się nie przyjmuje, bo mogą się wygadać. A za zdradę kara śmierci. Ten, co stoi na czele, nazywa się „Kruk”; i tylko dwóch wie, który to.

— Ja bym się chciał nazywać „Strzała”.

— A ja „Tur”!

— Spać, smyki! — zawołał Pantera ze swego legowiska. — Koszulę to jeszcze w zębach nosi, a już spiskuje. Wojaki, Tury, Strzały! A do krynicy po wodę w nocy lęka się iść, a byle za furtką, to już zablądził! Ojczyznę chce wywalczyć gębą, ale sam sobie w żadnej biedzie nie poradzi!

— To się pokaże przy sposobności — odparł zuchwale Coto i zaczęli szeptać z Jaśkiem.

Zdawało im się, że wcale nie zasnęli, toteż bardzo byli zawstydzeni, gdy ich Pantera wyciągnął z siana za nogi, wołając, że kosiarze czekają.

Ranek był ledwie perłowy i słońce jeszcze nie wstało, gdy ruszyli szeregiem za przodnikiem Odrowążem, znacząc ślad ścieżki na rosie. Stary półgłosem odmawiał pacierze, a pozostali milczeli.

— Śniadania nie będzie? — spytał Coto Jaśka.

— Z rosą najlepiej się kosi. Jak słońce wstanie, matka śniadanie przyniesie. W południe będziemy spać.

Wyprowadził Odrowąż swą gromadkę na szeroką haliznę wśród lasu, przeżegnał się i zakos pierwszy położył. Za nim stanął Rosomak i po kolei rozciągnęli się w szereg, siekąc równe sznury, ścieląc jednostajne wały trawy.

„To głupstwo!”, myślał Coto, machając zajadłe za Żurawiem, który czynił to jakby od niechcenia — ruchem swobodnym, bez wysiłku. Doszedł do skraju Odrowąż i zachodząc na następny zakos, na robotę spojrział.

— Coście się tak zgrzali, chłopcy? Zbyt łakomie zajmujecie, ot, grzywy zostawiacie! Drobniej, wolniej, bo do południa nie wytrzymacie!

— Ale o! Wcale nie tak ciężko! — odparł Coto, zsuwając kapelusz z czoła i stając w pozycji do ostrzenia kosy.

— Zobaczmy tę łatwość jutro! — ozwał się Pantera. — Machasz jak wiatrak skrzydłami, i znaczny<sup>196</sup> będzie twój pokos na każdej polanie. Szczęście, że jutro nawet ręką nie ruszysz po tym impecie. A kosę ostrząc, nie gap się na drożdzie gniazdo, ale patrz, jak i po co pociągasz menteszką, bo i do południa ostrze bez klepania nie starczy.

Ale Coto w swej zarozumiałości tylko ramionami wzruszył.

— Pantera zawsze do mnie mnie coś ma!

Legł jeden pokos i drugi, aż się ukazała Szczepańska ze śniadaniem. Spoczęli więc w cieniu na krótką chwilę posiłku i wrócili do pracy. Słońce poczęło mocno dogrzewać;

Wolność, Ojczyzna, Polska,  
Śpiew

Wojna, Wolność, Żołnierz

Praca, Wieś

<sup>192</sup>Bartoszu, Bartoszu, nie traćwa nadziei — fragment pieśni patriotycznej *Bartoszu, Bartoszu* (inaczej tzw. *Krakowiak Kościuszki*). [przypis edytorski]

<sup>193</sup>Bóg pobłogosławi, ojczyznę nam zbawi — fragment pieśni patriotycznej *Bartoszu, Bartoszu* (inaczej tzw. *Krakowiak Kościuszki*). [przypis edytorski]

<sup>194</sup>Moch (gw.) — Rosjanin. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>Szwab (gw.) — tu: Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>znaczny — tu: widoczny. [przypis edytorski]

kosili tylko w bieliźnie, pot spływał po twarzach i rękach, lica gorzały krwią. Nie odzywał się nikt, rozprężyły się płuca pośpiesznym tchem, spiekały się wargi z pragnienia.

Gdy zachodzili na nowy pokos, ledwie był czas obetrzeć twarz rękawem, a już nie-strudzony Odrowąż odsadził się naprzód i słał trawę na nowy wał.

Aż wreszcie na słońce spojrzął i stanął.

— Jedenasta! — rzekł — teraz poleżymy, prześpimy się, posilimy, aż żar minie. Na wieczorną rosę trza poczekać!

Na to hasło posłuszna jego gromada w mig się rozprzegła, stawiając kosy jak broń na placu boju.

Okazało się, że kosząc, każdy coś sobie upatrzył. Rosomak odszukał łozowy krzak i znalazł w nim gniazdo. Żuraw nożem wykopywał jakiś korzeń, Szczepański wyrąbał specjalnie zgiętą brzostową gałąź. Odrowąż wycinał hubę dębową. Pantera dopadł na wpół dojrzałe poziomki.

Tylko chłopcy padli na ziemię jak martwi i natychmiast zasnęli.

Nie słyszeli sygnału na obiad; nie było sposobu, by ich obudzić.

— Niech śpią — zdecydował Rosomak — przyniesimy im tu jedzenie. Wykończyli się doszczętnie.

Gdy się zbudzili, był wieczór. Zerwali się, obejrzeni — byli sami na skoszonej polanie. Obok nich stały dwojaki z jedzeniem i dzbanek z wodą.

— O Jezu! — krzyknął Jasiek — przespaliśmy cały dzień.

— I jak im się pokazać, narażając się na drwiny Pantery? — jęknął Coto.

Zamyślili się frasobliwie.

— Bo i wstyd! — szepnął Jasiek, bliski płaczu.

— Już lepiej wcale się nie pokazywać.

— A jakże?

— Uciec.

— No i co?

— Gdzieś osiąść osobno w puszczy nad jakimś niedostępnym oblewem<sup>197</sup>.

— Ty możesz, ale ja nie! Matka będzie się trapiła — odparł poważnie Jasiek. — Chyba jej powiem.

— No to leć i powiedz.

Pobiegł Jasiek, a Coto zaczął tworzyć plan owego osobnego bytu — schroniska na drzewie, posiłki z jagód i jaj ptasich. Zaczął mu się ten projekt podobać, gdy nadbiegł Jasiek.

— Matka mówi, że dziadzio zostawił dla nas rozkaz, żebyśmy poszukali raków na wieczrę. Umyślnie nas zostawili.

— Może to nieprawda?

— Matka mówiła, słyszysz? Matka i za górę złota nie powie nieprawdy! — oburzył się Jasiek i gotów był do bójki, gdyby tamten ośmielił się pisać.

Miał już ze sobą siatki i torby i na przełaj ruszyli do jeziora.

— Bolał cię kości? — spytał Coto.

— Ii, nie! Trochę! — bąknął Jasiek.

Woda orzeźwiła ich i brodzili z rozkoszą, a że raki dobrze brały, po trosze zapomnieli i o wstydzie, i o zmęczeniu.

Gdy wrócili ze zdobyczą do chaty, tamci zawzięcie klepali kosy — jakby nikt ich nie zauważył. Przy wieczery Pantera stękał, że rąk i nóg nie czuje ze zmęczenia, a inni mu przytakiwali.

— Po lacku<sup>198</sup> robimy, nie po chłopsku — rzekł Odrowąż — a nawet i chłopci połamani się czują na początku. Nic to, trza się wykapać i przemoc. Za parę dni zapomnimy! Żeby tylko ten upał deszczu nie sprowadził.

Pokładli się zaraz spać i Coto śnił, że po dachu bębnią krople ulewy i można będzie leżeć w sianie do południa.

Ale był to tylko sen i zdało mu się, że chwilę zaledwie spoczywał, gdy go zaczął budzić Pantera. Pogodny świt wzywał do znoju.

<sup>197</sup>oblew (daw.) — zbiornik wodny, woda otaczająca ziemię. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>lacki (daw.) — polski, tu: szlachecki, pański. [przypis edytorski]



Coto podniósł się i ze stuknięciem na powrót upadł na posłanie. Okropny ból wszystkich mięśni, kości, ścięgien wyciskał mu łzy z oczu i przyprawiał o mdłości.

— Nie mogę się ruszyć! — wyjęczał z płaczem. — Zostawcie mnie! Chyba to paraliż.

— Paraliż! Czego to się zachciewa? Przemęczyłeś się, niewyczajny roboty. Teraz się przemóż, bo inaczej tydzień męczyć się będziesz. Każdy z nas trochę nadwreżony, ale to się w robocie rozejdzie! Zęby zaciśnij i ruszaj się! Ot, i Jasiek skurczony i krzywy, a chodzi.

— Nie ruszę się, nie mogę! — płakał Coto.

— No to leż, płakso, smarkaczu!

— Damy ci imię Robotna Gęba! — zadrwił Pantera i zniknął w otworze strychu, a Coto, jakby po policzku, zerwał się i potniejąc z bólu, dopełził do drabiny.

Zginie, a nie zostanie. Umrze, ale bez wstydu. Ból aż mu kurczył twarz, lecz niesłychanym wysiłkiem zszedł na dół. Wszyscy chodzili sztywno — to go pocieszyło.

— Bardzoś połamany? — spytał Jaśka.

— Nie pytaj! Strach, jak wszystko boli. Nie chce się słuchać, bo jak uważasz, to aż w gębie kwaśno się robi. Tamci nic po sobie nie pokazują, więc wstyd mazać się! Matka mówi, żeby się wykapać, woda ból wyciągnie. Chodźmy!

Coto zawlókł się do kąpieli i rzeczywiście na tyle go to wzmocniło, że mógł iść bez wielkiej męki. Ale gdy stanął w szeregu z kosą, myślał, że zemdleje przy pierwszym ruchu.

Szczęściem nikt go nie popędzał. Kosili małe polanki, rozpierzchli się po zakątkach. Za nim kosił Rosomak i folgował<sup>199</sup>. Gdy po chwili stanął, by oprawić ostrze, rzekł:

— Chłopcze, będziesz miał teraz dla trudu ludzkiego zrozumienie i cześć, bo sam to przecierpisz, co inni znoszą. Nie kosić się uczysz, ale przechodzisz szkołę zrozumienia pracy. Jutro już ci lżej będzie, ale pamięć bólu zachowaj!

Coto obejrzał się, czy są sami, i rzekł z cicha:

— Ale, wuju, dlaczego my się tak męczymy, żeby bydło Odrowąża miało siano.

Rosomak się uśmiechnął.

— A po coś się obejrzał i z cicha mi to mówisz? Czujesz, że zła to myśl. Przestań robić; jeśli tak czujesz, na nic twój trud.

— No, ale naprawdę tak jest.

— Naprawdę pracujemy dla pracy, z ochotą. Mniejsza o to, czyje bydło przekarmi się naszą pracą, byle sytość stworzeniu-pomocnikowi dał nasz trud. W mróz zimowy to siano da ciepło i siłę bydłociu, które pracuje dla człowieka. Współtowarzysz to pocziwy! Zagarniaj, chłopcze, starannie tomki pachnące, groszki i tymotki; i myśl, jak ci wdzięczne będzie zwierzę za opiekę i pożywienie. A czyje ono? Nasze czy nie nasze? Niech o tym myśli taki, co nie rozumie, że tylko dusza jest nasza własna, a wszystko inne dzierżawne i czasowe!

Umilkli, tylko z cichym szelestem słała się trawa, i Coto wstydział się swego odezwania.

— Hop, hop! Śniadanie! — rozległo się wołanie Szczepańskiej. — I co? Ruszacie się, chłopaki? — spytała.

— Ee, całkiem przeszło! — odparł Jasiek.

— Jutro już za nimi nie nadążymy! — rzekł Żuraw.

— Jutro wyprawimy ich, żeby ruszyli pokosy.

— Jeżeli pogoda pozwoli, w sobotę trzeba stóg złożyć. Siano będzie jak szafran. Trzeba się związać, bo z pełnią przyjdzie słońce! I głuchy święty nas posłysz!

— Jaki głuchy święty? — spytał Coto.

— A ten patron deszczu<sup>200</sup>. Przykazał mu Pan Bóg: „Idź, gdzie proszą”, a on dosłyszał: „Idź, gdzie koszą”. No i byle posłyszał ostrzeżenie kos, leje!

Podczas południowej przerwy Żuraw zawołał Cota, by mu pomógł w kopaniu leczniczych korzeni, i zaprowadził go na pierwszą skoszoną polanę. Usiedli na pokosie już chrzęszczącym i Żuraw rzekł:

— Masz gorączkę, chłopcze, i możesz dostać zapalenia stawów. Weź ten proszek i rozbierz się. Trzeba cię wysmarować! Jak się zaniedbasz, poleżysz tygodnie.

— Jaki doktor dobry! — szepnął wzruszony Coto. — Istotnie, ledwie żyję!

<sup>199</sup>folgować — tu: zmniejszać intensywność, robić coś, odpoczywając niekiedy. [przypis edytorski]

<sup>200</sup>patron deszczu — Dezydery (Dezyderiusz) z Bourges a. Święty Dezyderat (zm. 8 maja 550), arcybiskup Bourges, święty katolicki. [przypis edytorski]

Praca, Radość, Dusza,  
Obraz świata, Kondycja  
ludzka

Lekarz

I poddał się cierpliwie masażowi, a potem zasnął w cieniu, nakryty z lekka wonnym sianem — i zbudził się jakby odrodzony.

Przy obiedzie dowiedział się od Jaśka, że i on przeszedł przez umiejętną kurację doktora.

— On taki dobry, że aż strach! — mówił Jasiek. — Dwa lata temu uratował mnie od śmierci! Tyfus miałem. I we dnie, i w nocy mnie pilnował, bo i matka ledwie była wstała!

— No, chłopcy. Wy już do grabienia się bierzcie, a starajcie się za nami nadążyć. Pojutrze całą gromadą stóg stawiamy! — zakomenderował Odrowąż.

Była to ulga w znoju, inny ruch ramion i niejednostajny wysiłek.

A największą była dla chłopców uciechą, że pracowali pod komendą „matki”.

„Matką” nazywali Szczepańską wszyscy.

Była dla tych wszystkich mężczyzn symbolem majestatu kobiecego, a zarazem czaru i wdzięku. Żeby godnie czcić, a zarazem kochać, dali jej tę nazwę zaszczytną a jednocześnie pieszczotliwą.

Więc rano Coto brał na plecy kołyskę, Jasiek grabie, „matka” na ręce „pannę młodą” — i szli do roboty.

Kołyskę zawieszano w cieniu na drzewie, dzieciak, osłonięty od owadów, zasypiał, a polany, gdzie grabili, rozbrzmiewały wnet śpiewem i śmiechem.

Coto zaraz zrozumiał, jak się siano zbiera w wały, jak się je potem gromadzi na „szczyńki”<sup>201</sup> i wznosi na grabiach wysoko, nad głowę, i kładzie na kopice<sup>202</sup>. Oni znosili, „matka” składała; uwijali się na wyścigi — podnieceni, rozbawieni, ze śmiechem, pomimo że skwar smała ich lica, a pot parował na plecach. A gdy skończyli kopiec i chłopcy odpoczywali, i dopadali chciwie do bakłaszk<sup>203</sup> z wodą, „matka” odwiedzała gniazdo, zawieszane na gałęzi, wydobywała swe piskłę, karmiła je i ucałowawszy, usypiała, kołysząc i nucąc.

Dzieciak był widocznie zdrow, bo nie grymasił i jakby rozumiał, że nie mają ludzie czasu na zabawy — zasypiał posłusznie.

Czasami od strony kosiarzy dochodził odgłos ostrzenia kos, a pod wieczór zjawiał się Pantera — jak mówił — w konkury do żony. Brał dziecko na ręce i nosił je, pokazując kwiaty i motyle, i prawił różne gadki.

Matka zostawiała ich wtedy i szła do chatnego gospodarstwa.

Umiała je prowadzić i miała czas na wszystko. Chata była umyta i ukwiecona, posiłek uwarzony, bydłątka dopatrzone, odzież i bielizna uprana. Gdy wracali z roboty, mogli odpoczywać — nawet drwa znajdowali narąbane i pościel czystą zasłaną. A kobieta, uśmiechnięta, jasna wewnętrzną szczęśliwością, miała dla każdego dobre słowo, żart i staranność.

W duszy Cota, którą miasto, koleżeństwo i złe książki już skaziły, odzywały się czasem głosy jakby wstydu i skargi. „Matka”! Jakże on bywał dla swojej zuchwały, lekceważący, niechętny! A profesorowa! Boże, czy Pantera o niej zapomniał, czy nie zażartuje kiedy wobec tej „matki” i co ona wtedy o nim pomyśli? A wiersze, które pisał do Wandy Albersonówny, znajomej ze schodów, rozczochranej, rudej zalotnicy-pensjonarki!

Przechwalał się przecież jej zaczepkami, spojrzeniami i chichotem przed kolegami — mówili często o rozpuście i drwili z panien. Coto nie śmiałby odezwać się na ten temat do Jaśka, z którym zawarli przyjaźń, zmaiwali się na różne awanturnicze wyprawy i wiedli fantastyczne życie, pełne marzeń.

Najbliższym celem tych marzeń było otrzymanie leśnych nazw i przyjęcie w poczet leśnych ludzi.

— Dla ciebie to pół biedy, „Jasiek” na ciebie wołają... Ale dla mnie, gdy ktoś powie: „Coto”, to jakbym w ucho dostał! Już o nic nie pytam, już wszystko leśne rozumiem i zawsze: „Coto”!

— Trzeba czymś się wslawić, coś zdobyć! Żeby tak nazwali „Lisem”.

— „Lis”, dobrze. Ale jak to zdobyć?

<sup>201</sup>szczyńki (gw.) — plewy. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>kopica — kupka siana lub zboża. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>bakłaszk (reg.) — manierka. [przypis edytorski]

— Czekaj! Jak się z sianem skończy, poszukamy jam. Wykopiemy całe gniazdo! Wódz Rosomak będzie rad, bo lisy tępi. Albo jakby znaleźć orle gniazdo... Ale to chyba na przyszły rok! Ot, „Orłem” się znać!

Marzenia te przerywał sen, a może i we śnie dalej się snuły, bo często w nocy Szczepański lub Pantera trącał chłopaków i upominał.

— A to rechocą i krzyczą przez sen jak żaby w błocie.

Chłopcy milkli przestraszeni.

— Ojej, jeszcze nas „Okrzakiem” lub „Bąkałą” nazwą! — szeptał Coto.

Gdy kopic postawili kilkanaście, zjawił się pewnego ranka na polanie, gdzie grabili, Pantera na oklep na Łatanej Skórze, ubranej w chomąto, i zawołał:

— Coto, przejdziesz z piechoty do konnicy!

— Aha, jutro stogi staną! — ucieszył się Jasiek.

— Nie jutro, ale dziś. Do południa trzeba kopice wszystkie ściągnąć ot, tutaj, a od obiadu cały leśny naród stoży<sup>204</sup>. Rozkaz ojca Odrowąza, bo jutro ulewa!

— Oj, to dobrze! — wyrwało się chłopcom.

— Że pokosy zmokną, to dobrze? Oj, gospodarze z was, co mają tylko stodołę pod kapeluszem, a w niej wróble się gnieźdzą! No, żywo, bierz, Jasiek, linkę, a ty, Coto, gramol się na szkapę! A może ci zydelek<sup>205</sup> podać? Zaczynajcie od najdalszych. Muszę, matko, z żonką się przywitać! — Wziął dziecko na ręce i zaczął z nim tańczyć, pośpiewując:

Pada deszczyk, pada po drobnej krzewinie,  
Kochajże mnie, żonko, ino nie zdradliwie!

— Oj, zięciu, zięciu, deszczu nie wywołuj, córki mi nie bałamuć, a chłopaków pokieruj! — śmiała się Szczepańska.

— Prawda! Coto pewnie pojęcia nie ma, czy koń ciągnie pyskiem czy ogonem.

— Są ludzie, co ciągną tylko językiem! — warknął Coto.

Pantera parsknął śmiechem.

— A to ci rekrut pyskaty! Ochrzczę cię na pewno „Gęba Rusznica”! Zobaczysz! No, jazda, smyki!

— Może pyskować Coto, gdy mu ubliżają! — ujęła się za chłopcem Szczepańska. — Za dwóch robi i składnie mu idzie nad podziw!

— No, kiedy matka za nim, to ja już nie ubliżę. Zajeżdżaj, Coto, do tej kopicy. Stój!

Teraz otoczył kopicę linką, zrobił supel, założył zań orczyk, który się włócił za stronkami chomąta, i uderzył dłonią po grzbiecie klaczy.

— Jazda, kieruj po równym, na polanę!

Zgarnęła się w sobie Łatana Skóra i posunęła się jak żywa kopica. Jasiek z Panterą ją eskortowali.

Gdy trzy kopice były ściągnięte, Pantera zostawił robotę chłopcom, a sam zaczął łączyć rąbać i ułożyć spód pod stóg. Na sygnał obiadowy robota była skończona i obaj chłopcy konno ruszyli do chaty, śpiewając.

— Będzie deszcz! Dziadzio się nigdy nie myli. Popłyniemy na jezioro, na raki, na ryby, będziemy pływać, nurkować! — cieszyli się zupełnie jak dzieci.

Odrowąż niebo frasobliwie śledził, nie dał chwili spoczynku. Ledwie przełknęli strawę, już ich popędzał.

— Żywo, widły, grabie! Wszyscy! Chałupę zostawić pustą. Żywo, bo nie skończymy!

Pobiegli wszyscy kłusem. Ułożono stóg, stary stanął na spodzie, a wtedy wszyscy z gorączkowym pośpiechem zaczęli zbierać siano na widły i podawać mu w górę.

I znowu Coto się przekonał, że był głupim rekrutem. Gdy tamci wszyscy nabierali na widły naręcza ogromne, że aż się gięli pod ciężarem, gdy wznosząc brzemie, podawali na stóg, jemu siano umykało, rozsypywało się tak, że donosił puste widły i rozpoczynał robotę na próżno, bliski płaczu, omdlewając z nieużytecznego wysiłku.

Towarzysze byli tak zajęci, tak się śpieszyli, tak ciężki mieli trud, że wprawdzie nikt zeń nie drwił, ale też nikt nie uczył i nie pokazywał sposobu. Pracowali, milcząc, popędzani jakąś grozą, która się zbierała w niebie, wypełzała z ciemniejącego widnokregu.

<sup>204</sup>stożyć (daw.) — układać zboże lub siano w stogi. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>zydelek — stołeczek. [przypis edytorski]

Stóg rósł, niktęły w nim kopice — był już tak wysoki, że przystawiono doń drabinę, wbito między szczeble żerdź, na której jak na koniu umieścił się Szczepański — odbierał pełne widły i podawał wyżej. Uwijali się zajadle, gorączkowo, bez chwili wytchnienia, aż z góry rozległ się głos Odrowąża:

— Zawieszam. Dobra nasza! Zbierajcie czysto, obierajcie boki grabiami, szykujcie powrósto<sup>206</sup>! Już nam deszcz niestraszny.

A deszcz już leciał — wicher się zerwał, chmury nachodziły nad las, zaczynało w nich huczeć jak werbel na bitwę.

Ludzie jeszcze zajadłej śpieszyli się.

— Powróz sporządź! Ot tak! — zawołał Jasiek zdyszany, przypadając z Cotem do stogu i snując zeń siano, które Szczepańska skręcała w powrósto.

A tamci zbierali roztrzęsione resztki kopic i podawali, wołając ochryple:

— Zabieraj, hop, odbieraj!

Wicher począł się z nimi borykać, szarpać siano, wydierać z rąk brzemia.

— Dawajcie sznur! — krzyknął Odrowąż.

Podano mu dwa — skrzyżował je na szczycie, końce utwierdzono w sianie, a z widel uczyniono parę stopni, po których stary zsunął się na ziemię.

Wtedy przeżegnał się i jakieś litery w powietrzu w stronę chmur nakreślił.

— Nad chudobą naszą i nad nami Bóg łaskaw, dał czas i siłę, by dokonać tego. Niech mu będzie cześć i chwała.

— Na wieki wieków. Amen! — odpowiedzieli.

I stali chwilę wszyscy na widłach wsparci, dech łapiąc i uznojone twarze do wichru zwracając. A wtem lunął deszcz i grzmot uderzył z chmury.

Tego wieczora, gdy Coto chciał wziąć łyżkę do ręki, nie zdołał zgiąć palców.

Zawstydził się i spojrział, czy kto to widzi. Ale wszyscy jedli i gwarzyli, tylko Żuraw nań patrzył — głową skinął porozumiewawczo i nieznacznie wywołał go do komory.

Kazał mu się rozebrać, położyć na swej pościeli i jął mu ramiona i ręce masować. Chłopak usypiał, śmiertelnie znużony, i tylko szeptał:

— O, dziękuję, dziękuję! Byłem mógł jutro z wami razem się znoić! O, byłem mógł.

I zasnął. Żuraw go okrył i rzekł z cicha do wchodzącego Rosomaka:

— Zwyciężył leśny duch. Rodzi się w nim nasza dusza.

— Chwała Bogu! Będzie szczęśliwy! — odparł Rosomak, przesuając serdecznie ręką po ciemnej głowie śpiącego.

Nazajutrz padał deszcz, ale Odrowąż zaplanował košbę<sup>207</sup>, więc chłopcy nie mieli wakkacji; ale za to koszenie mokrej trawy było lżejsze i upał nie obezwładniał, więc dotrzymywali starszym kroku.

Dopiero po dwóch dniach, gdy dużo było zwalonej trawy, a pogoda się nie ustalała, kosiarze spauzowali i rozpięchli się. Rosomak z Odrowążem popłynęli na połów, Szczepański z Żurawiem i Panterą darli łozy i pletli chodaki, a chłopcy pobiegli w las, by wyszukać zamieszkałe lisie jamy. I tak myszkując, gapiąc się, zaglądając do gniazd, usłyszeli w powietrzu dziwny szum. Nad polaną nisko leciała szara kula.

— Rój, rój! — krzyknął Jasiek i pognał.

Skoczył i Coto — i rozpoczął się szalony pościg. Przez krze i zwały pędzili, ciskając na rój garście ziemi, liście, gałązki, krzycząc zdyszani, podrapani a zajadli.

Jakaś pierwotna żądza zdobyczy ogarnęła ich, jakaś pasja praojców bartników. Przedzierałyby się tak przez bagna, trzęsawiska, wody — nie ustaliby, chyba martwi.

Aż wreszcie rój zmęczony opadł na krzew kaliny na spoczynek.

Ciemne mrowie owadów zrobiło jakby szare grono i znieruchomiało.

— Wody, wody! Kropić, bo się za chwilę poderwą! — komenderował Jasiek.

Coto przyniósł wody w kapeluszu i prysnęli na rój.

— A teraz co? Co z nimi robić? — pytał zdyszany.

— Dawaj koszulę, moja podarta! — jąkał się Jasiek bez tchu, pomagając towarzyszowi rozebrać się. — Zwiążuj kołnier i rękawy wtką łożową, mocno, ot, tak, prędzej, nim się opamiętają i zaczną ciąć. Podsuń koszulę pod gałąź. Trzymaj uważnie, żeby wszystkie

<sup>206</sup>powrósto — sznur skręcony ze słomy. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>košba — koszenie trawy lub zboża. [przypis edytorski]

zamknąć. O, już się burzą! Ani drgnij! Trzymaj, niech tną, my przecież leśni ludzie. Cierp, cierp, zaraz gałąź utnę.

Coto zacisnął zęby i spełniał rozkazy. Otoczył go szary jakby obłok — poczuł na ciele piekący ból, brzęk gniewny, zapach kwaśny jadu. Ale się zapamiętał w postanowieniu — ani pisnął, ani się nie opędział.

I oto triumfujący stanęli po dokonanych dziełach. Obydwaj spoceni, zziębnięci, brudni — jeden do pasa nagi — i poznaczeni śladami żądań.

I trzymali jako zdobyczą cudaczny worek z koszuli, w którym huczał rozpaczliwie uwięziony rój.

— Czyja będzie zdobyczą? Bo teraz na pewno dostanie się nazwę! — rzekł Jasiek. — Dobrze będzie, jak nazwą „Bartnikiem”! Ja straszną mam do pszczoł ciągotę! Ale i tyś go nił, i wodę przyniósł, i koszulę dał, i ciebie więcej pocięły! Chcesz, to nieś!

Zawałał się Coto, pomyślał. Byłaby to jego pierwsza zdobyczą i pozbyłby się nienawistnego przezwiska, ale czuł, że to by było fałszem.

— Nie, tobie się należy. Ja bym nie wiedział, co to leci, ani bym nie ściagał, ani nie wiedział, jak je uwięzić! Nie! Ty nieś!

— Dziękuję ci! Teraz między nami braterstwo jest na śmierć i życie! — wykrzyknął rozpromieniony Jasiek. — Włóżże moją koszulę, a ja lecę z rojem. To się wódz ucieszy! Świętojański rój to skarb!

W osadzie zeszedli się wszyscy na obiad, gdy wpadł Jasiek, nagi po pas, ze swą zdobyczą w garści i zadyszany wołał:

— Do wodza, niosę zdobyczą!

Rosomak wyszedł z chaty, a chłopak wyrecytował orację, którą sobie ułożył.

— Leciał rój! Ja za nim. On na skrzydłach, ja piechotą. I dognałem. Zebrałem, w com miał na sobie, i przyniosłem. Proszę wodza o borową nazwę, i żem jest leśny „ludź” jako wy, starsi.

Coś mu się splątało w oracji, ale Rosomak zrozumiał i biorąc mu z rąk zdobyczą, rzekł bez uśmiechu, bardzo poważnie:

— Zuch jesteś! Rozważymy twe życzenia i dowiesz się wieczorem o naszym postanowieniu.

— Oszałał chłopak. Nagi biega po puszczy! Nie wstyd ci? — wtrąciła się matka i wepchnęła Jaśka do alkierza.

— Do wieczora barć masz wystroić na przyjęcie twego roju! — zawołał za nim Odrowąż.

— Mam, dziadziu, mam chojar upatrzony! — odpowiedział chłopak, zdyszany, kręcąc się w rękach matki, byle prędzej się ubrać i lecieć.

Umieszczono rój w cieniu, uwieszony na gałęzi, i wnet wszyscy ruszyli, by mieszkanie mu urządzić. Zabrali z sobą długą drabinę, sznury, narzędzia — Jasiek, triumfujący, poprowadził.

— Będą ludzie z dzieciaka — rzekł Odrowąż, gdy stanęli przy starej, samotnej sośnie na leśnej polanie. — Ma oko! Dziupła ku wschodowi, konar nad nią jak okap. Byłe wnętrze nie za obszerne, będzie barć cudna! No, chłopcze, strójże sam!

Jasiek już był na drabinie, a że nie sięgała, „leziwo<sup>208</sup>” ze sznurów sporządził i zawieszony u wylotu dziupli, dłutem i siekierą otwór oczyścił i wnętrze spenetrował.

Nie mogąc bezczynnie wytrwać, Pantera wnet po sznurku z hakiem aż na górny konar się wydźwignął, niczym na koniu na nim zasiadł i jak dwa dziecięcy kuli!

Podawano im z dołu narzędzia, mech, glinę, wreszcie zamknięcie z deski i ćwieka.

Po paru godzinach karkołomnej roboty zeszedli na ziemię i pokładli się jak martwi ze zmęczenia, ale barć była gotowa.

— Będzie ta sosna „Piastem” się zwać — rzekł Rosomak.

Odrowąż spojrział na słońce.

— Biegaj, Jasiek, po rój! Można osadzać.

Nadchodziła najcięższa próba bartniczego egzaminu — bez żadnej osłony twarzy i rąk, bez skropienia wodą, bez dymu musiał Jasiek rozdrażniony niewolą rój przeprowadzić do nowej osady.

<sup>208</sup>leziwo — przyrząd służący do wspinania się do wysokich barci. [przypis edytorski]

Gdy wstępował na drabinę, w zębach trzymając huczące pszczoły, Odrowąż komen-derował:

— Żebyś się nie śpieszył, żebyś się nie oganiał, żebyś się na nie nawet w myśli nie rozniewał. Po głosie słyhać, że matka jest, więc się nie zerwą. Za pazuchą łyżkę masz. Pomalutku czerp i do oka puszczaj. A uważaj na matkę, żebyś nie uraził.

— Pomogę mu! — rzekł Rosomak, porwany swym zamilowaniem, i wciągnął się po sznurze na górny konar.

— Wolę się gapić z dołu! — mruknął Pantera.

We dwóch na górze było lżej. Rosomak związkę<sup>209</sup> potrzywał. Jasięk się wygodnie na leziwie umieścił. Otworzono więzienie, szary obłok ich otoczył, ale już Jasięk pierwszą garstkę do oczka przysunął i z cicha, radośnie szeptał:

— Idą!

Obydwaj wlepili oczy w szarą ruszającą się masę i nagle Rosomak, przechylony zupełnie głową w dół, zanurzył rękę w mrowie i szepnął:

— Matka!

Pięść jego szara była jak kłębek. Przesunął ją do wrót barci i obydwaj zaśmiali się cicho, radośnie.

— Poszła! — szepnęli.

— Niechże jej się wiedzie szczęśliwie! — rzekł z dołu Odrowąż, kreśląc krzyż nad barcią.

Teraz mądra chmara rzuciła się do barci całą masą — jakby rzeka szara, jakby armia karna. Szły, szły, jakąś piosnkę nucąc, poruszając skrzydłami jak proporcami, obładowane miodem, kwietnym pyłkiem, błyszczące od blaszek wosku.

Miały ze sobą wszystko, co trzeba, by swe państwo założyć, pobudować, rozmnożyć się na miliony syte, karne i niezmiernie pracowite.

Teraz już tylko trzeba było czekać, by przeszły. Te, co zleciały, opadały i maszerowały bez gniewu, te, co były obsiadły ludzi, szły po rękach, nie tnąc wcale.

— Nad podziw dobre! — rzekł Jasięk.

— Mądre — dodał Rosomak. — Gdym matkę trzymał, ani jedna nie ucieła. Ależ bogaty naród! Będzie ze dwa garnce.

— Mam dla nich bukiet na nowe mieszkanie! — zawołał z dołu Żuraw, ciskając więz melisy i macierzanki.

Uchwycił go Rosomak i zatknął nad zamknięciem barci.

— No, złaćcie! — wołał Pantera. — Pójdą i same bez waszej namowy.

— Ale! — upomniał Jasięk. — Nie wolno się śpieszyć! Nam tu dobrze. Tak cudnie pachnie żywicą, miodem i ziołami, a tak pięknie patrzeć, jak w ordynku<sup>210</sup> maszerują i śpiewają.

— Różne bywają przyjemności, trzeba temu wierzyć. Wódz już pół godziny głową na dół wisi, a ty siedzisz na pętli podpórki pod nogami.

— Wiadomo, bartnicka robota i uciecha — rzekł sentencjonalnie Jasięk.

— No to się cieszcie. My idziemy kosy klepać.

Tego dnia, gdy spożyli wieszczę i zapalili fajki, Rosomak się odezwał:

— Czy jest tu między nami Jasięk Szczepański?

Chłopak oczy podniósł, ale nim usta otworzył, odpowiedział Pantera:

— Nie ma tu żadnego Jaśka Szczepańskiego, jest Bartnik borowy, nasz druh i towarzysz.

— A czy ten młody Bartnik miłuje pszczoły, nie krzywdzi ich, nie rabuje, nie gniewa się, gdy kłują, nie chowa ich dla przekłętego pieniądza?

— Nie handlarz, ale miłujący jest! — rzekł Odrowąż.

— I będę! — szepnął Jasięk.

— A czy ten Bartnik, co chce naszym być, miłuje Boga, Stworzyciela tego boru?

— Miłuje, pacierz serdecznie mówi i nigdy nie kłamie! — rzekła matka.

— A czy ten Bartnik miłuje i nie czyni krzywdy żadnemu bożemu stworzeniu, co tu z nami żyje i rośnie w tym lesie?

<sup>209</sup>związka (daw.) — pęczek. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>ordynek (daw.) — ustalony porządek. [przypis edytorski]

— Jako towarzyszy i przyjaciół miłuje i szanuje! — rzekł Żuraw.  
 — A czy ten Bartnik nie ma w lesie czegoś, czego by się lękał w dzień czy w ciemnej nocy?  
 — Ja się tylko lękam wstydu! — odpowiedział hardo Jasiak.  
 — A czy ten Bartnik zna wszelką leśną robotę, by w borze mógł żyć, choćby sam został?  
 — Potrafi! — rzekł krótko zawsze milczący Szczepański.  
 — Zatem Bartnik borowy jest naszym druhem i towarzyszem rodzonym! — zakończył Rosomak, wyciągając do chłopca prawicę do uścisku.  
 Powstali Żuraw i Pantera, podali także dłonie, a potem chłopak wyrwał się na boży świat, bo nie chciał, by ktoś ze starszych widział, że mu z oczu leciały łzy, a w piersi tak się tłukło serce, że słowa nie potrafił wymówić. I odtąd nikt nań nie zawołał: „Jaśku”, bo by nikomu nie odpowiedział — tylko dla matki czynił wyjątek.  
 Po tym chrzcie leśnym mężczyźni zabrali się do klepania kos i Odrowąż rzekł do Rosomaka:  
 — Widzi się dziecinną zabawę, ale taką, co jej chłopak nie zapomni przez całe życie. A pokieruje go w pracy i uchroni od podłości. Dzieciuch Bartnikiem zostanie.  
 Milczał chwilę Rosomak, zapatrzonej w klingę kosy. Potem się wyprostował i objął oczami rozkochanymi las i niebo.  
 — Dziecinność! — rzekł zamyślony. — Mnie się zdaje wielkim skarbem, że my tu wszyscy mamy dusze i myśli dziecinne. Może idziemy ku Królestwu Niebieskiemu, wedle Chrystusowych słów obietnicy.

## JAK COTO ZDOBYŁ LEŚNE IMIĘ

Dziesięć potężnych stogów stanęło po polanach — owoc ich znoju i trudu. Czerwiec się kończył, słonecznego triumfu i majestatu miesiąc, przepychu barw, wzrostu i woni. Las był cały w kobiercach kwiatnych, rozświergotany młodzieżą ptasią, a już owocny, bo jagodniki dojrzały i barwiły ziemię.

Ludzi znoj i trud poczercił, wysuszył, ale i skrzepił. Coto tak wyrósł, że odzież Żurawia nosił, a w drzwiach chaty musiał się schylać. Gdy skończyli sianokosy, Odrowąż posłał Bartnika do domu, by obejrzał zboża, czy gotowe do żniwa, a pozostali zajęli się rybolówstwem, zaniebany przez pewien czas. Brodząc po wyschniętych zalewach, Pantera z Cotem wymyśliła, by zapalić Kupałny ogień<sup>211</sup>, bo była to właśnie wigilia św. Jana<sup>212</sup>. Brodzili i wyciągali raki z pieczar. Połów był wspaniały, okazy olbrzymie.

— Ja to miejsce znam od dawna w sekrecie — śmiał się Pantera. — To raczej matecznik. A spełzło się to plugastwo tutaj od zeszłego roku do zadartego przez wilki łosia. Zadarły olbrzymia, bo się walił pod ciężarem w łód, a one z wierzchu się trzymały. Ale jak zadarły, ginąc, w głąb poszedł i tylko rakom się zdał. Przypadkiem brodząc, znalazłem w wodzie łeb i rogi. Siedemnaście miał rosoch. Patriarcha był. Czerep i rogi wydobyliśmy z wodzem, ale co do raków, tom mu się nie pochwalił. Oni czasem trzy dni nic nie dostaną, a ja idę jak do spiżarni.

— Co my teraz będziemy robili, jak siano gotowe? — spytał Coto.

— Pomożemy w żniwach Odrowążom, a potem wódz myśli groblę rzucić na tę topiel do starych Puchaczycy Chojnar, żeby tamtą stronę móc zbadać dokumentnie. Tamtędy można będzie do Żurawich Lęgów się dostać i może remizy znaleźć. Hej! Roboty nam nie zabraknie, ale w dzisiaj nas wszystkich pierwszy smutek trąca!

— Dlaczego?

— Słońce od dziś mniejsze! Idzie ku jesieni, ku ziemi, ku nocy. Ha, trudno! — stęknął i aby smutek odegnać, dodał: — Kupałę zapalimy na Wdowiej Górze. Widoczna będzie aż na stałych łądach, gdzie ludzie mieszkają. No, mamy ćwierć<sup>213</sup> raków, dosyć na wieczkę. Zostawimy matce w chacie i skoczymy stos kupałny przygotować.

Zwierzę

Święto, Obrzędy

<sup>211</sup> *Kupałny ogień* — ogień rozpalany w Noc Kupały, święto przesilenia letniego w religii Słowian (23/24 czerwca). [przypis edytorski]

<sup>212</sup> *św. Jan a. Jan Chrzciciel* (6/2 p.n.e.–ok. 32) — żydowski pustelnik, prorok, święty katolicki i prawosławny; jego święto wypada 24 czerwca. [przypis edytorski]

<sup>213</sup> *ćwierć* (daw.) — tu: zapewne chodzi o używane dawniej drewniane naczynie. [przypis edytorski]

Szczepańska, czyniąc wielkie porządki w chacie, przyjęła mile zdobycz, a oni, nie czekając powrotu towarzyszy, pobiegli w bór. Gdy wrócili o zachodzie słońca, Pantera oznajmił:

— Wodzu, palimy Kupałę. Zrobiliśmy stos pod niebo wysoki.

— Dobrze. Wszyscy pójdziemy! Tylko ryb mnóstwo do oprawienia. Gromadnie trzeba pracować, żeby do wieczora skończyć!

Mniej się to Panterze podobało, ale wziął się z innymi do roboty.

— Nie będzie głodu w post — mówił. — Żeby jeszcze grzyby obrodziły, to zimować będziemy jak króle. Ot, i Bartnik wraca.

Bartnik przyniósł więź kłosów żytnich i ciężki toból zapasów, przy tym różne wieści ze świata.

Ziarno wyhuskał na dłoń Odrowąż, obejrzał, w zębach spróbował.

— Dopiero po św. Pietrze<sup>214</sup> można żąć — zdecydował.

— Pobujamy jeszcze tydzień po borze! — szepnął radośnie Bartnik do Cota.

— Jagodny tydzień! — rzekła Szczepańska. — Raki gotowe, chodźcie wieczerzać!

Zasiedli wkoło stołu, gdzie się barwiły misy pełne, i wśród chrzęstu łamanych kleszczy

Pantera rzekł:

— Coto, wiesz ty, że masz sam iść na Wdowią Górę i stos zapalić?

— Dlaczego?

— Bo pierwszy raz Kupałę palisz i nie masz kwiatu paproci.

— A wy macie?

— Wszyscy!

— Eh! Ja ta w to nie wierzę!

— Przyznaj się, że tchórzysz albo boisz się, że nie trafisz w mroku.

— Nie sztuka trafić ani się nie lękam.

— No to idź! Dowiedz tego!

Spojrzał Coto po wszystkich. Zdało mu się, że Bartnik się uśmiecha, a Rosomak bada go wzrokiem tak wątpięcym, że aż Odrowąż brwiami poruszył.

— Co to straszego? Pójdę! — rzekł śmiało.

— W borze, po nocy, niesamowicie! — rzekła Szczepańska. — Pantera się tylko droczy. Pójdziemy gromadą, śpiewając. Kto niezwyčajny, to może i zabłądzić, i zląknąć się.

Ale to tylko podnieciło chłopaka.

Zerwał się, wziął kapelusz, zapalki, zatknął siekierę za pas i wyszedł.

— Oświecę wam drogę! — rzucił junacko, zamykając drzwi.

Ale na dworze po jasności izby ogarnęła go ciemność i długą chwilę szedł znajomą ścieżką na oslep. Gdy się opatrzył, nie bardzo rozpoznawał, gdzie jest, ale szedł śmiało polaną, licząc, że przecież na szlak trafi. Jakoż odnalazł przetarty trop, ale zarazem tak zanurzył się w gęstwinę, że już gwiazdzistego nieba nie miał nad głową — i ogarnęły go szmery boru tajemnicze, niepokojące nerwy. Zaczęła go trapić niepewność drogi w mroku, drażnić szelesty, trącania gałęzi, mdłe światełka próchna — i wreszcie stanął, czując, że mu serce bije z trwogi, a pot występuje na skronie.

I zaczął sobie w myśli powtarzać słowa Bartnika przy leśnym chrzcie: „Ja się lękam tylko wstydu” — i poczuł, że mu się dusza krzepi.

I nagle zaczął śpiewać, bo mu strzeliła myśl: „Najlepsza kompania — piosenka”. Strach prysnął jak pod wpływem czaru; rozejrzał się przytomnie, poznał tuż obok olbrzymi jałowiec — był na ścieżce.

— „Hej, bracia sokoły<sup>215</sup>!” — śpiewał coraz głośniejszy i ruszył naprzód, już opanowawszy trwogę. Gdy się z gąszczy wydostał, poznał, że drogi nadłożył, ale się na haliźnie po niebie zorientował i pewny kierunku, triumfował:

— Pantera się myli co do mnie! Trafię! Bylebym dobrze ominął tę małą topiel i odnalazł suchy bródek między torfami.

<sup>214</sup>św. Piotr a. Piotr Apostoł (zm. 64/67) — apostoł, pierwszy biskup Rzymu; jego święto wypada 29 czerwca. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>Hej, bracia sokoły — fragment pieśni *Marsz Sokółów*, będącej hymnem młodzieżowej organizacji sportowej i patriotyczno-wychowawczej „Sokół”; autorem tekstu jest Jan Lam (1838–1886), a muzykę skomponował Wilhelm Czerwiński (1837–1893). [przypis edytorski]



Już się nie lękał. Tylko raz zadygotał, gdy mu spod nóg zwierzył się poderwał i z łoskotem runął w gąszcze. Ale to sekundę trwało i już za nim skoczył, myśląc: „Ten mi bród wskaże, bom nie głupi, by topielą iść!”.

Jakoż po chwili odnalazł przesmyk, zatlił zapalkę i trop na piasku obejrzał.

— Dziki! Ależ gmach! Odludek, emeryt! — szepnął.

A potem zanurzył się w bród i człapał po wodzie, bezpieczny, że nie ugrzęźnie, i że dopiął swego.

Przed nim wznosiło się Wdowie Wzgórze. Był to najwyższy punkt tej wielkiej połaci dzikiego kraju — jałowe wzgórze piasków, usypane przez prace przedhistoryczne przyrody.

Przez długi czas macierz przyroda — nieznosząca jałowości — zasiała tam źdźbła nasienne i nauczyła rośliny żyć na wydmie. W zagłębieniach osiadły wrzosy, tworząc zwarty kilim; na łysych czubach chwyciły się ziemi szorstkie trawy o siwych wiechach puszystych, mchy i porosty, a wśród nich, jak klejnoty barwiły się w lecie słoneczne, żółte nieśmiertelniki, karłowate macierzanki i drobniutki czerwone goździki.

— Patrzcie, jak się nasza Wdowa wystroiła — mawiał Pantera. — Wdziąka na siebie bursztyny, ametysty i nawet nieco rubinów. Babsko udaje tylko nędzę!

Na najwyższym szczycie wydmy czerniał tej nocy stos olbrzymi, przy którym Coto się wyciągnął i czekał na przybycie towarzyszy.

Noc była cicha, przejrzysta, bezmiesięczna, ale pełna gwiazd i rozmarzającej lubości letniej.

Lelki i sówki przemykały lotem bezszelestnym, polując na ćmy; z gąszczów odzywały się nawoływania żerującego zwierza, chrzęsty, szmery. Z jakichś bardzo odległych ludzkich osad dochodziły szczekania psów.

Coto zapatrzył się w gwiazdy, zadumał. Pieśni płynęły mu z duszy, jakby wtopionej w to niebo i byt natury.

Czuł się zarazem bardzo mały i bardzo potężny — atom olbrzymia. A wtem z daleka dobiegła doń melodia.

Towarzysze szli od chaty i Rosomak nocy tej czarownej przygrywał na skrzypcach.

Wtedy Coto zapalił stos.

Płomień jął się suchego igliwia i mchu, zaczął biegać, jako jego obyczaj był, śpiesznie, łapczywie — wydzierać się ku górze, klaskając, pogwizdując, zbierając moc do wybuchu.

A oto do tonów skrzypiec dołączyły się głosy ludzkie: kobiece, wysoki, górujący i stare, jak owe bory, nawoływanie odwiecznej pieśni: „Łado<sup>216</sup>, Łado, o Kupalo”.

Stos zapłonął. Strzelił ogień ze szczytu, zabarwił purpurą i złotem niebo, oświetlił jaskrawo całe wzgórze.

— Zuch, Coto! — zawołał Pantera. — Północ! Znajdziesz, rekrucie, kwiat paproci.

Obstąpili wszyscy ogień, kończyli obrzędową pieśń, a potem Rosomak rzekł:

— Może przed wiekami to jedno wzgórze sterczało nad masą wód jakiegoś wewnętrznego morza i ludzie, mieszkający nad wodą, w krzemienie uzbrojeni, w skóry i łyka odziani, w tę noc aryjską<sup>217</sup> pieśń do słońca już śpiewali.

— Tu są na szczycie wzgórza odwieczne lisie nory — rzekł Żuraw. — W przegrzebanym piachu znalazłem raz parę krzemienych grotów.

— Hej, co w tej ziemi nie leży ludzkich kości i skarbów! — rzekł Odrowąż.

— Bośmy się położyli, jako stróże, na szlaku łupieżców, rabusiów i barbarzyńskiej dzicy, albo jak tama, chroniąca łąd od zalewu. Przez wieki ileż razy na tej samej moze górze płonęły nie tylko kupałne ognie, ale znaki płomienne czujności, trwogi; wołania: „Orda<sup>218</sup> idzie! Kozactwo<sup>219</sup> idzie!”. Hetmańskie, starościńskie, wojewódzkie wici ogniaste: „Kto duży, do znaku<sup>220</sup>; kto słaby, w tajnie boru!”. Wy jeszcze, ojczy, takie znaki widzieliście, my już nie. I dlatego myśmy zawsze w duszy smętni!

<sup>216</sup>Łado a. Łada — rzekome bóstwo słowiańskie, bożek piękności. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>aryjski — tu: związany z religią plemion aryjskich, która rozwinęła się w Indiach. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>orda a. borda — tu: wojsko tureckie. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>kozactwo a. kozaczyzna (daw.) — oddział wojska złożony z Kozaków. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>znak a. chorągiew — tu: dawna jednostka organizacyjna w wojsku; także jej symbol materialny. [przypis edytorski]

Zapatrzył się Rosomak w ogień, a wtem chłopcy, poszeptawszy między sobą, kopnęli się w las. Rozległ się łoskot siekier i wrócili, uginając się pod ciężarem rosochatego smolnego pnia.

Rozchybotali go i cisnęli w środek żaru.

— Łado-Kupało! — zawołał Bartnik. — Płońże, płoń na nasze młode szczęście, byśmy doczekali ognistych wici, do znaku!

— Ot, i nie smęćcie się, panie! — rzekł Odrowąż. — Doczekacie się i wy. Jak żyje duch, to śmierci nie trza się lękać. Sen to tylko czasowy!

A chłopcy spojrzeli po sobie, wyprostowali się i wyciągnęli po żołniersku:

— „Jeszcze Polska nie zginęła” — zagrzmiało jak sygnał trąbki bojowej.

Wszyscy powstali i odkryli głowy.

Hej, rubieże dalekie Rzeczypospolitej, hej, kresy ciche, puste, zdławione, wyludnione, wymordowane, wysiedlone, zamzarłe dla szpiegowskiego oka triumfującego łupieżcy-kata, kordonami bagnatów i ziemskiej mocy, dokumentami rządów potężnych i kongresów od Macierzy oddarte i z kart wykreślone!

Taki wasz głos i takie w tobie kości i skarby leżą i oczekują na zew od Matki-Pani!

I gdy pieśń przebrzmiała, Odrowąż zaczął opowieść, co była jednym paciorkiem w różańcu dziejów.

— Jak nas rozbili pod Horkami<sup>221</sup>, przedarliśmy się we czterech i zapadliśmy w bory. Pan Seweryn, wasz stryj, ranny był w rękę; ja tylko draśnięty po karku, ale było z nami dwóch kolegów z Korony<sup>222</sup>: jeden z Siedleckiego<sup>223</sup>, drugi chorąży, warszawiak. Podlasiak<sup>224</sup> już miał pod czterdziestkę, żonaty i dzieciaty; chorąży, dzieciuch, gołowąs, gdzieś ze Starego Miasta<sup>225</sup> łyk<sup>226</sup>, a zwał się Stacho Dziembor.

Małe to było, chude, czarniawe, pyskate, kłótlive i szczekliwe, a zacięte i śmiałe jak jaźwiec<sup>227</sup>. Kulę dostał w biodro i wynieśliśmy go na rękach. Krwawił i mdał, i tylko do mnie szeptał: „Daruję wam Sagalasówkę<sup>228</sup> moją, tylko wynieście mnie, by psiekrwie Orła nie dostały”. A sztandaru z garści nie popuścił, aż gdy go gorączka do cna zmogła już w bezpiecznej kryjówce. A i to, jak tylko się ocknął, wołał: „Mój znak, mój znak!”. No, dobrze! Zapadliśmy w takie tajnie, com tylko ja jeden znał; i legliśmy. Pan Seweryn, jako że się na ranach znał, opatrzył wszystkich, a mnie wysłano na zwiady. Dotarłem do dworu, poszeptaliśmy z kobietami. Przyniosłem szmaty, chleb, kordiały<sup>229</sup>, maści; no i tak lizaliśmy się z ran. Jak gorączka panu spadła, przyszła wieść ze dworu, że ucieczka za granicę konieczna i przygotowana, więc zrobiliśmy naradę. Podlasiak i chorąży musieli zostać. Jeden ciężko był ranny, drugi miał go pilnować, aż ja wrócę, pana wyprowadziwszy za kordon. Wtedy bym ich dwóch przeprowadził. Chorąży na to mi powiada: „Kolego, pamiętajcie, że Sagalasówka wasza, bo juchom Orła nie dacie i mnie na plecach wynieśliście. Coś mi się roi, że na Powązkach<sup>230</sup> nie spocznę, ale tu w waszym borze. Mniejsza o to, żołnierski cmentarz czy zielona dąbrowa! Byle pod swoim znakiem! Podlasiak mnie dopilnuje i strzelbę doręczy. Daj wam, Boże, szczęście”. A Podlasiak powiada: „Mnie szpetnie jakaś gorączka nęka, a muszę w swoje strony wracać, bo mam od naczelnika depozyt; całą sakiewkę dukatów mi przed bitwą dał, ostatek z kasy partii. I rozkazał pod przysięgą, że bym odniósł do Rady Narodowej<sup>231</sup>, pod tajny adres. Zatem pośpieszajcie, kolego, z powrotem”. „A jeśli zginiemy?”, powiada pan Seweryn. A żeśmy żołnierze byli i twardzi, więc Podlasiak mówi: „Kto z nas żyw zostanie, będzie tu czekał miesiąc, a po

Walka, Las, Wojna

<sup>221</sup>Horki — wieś w powiecie kobryńskim guberni grodzieńskiej; w trakcie postania styczniowego miały tu miejsce zaciekle walki między Polakami i Rosjanami. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Korona — tu: Królestwo Polskie. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>Siedleckie — historyczne ziemie wokół Siedlec (na Podlasiu Południowym), w centralnej Polsce. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>Podlasiak — mieszkaniec Podlasia, historycznej krainy położonej w centralnej Polsce. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>Stare Miasto — najstarszy ośrodek miejski w centrum Warszawy. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>Łyk (pogard.) — tu: mieszczuch, mieszczanin. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>Jaźwiec (daw.) — borsuk. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>Sagalasówka — broń myśliwska wykonywana w końcu XVIII wieku przez kowala-rusznikarza o imieniu Sagalas. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>kordiał (daw.) — mocny trunek; lek wzmacniający serce. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>Powązki — historyczny cmentarz w Warszawie. [przypis edytorski]

<sup>231</sup>Rada Narodowa — zapewne chodzi o Tymczasowy Rząd Narodowy (Komitet Centralny Narodowy), tajny organ władz powstania styczniowego, działający na ziemiach zaboru rosyjskiego [przypis edytorski]

miesiącu sam ruszy, bo widocznie śmierć wam stanęła na przeszkodzie”. Rachowaliśmy, rachowali... Zgodzili się! Bo my mieliśmy, zda się, sporo czasu, a im trudno było utrzymać się dłużej przy życiu w borze, bez ognia i ciepłej strawy. I takeśmy się rozstali. Na wieki! Na granicy w ostatniej chwili postrzelił pana Seweryna *objeszczyk*<sup>232</sup>, tak żem go ledwie wyniósł przed pościgiem; trza się było kryć po pustych szopach, mitrzyć<sup>233</sup>, ranę goić i dopiero po siedmiu tygodniach wróciłem w swoje strony na śledztwa, areszty, ciąganiny i baty. Wykręciłem się jakoś cudem i zaledwie wolny, poleciałem do boru. Kryjówka była pusta. Schodziłem, zdeptałem, przeszukałem puszcę; pytałem każdego drzewa, każdej piędzi ziemi, zwierza, ptaka, gada. Przetrzęsnałem gniazda i schroniska, każdą dziuplę i wykrot zbadałem. I nic nie odnalazłem. Potem i na Podlasie<sup>234</sup> powędrowałem, dopytałem o dzieci naszego kolegi. Nie wrócił do domu. Tak obydwaj tu leżą i czekają bożej chwały.

— Anioł Pański zwiastował Marii Pannie... — zaintonowała Szczepańska.

— I poczęła z Ducha Świętego — odpowiedzieli wszyscy.

Stos płonął, pryskał, łuną na niebie kwitł. Po pieśni żołnierskiej żywi wspominali modlitwą bohaterskie kości.

Ale Pantera nie mógł już dłużej utrzymać swej natury w tak wysokim napięciu i gdy skończyli modlitwę, zaczął podjudzać chłopców do skakania przez ogień i do różnych łamanych sztuk. Zaprosił potem „pannę młodą” do tańca i pośpiewując, pohukując, okrążył ognisko.

Potem namówił do śpiewu i przy skrzypcach i fletni Żurawia szła pieśń za pieśnią — daleko w ciszy nocnej.

A wreszcie zaczęła Szczepańska prawić baśnie o kwiecie paproci i o skarbach.

Rozciągnięty przy ogniu, milczący Rosomak słuchał. Dorzucił słowo Pantera, Odrowąż, Żuraw, nawet mruk Szczepański. On, zapatrzony w niebo, milczał.

— Wódz zdrzemnął się — odezwał się Pantera. — A pewnie nie byle jakie cuda widział i słyszał. A chodząc nocami po puszczy, może w chodaku miał kwiat paproci.

— Nawet go zawsze mam, a i to wam powiem, że każdy z nas go posiada! — odparł Rosomak powoli, a wszyscy utkwili weń oczy pytające.

— Bo tak — mówił dalej. — W baśni tkwi cała mądrość pierwobytu, i trzeba baśń w życie wprowadzić. W baśni śmiałkowie zdobywają królowny i szklaną górę, i żywą wodę, i taką wolę i wytrzymałość trza mieć. Zdobywają szczęście, bo ofiarowują siebie, by słabych, uciemienionych, zaklętych wyzwolić. W baśni silny wspiera słabego, głupi dobry zwycięża silnego złego i w baśni stworzenie boże, ptaki, zwierza, gad, owad, wraca do przyjaźni z człowiekiem, do zrozumienia, jak być powinno. W baśni życia siły uzdrowienia, mądrość i jasnowidztwo dają źródła wody, krzepkość daje zbożowe ziarno; na szczycie, na tronie zasiada pastuch rodem, ale bohater z duszy i czynu. Kto baśń zrozumie i żyć wedle niej będzie, ten posiadał kwiat paproci. Ten ma „oczy, co widzą, uszy, co słyszą”<sup>235</sup>. Ten żyje mądrością przyrody. A jeśli kto z nas, tu bytujących, co by z doli swej nie był rad, drugim zazdrościł? Czegoś cudzego, obcego, dalekiego, innego pożądał?

Milczeli wszyscy.

— No, toć kwiat paproci mamy w zanadrzu głęboko, skąd nie wypadnie: w sercu.

Powstał Rosomak, przeciągnął się, spojrzął po niebie.

— Ot, i świt niedzielny. Żurawie-stróże już grają. Do domu!

Nikt nie myślał o śnie. Cudny, pachnący, rośny świt wstawał nad puszcza. Chłopcy z Panterą kopnęli się do kąpieli, a Szczepańska rzekła:

— Niedziela jagodna być powinna. Nikomu obiadu nie dam, kto pełnego dzbanka nie przyniesie.

— Trudno, trza matki słuchać. Idziemy! — rzekł Rosomak.

— Ale pierogi na wieczrę sobie zamawiam! — dodał Odrowąż.

<sup>232</sup>*objeszczyk* (ros.) — konny strażnik pilnujący granicy Imperium Rosyjskiego w XIX i XX wieku. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>*mitrzyć* — marnować czas. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>*Podlasie* — historyczna kraina położona w centralnej Polsce. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>*oczy, co widzą, uszy, co słyszą* — odniesienie do fragmentu tekstu biblijnego; „A wasze oczy błogosławione, iż widzą, i uszy wasze, iż słyszą!” (*Biblia Jakuba Wujka*, Mt 13, 16). [przypis edytorski]

Jakoż, gdy chłopcy wrócili po kąpeli, znaleźli chatę opuszczoną, a na progu trzy puste dzbanki i trzy kromki chleba.

— Aha, to znaczy: jazda po jagody! — zaśmiał się Pantera, porywając najmniejszy dzbanek. — Można się będzie przespać, najeść czernic i poprosić drozdy, żeby pomogły zbierać.

— Do barci zajrzę, bo tam najwięcej poziomek — rzekł Bartnik.

A Coto, widząc Łataną Skórę, idącą wolno na pastwisko, wskoczył na nią i tak ruszył w las, na beztroską wędrówkę.

Za matką dreptała mała Agatka, kropka w kropkę, łatka w łatkę pstra miniaturka klaczy, i bawiąc się, skubała chodaki Cota, bo zwykli byli swawolić i uganiać po polanach.

Dzień się zapowiadał upalny i Cota sen morzył, więc się wypraszał:

— Na odwieczerz, Agatko, pohulamy. Teraz zaprowadźcie na polanę, pod omszony wykrot, w paprocie, i godzinkę się prześpię.

Klacz też kierowała się na odkryte polany i wyprowadziła go na Murawiewską trybę, gdzie rosła dąbrówka wonna. I wtedy zaczęła się pożywiać pilnie.

Coto ześlizgnął się na ziemię i rozejrzał się, szukając najwygodniejszego legowiska.

Stare, samotne dęby rosły z rzadka, a zwały porąbanych olbrzymów, oplecione zielonym, wyglądały jak zielone, mogilne kurhany<sup>236</sup>. Coto wdrapał się na jeden, między suchymi konarami się umieścił i — na wpół siedząc, na wpół leżąc — patrzył, czując, jak powoli rozkosznie zasypia. Klacz, pasąc się, oddaliła się znacznie. Agatka pozostała, skubiąc dla zabawy paprocie pod jednym z olbrzymów.

Nastała taka cisza, że słyhać było brzęk owadów. Puszcza stała bez ruchu, bez głosu, pławiąc się w słonecznym południu.

I oto nagle Coto posłyszał trzask złamanej suchej gałęzi na dębie, nad Agatką.

Podniósł oczy i zerwał się jak puszczona z łuku strzała.

Cały dramat trwał sekundy. Na konarze mignął mu potwór w skoku, piorunem strzeiliły z mózgu myśli, obrazy: Lithuania<sup>237</sup>, śmierć, ryś. I cisnął się jak pocisk, między ten skok zwierza a źrebię.

Zwierz zwałił się na niego, wczepił pazury w lewe ramię i obalił go na ziemię.

Ból rozdartego do kości ciała, groza tamująca dech, instynkt drapieżny obrony... Przed twarzą zamajaczyła paszcza czerwona, cuchnąca trupem, oczy zieloną źrenicą przecięte i chłopak za gardło uchwycił bestię, dławiąc ją rozpaczliwym wysiłkiem.

Sekundy to trwało i długo trwać nie mogło, ramię traciło moc, krew z rozprutej arterii bluzgała strugą, oczy zachodziły mgłą... Jeszcze sekunda — i będzie koniec...

Walka odbyła się w milczeniu, gdy wtem rozległ się tętent i gasnącymi oczyma ujrzał Coto nad sobą ostatni obraz: rozdęte nozdrza, błyskające źrenice, łeb klaczy, zmieniony wściekłością. Dziko chrapiąc, dopadła do zwierza i skoczyła obu nogami na krzyże drapieżnika.

Ozwał się chrzęst łamanych kręgow, zdławiony spazmem śmiertelny pomruk bólu — i paszcza zwisała bezwładnie na piersi chłopca. Ale on tego już nie widział i nie rozumiał, bo stracił przytomność.

I oto zawrzało w puszczy. Klacz, przygwałdzając kopytami wroga, podniosła łeb i rżała dziko, a na to hasło „krwi” pędem z gęstwiny wybiegła Hatora i dopadła miejsca mordy, rycząc dziko i kopiąc racicami ziemię dookoła. Przytulona trwożnie do boku matki, wtórowała dyszkantem<sup>238</sup> Agatka.

Ten sygnał zwierzęcy usłyszeli Rosomak i Żuraw, zajęci obserwacją jakiegoś porostu na zmurszałej osice.

— Domownicy na krew trąbią! Coś się tam stało. Lećmy na ratunek.

I pobiegli. Dopadli ich w porę.

Rozległy się sygnały, trąbki, gwizdki, wołania.

Nieprzytomnego chłopaka w mig przyniesiono do chaty i oddano w ręce Żurawia do ciężkiego, bolesnego opatrunku.

<sup>236</sup>kurhan — kopiec kryjący grób. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>Lithuania — tu: cykl rysunków polskiego malarza Artura Grottgera (1837–1867), przedstawiających sceny z powstania styczniowego. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>dyszkant — wysoki, piskliwy głos. [przypis edytorski]

Kręcił markotnie głową Żuraw, a wszyscy stali nad nim bez głosu, przerażeni. Dopiero gdy krwotok doktor zatamował i obandażował ranę, Odrowąż rzekł:

— Nie sumujcie<sup>239</sup>! Żyw będzie! Doktor niech swoje robi, a ja do domu zaraz pójde i przyniosę moje leki. Mówię wam, żyw będzie, tylko mnóstwo krwi stracił, to i zemdlał. A wy, Pantero, ze Szczepańskim skórę rysią pięknie obciągnijcie, a głowę zaraz w mrowisku zakopcie dla oczyszczenia! Rzadka sztuka i trza będzie przeszukać: gdzieś gniazdo być musi i małe, bo mleczna samica-bestia.

Gdy się Coto ocknął, leżał w komorze na posłaniu Rosomaka i czuwała nad nim Szczepańska. Przy oknie na stoliku Żuraw przyrządzał miksturę.

— Łatana Skóra! — szepnął chłopak.

— Co, dziecko? — zapytała kobieta.

— Łatana Skóra mnie uratowała. Już było po mnie. Dajcie pić! Doktorze, pewnie lewej ręki nie będzie?

— Będzie, będzie. Na skrzypkach grać będziesz, tylko ranny. Jakże to się stało?

— Na Agatkę chciałem skoczyć z konaru. Więc myślałem, że odepchnę, uduszę! Nie wiem, nic nie myślałem. Małej żal było! Ale to potwór! Żeby nie klacz...

Mówił szeptem; rwały się słowa i zapadł w jakieś senne majaczenia. Wieczorem dostał gorączki i powtarzał:

— Widzi Pantera, widzi Pantera, pokaże się przy okazji, że nie Gęba Rusznica ani Coto głupi! Aha, Pantero, aha!

Czuwali nad nim na przemian wszyscy. O świcie wrócił Odrowąż z torbą pełną flaszek i maści i rzekł do Żurawia:

— Dopuści mnie doktor do pacjenta?

Uśmiechnął się Żuraw i spojrział w okrąg puszczki.

— Od kilku lat pod waszym rektoratem uczę się w tej Alma Mater<sup>240</sup>. Jakżeby waszej nauki nie czcił!

Stary mędrzec wziął więc chłopaka na kurację. Zlał ramię pięknie pachnącym balsamem, ugotował z ziół napój, na rozpaloną głowę przyłożył okład chłodzący — i to sprawił, że po dwóch dniach gorączka spadła i chory zażądał posiłku; a potem spał jak najspokojniej. I po to się tylko budził, by wołać: „Jeść!”

A wreszcie zbudził się pewnego dnia z uczuciem ozdrowienia i jakiejś wielkiej radości życia.

Wokoło panowała cisza i słoneczność, przez otwarte szeroko okna alkierza słało się ciepło letnie i zapach żywicy. Rozejrzał się Coto — był sam, ale za drzwiami słychać było jakiś roboczy szmer.

— Matko! — zawołał.

Ale zamiast Szczepańskiej ukazał się Odrowąż z miską w ręku.

— A co? Jeść chcesz?

— I jeść, i żyć, i gadać, i śpiewać! Opuściła mnie słabość. Tak mi dobrze! Dziękuję, ojczu.

Zaczął pożerać z wilczym apetytem polewkę, gęstą od ryb i kartofli, zaprawioną obficie śmietaną.

— Matki nie ma?

— Nikogo nie ma. Wszyscy na żniwach. Ale co wieczór jeden przybiega o ciebie się dowiedzieć.

— Mój Boże, a czy dla mnie żniwa starczy? Już wstanę, ojczu, tylko lewa ręka jeszcze nie słucha!

Usiadł na posłaniu i poczuł pod stopami futro. Spojrzął.

— Bestia! — zaśmiał się.

— Należy ci się pod nogami ją mieć, a i czapkę ci Pantera zdobył.

I pokazał Odrowąż dwie małe skórki kociąt.

— Znalazł je w dziupli dębowej. Podrapały mu szpetnie ręce, ale całe gniazdo szczelno dzięki tobie. A ot, i czerep<sup>241</sup> masz na pamiątkę boju! Mrówki oczyściły go cudnie.

— Straszny zwierz. Chyba mocniejszego nie ma w puszczki?

<sup>239</sup>sumować (daw.) — martwić się. [przypis edytorski]

<sup>240</sup>Alma Mater (łac.) — wyższa uczelnia, uniwersytet. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>czerep — czaszka. [przypis edytorski]

— Nie ma, tylko na szczęście rzadki. Dawniej bywało, że i niedźwiedzia zadarł. Teraz niedźwiedzi nie ma, ale łos się przed nim też nie obroni.

— Wycie go, ojczu, ubili kiedy?

— Rzadko. Ostatni był lat dziesięć temu. Zadarł łanię i tak się przeżarł, że m go śpiącego na drzewie dojrzał i zabił.

Coto siedział zasłuchany.

— Jak dziwnie cicho! — szepnął.

— Bo już lato, lipiec. Ptaki skończyły gody, owady tylko w skwarze hulają i brzęczą.

— To już dawno leżę?

— Trzeci tydzień.

— O Boże! Tyle czasu bez roboty.

— Niewiele. Zdrową masz krew! Po klach i pazurach rany jadem jakimś zachodzą i ciężko się goją. Bogu dziękuj, żeś miesiąc nie odleżał.

Ujął go za rękę i począł jakimś tłuszczem namaszczać i rozcierać.

— Będziesz władzę miał, ale nie zaraz. To nic. Grzyby zbierać zdołasz, a to będzie pierwsza robota. Z nowiem już powinny się wysypać, bo ziemia kwitnie.

A wtem prędkie kroki rozległy się w ogródku i w progu stanął Bartnik zdyszany i uśmiechnął się radośnie.

— Już uciekasz z posłania! Chwała Bogu!

Uściskał dłoń chorego, pocałował dziada w rękę i szybko raportował:

— Wódz przysłał po miód, bo jutro u nas dożynki.

— Już? Tak szybko! — zdziwił się Odrowąż.

— A bo tak! Jak ludzie zobaczyli doktora z kosą, zaraz się zlecieli z chorobami, a on powiada: „Zboże nie może czekać; niech mnie kto wyręczy przy kosie, to idę”. Zaraz się rzuciło pięciu i kobiety do wiązania. A potem znowu przyszła gromada do wodza, żeby jakiś spór graniczny rozsądził, i w mig go wyręczyli. No i położyliśmy żyto i jęczmień, i rychlik już koszą. Tylko huczy u nas na polu, a śmiechu, a śpiewu, a ochoty że ha! Wódz kazał miodu przynieść i skrzypce! Zaraz do barci po miód skoczę, tylko bym chciał mleka się napić, bo straszny skwar. A doktor krzyczy, żeby wody nie pić, bo ludzie zaczynają na biegunkę chorować. Ojciec już mendle<sup>242</sup> zwozi na gumno<sup>243</sup>!

I polecał chłopak, a Coto też zaczął napierać się na boży świat, ale tylko na przyzbie usiadł, tak jeszcze był słaby. I na płacz mu się zbierało, że lecieć, pracować, znoić się i cieszyć z nimi nie może.

— Nic to! — pocieszał go Bartnik, gdy wrócił z lipówką pełną miodu, i dał mu na miseczkę kawałek plastra, jeszcze przenikniętego ciepłem i wonią ulla. — Nic to! Ale co się dla ciebie szykuje, żebyś wiedział. Pantera z wodzem szepce, ałem podsłuchał.

— Co? Powiedz!

— Nie wolno mi gadać! Zobaczysz!

I śmiejąc się, chłopak tobołki zabrał, pożegnał się i polecał z powrotem.

— Ojczu! Co mnie czeka? Pewnie wiecie? — napadł Coto na Odrowąza.

— Nie wiem! Ale myślę, że cię czeka to, co się należy zuchowi: chwała i honor! — odparł stary, głaskając go po głowie.

Minął jeszcze jeden cichy, skwarny dzień letni. Coto już od rana zszedł do podsienia i rozkoszował się życiem. W naturze czuć było przesilenie — koniec jednego okresu. Wśród gałęzi drzew i krzewów ćwierkała młodzież ptasia, dopominając się od rodziców pożywienia, przelatując nieśmiało z konaru na konar. W skwarnym powietrzu bujały wielkie bąki, gzy i motyle. Monotonnie gruchały turkawki, czasem przerywał ciszę krzyk sójki zwiastującej jastrzębia, a tło letniej muzyki tworzyły świerszcze, bezustannie strojące swe jednotonowe skrzypce.

Słońce stało w potędzie dojrzewania.

Na jarzębinach poczynały się barwić paciorki i wielkie liliowe dzwonki kwitły pod pniami brzoź, na których już gdzieniegdzie błyskały pojedyncze złote liście.

Świerszcze, owady lotne i turkawki śpiewały kołysankę, co wreszcie uspiło Cota, który się w ogródku na derce wyciągnął i dał słońcu wzmacniać się i goić ranę. Aż gdy się

<sup>242</sup>mendel (daw.) — tu: piętnaście snopków zboża. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>gumno — skład zboża przed wymłóceniem; podwórko wiejskie wraz zabudowaniami. [przypis edytorski]

ocknął, miało się na odwieczny — z puszczy wynurzył się Odrowąż i z zawiniętej polki kapoty wysypał na przyzbę kupę żółtych lisic i syrojadek.

— Ot, i pierwsze grzyby już są. Będzie urodzajny rok.

— Myślałem, żeście, ojcze, poszli na dożynki.

— A ciebie miała łania karmić jak świętych w puszczy! Zanim bym zaszedł, to i oni wrócą. Pewnie na noc będą.

Zaczął stary grzyby na wieczerzę obierać i prawić leśne baśnie — i tak im zeszło do wieczora.

Chłopak upierał się, że doczeka towarzyszy, ale musiał po wieczerzy spać iść do alkierza, bo jednak jeszcze go ten dzień zmęczył. A zresztą chciał przespać niecierpliwe oczekiwanie tego, „co się dla niego szykowało”.

Nazajutrz chata zawrzała zwykłym gwarem. Od świtu rozlegały się rozprawy Pantery przy obroku i doju, rozhovor Rosomaka z Odrowążem o żniwie, pogwizdywania Bartnika, kłótnie Kuby z Żurawiem o orzechy — i Coto począł do nich wołać, witać.

Ale przede wszystkim odbył się opatrunek rany z wielką uciechą i radością, bo zbliżniła się świetnie. A potem Pantera wziął się do toalety chorego.

— Na gody, panie młody, na gody! — mówił, strzygąc go, czesząc, szorując i oblekając w czystą bieliznę.

— Co za gody? Na jakie gody? — pytał Coto, dopomagając, jak mógł, jedną ręką.

Ale Pantera stroił cudaczne miny, a potem po swojemu „prysnął” w las, stęskniony za bujaniem i swobodą.

Rozeszli się wnet inni, każdy do swej namiętności: Odrowąż z Rosomakiem na połów, a Bartnik do pszczół. Tylko Żuraw został na gospodarstwie, ale się też zatopił w segregowaniu mnóstwa okrzesek, krzemienych grotów i siekier, skorup i glinianych paciorków — zdobywszy z dalekich łądów.

Po południu przybiegła Szczepańska. Zawiesiła kołyskę z „panną młodą” w alkierzu, jęła się po swojemu do roboty i napełniła weselem i śpiewem całe obejście.

— Bez kobiety śmiecie się u was gromadom! — śmiała się do Żurawia.

— Nie może być ładu bez matki! — potwierdził.

Zacząła więc Szczepańska szorowanie gruntowne. Umaiła kwieciami izbę, bieliznę brudną wyniosła do wody, a pomagał jej Coto wedle sił, oczekując niecierpliwie wieczora.

Nareszcie, gdy obsiedli wszyscy stół z wieczerzą, ozwał się Rosomak:

— Jest tu wśród nas Coto?

W chłopcu zabiło na gwałt serce.

— Nie ma u nas żadnego Cota! — odparł Pantera. — Jest leśny nasz druh, Orlik bojowy, co z gołymi rękami na rysia się rzucił.

— A dlaczego się rzucił? Czy życia swego bronił?

— Nie bronił swego, ale cudzego życia, i takiego słabego stworzenia-zwierzęcia, co człowiekowi służy ciche i posłuszne, a bywa przez ludzi zwykle wyzyskiwane tylko i krzywdzone. A Orlik bojowy, jako bratu i przyjacielowi, skoczył mu na ratunek i omal swego życia nie postradał. Przeto mu cześć i chwała za taką duszę miłosierną.

— Chwała! — powtórzyli wszyscy.

— A czy Orlik bojowy czci w tej puszczy Boga Mistrza, co te cuda uczynił, i bratem się czuje każdego stworzenia, co z nami tu żyje?

— Czczę i szanuję! — szepnął wzruszony chłopak.

— A czy Orlik bojowy opanował nocny lęk puszczy i nie trwoży go wodna toń ni bezdeń trzęsawisk?

— Śmiały jest i spokojny! — rzekł Żuraw.

— A czy Orlik bojowy trzodzi się i pracuje z umiłowaniem trudu i pracy?

— Radosny pracownik jest — poświadczyła Szczepańska.

— Zatem Orlik bojowy jest naszym bratem i druhem serdecznym! — rzekł uroczyście Rosomak, powstając i wyciągając prawicę.

Powstali wszyscy, ale w tej chwili rozległ się za chatą ruch, szamotanie i rżenie końskie.

Nikt poprzednio nie zauważył, że Pantera z izby się wyslizgnął. Teraz rozwarły się szeroko drzwi chaty i tupiąc hałaśliwie kopytami wkroczyła Agatka, cudacznie przystrojona.

Chrzest, Las, Obrzędy,  
Obyczaje

Zwierzę, Przyjaźń, Koń

Miała na szyi wieniec z nieśmiertelników złotych, na grzbiecie rozpostartą rysią skórę, a u grzywy przy uszach skórki kociąt. Stała na środku izby trochę wystraszona i zarżała.

Na to hasło w otwartym oknie ukazał się leb Łatanej Skóry, patrzącej dobrodusznie i odzywającej się uspokajająco.

Za Agatką ukazał się Pantera i rzekł:

— Domownicy proszą wodza za swym przyjacielem i obrońcą i polecają mi złożyć mu łup zdobyczny.

Coto nie znał słów odpowiedzi, tylko objął Agatkę za szyję i całował ją w chrapy, wycierając nieznacznie o sierść łzy wzruszenia.

A potem wyszli razem na polanę i poczęli harcować we troje — bo i Bartnik przy-skoczył do kompanii.

Patrzyła na tę swawolę z pobłażaniem Łatana Skóra, a z pewną krytyką flegmatycznie przeżuwiająca Hatora.

I patrzył radośnie z płotu Kuba, ale się trochę bał przyłączyć do harców.

Odtąd nikt już Orlika bojowego nie nazwał Cotem, bo drogo swą leśną nazwę opłacił.

## DZIEWICZY ŁĄD

Wedle przepowiedni Odrowąza w kilka dni potem wyspały się grzyby. Pantera pierwszy zjawił się z pełną kobiałką i dał hasło do zbioru.

Jakaś zaciekleń chęć zdobyczy opanowała leśnych ludzi. Był to przecież dar natury, szcudry do przeobfitości, dar puszczy, owoc ziemi pierwotnej — i pierwotna była ich radość z owej manny cudownej.

Zaniedbano wszelkie zajęcia, nie pilnowano godzin posiłków, nie odczuwano trudu. Ledwie świt — pustoszała chata; rozbiegali się pojedynczo, bo każdy miał swe rewiry i zakątki, o których nie mówił innym, chcąc się największym zbiorem pochwalić.

Tylko Bartnik towarzyszył Orlikowi, by mu pomóc w dźwiganiu kosza, a Rosomak trzymał się w pobliżu Szczepańskiej, wyręczając ją czasem w piastowaniu dziecka.

Grzyby znoszono do ogródka na osobne stosy, które wieczorem rachowano i przygotowywano do suszenia.

Stanowiły też codzienny posiłek, bo na połów nikt nie wypływał, a obierać kartofli nikt nie chciał — tak wszyscy bywali zajęci i zmęczeni.

Po paru dniach Rosomak jednak dzielenia i rachowania zabronił.

— Zsypywać będziemy na jedno miejsce, a jeśli chcecie, wszystkie wieczorem rachujcie. Nie nasz obyczaj przechwalać się jeden przed drugim.

— Bo i prawda! Bóg daje każdemu i wszystkim! — rzekła Szczepańska.

Milczał przecząco Pantera i chłopcy, ale ulec musieli.

Co wieczór palono w piecu i co rano, ale zbiór się nie mieścił do suszenia, i trzeba było nadmiar wysłać wozem za Tęczowy Most lub dostarczać do kładek, skąd zabierał grzyby do folwarku Szczepański.

Ludzie byli zapracowani, ale rozpromienieni robotą, pomimo całodziennych marszów, dźwigania ciężkich koszów i nieustannego głodu, gdyż brali z sobą tylko chleb, a pragnienie tłumili jagodami.

W chacie zapanowało takie gorąco, że nocowali na dworze — na pomoście, który wśród konarów starego jesionu zbudował z żerdzi i desek Pantera.

Szczepańska z dzieckiem sypiała w podsieniu.

Z wypraw tych, z bobrowania po wszelkich zakątkach przynosili zarazem i inne trofea: mchy rzadkie, węzowe skórki, narośle drzewne, czeczoty, gniazda, pióra, a wreszcie Orlik z Bartnikiem znaleźli rosochy siedmioletniego łosia i przydźwigali je z trudem, mając do roboty we dwóch tylko trzy ręce.

Urodzaj grzybów był bajeczny i ogarnął cały ten kraj. Szczepański przybył też z folwarku, opowiadając, że wsie były puste i roboty polne zaniedbane; wszyscy wybiegli w lasy.

Opowiadał też, że chłopcy zachodzili nawet na tę stronę trzęsawisk, ale że pewnego dnia wrócili w popłochu, bo się im ukazał i gnał ich, strasznie wyjąc, diabeł leśny czy wilkołak.

Oczy Rosomaka podniosły się na Panterę.

Diabeł



Nad stosem grzybów, oczyszczając je i sortując do suszenia, klęczeli we trzech — Pantera i chłopcy — szepcząc coś tajemniczo. Po twarzach latały im uśmiechy. Zdawali się wcale nie słyszeć, co mówiono w podsieniu.

— Jednego diabła tylko widziano? — rzekł Rosomak, głos podnosząc. — Ja widziałem trzech.

Orlik nie wytrzymał, podniósł głowę, a Pantera podchwycił:

— Wódz to nawet jasnowidzenia miewa.

— Za trzy dni grzyby się skończą, już robaczeją. Dopiero za miesiąc znowu się wysypią! — stwierdził Odrowąż.

— Mam na ten miesiąc wielką robotę — rzekł Rosomak, gdy zasiedli do wieczerzy. — Takich suchych błot nie było lat wiele. Moglibyśmy się do pohybelnika dobrać. Jak myślicie, ojcze?

— Można spróbować! Tam nawet zimą w krąg są oparzeliska<sup>244</sup>. Trzeba będzie łożyć słać i mościć przesmyk. Siła nas teraz, to dokonamy tego.

— Przede wszystkim do Puchaczego Ostępu trzeba się dostać: tam jeszcze grzyby nietknięte czekają.

— Jutro zatem wyprawa!

— Bo i po drodze na pohybelnik.

Ruszyli nazajutrz w szóstkę na całodzienną wyprawę. Las był cichy i zadumany, jakby w sobie skupiony i ciężki dojrzewaniem nasienia i owocu. Ćwierkała nieuczenie młódź ptasia, z jagodników porywały się drozdy spasiono, pod stopami chrzęściły zioła i mchy, poschnięte od skwaru, a z brzoź oblatywały już pozłoczone liście. Jarzębiny stały strojne w purpurowe korale i różowym nalotem poczynaly się barwić kaliny i borówki.

Wrzosa były już w pączkach, a na polanach kwitły tysiączniki i goryczki — późne kwiaty.

— Jesień idzie! — rzekł z westchnieniem Rosomak.

— Trzeba zacząć zbierać jarzębiny i zioła — zauważył Żuraw.

— Ba, jeszcze orzechy nie są gotowe. Jeszcze zabawimy ze sześć niedziel! — pocieszał się Pantera, coraz to wychodząc z szeregu i zbierając grzyby.

Chłopcy wypatrywali gniazd, ale wszystkie były już puste, znaleźli tylko mchową chalupe wiewiórczą, a w niej późny lęg — czworo rudych wyrostków, które się rozpierzchły błyskawicznie po gałęziach.

— Kuba, to pewnie twoje dzieci! — zawołał Pantera.

Ale Kuba, siedząc na ramieniu Żurawia, obserwował tylko leszczyny.

Stanęli wreszcie nad halizną torfowiska, naprzeciw Puchaczego Ostępu, i zabrali się do roboty. Błoto pożarło już wiosenne przejście, zaczęli więc łożyć rąbać i w pęki wiązać, a Odrowąż ścieżkę słał, wybierając wedle swego doświadczenia mniej niezbadany szlak.

W południe — trochę pełzną, trochę się topiąc — przedostali się do sosen i rozłożyli obozowisko. Spoceni i obłoceni posilali się chlebem i mlekiem. I rzucili się, zamiast odpocząć, do zbierania grzybów. Nikt tu dotąd nie był. Grzyby rosły jedną masą zwartą, całymi koloniami — różnego wieku i wzrostu. Bez trudu, bez szukania brano je i zrzucono na stos.

— Ale jak je stąd wydostać? — pytał Orlik.

— Wyszuszmy na miejscu! Palcie ognisko! — zakomenderował Odrowąż.

Wedle jego instrukcji wykopano szeroki a płaski rów i zapalono w nim ogień. Stary pozostał, by go pilnować i zasilać, a oni się rozpierzchli, żeby zbadać cały ostęp.

Rosomak z młodej sosny zrobił prymitywną drabinę i dostał się do barci. Pantera z chłopcami zaszył się w gąszczu, i wnet z triumfem przynieśli dwa — już puste — remizowe gniazda. Żuraw wydostał się na dalsze halizny błotne i znalazł kolonię kwiczolów, kilkadziesiąt gniazd w brzożach i chmurę ptaków żerujących na jemiolach.

Rosomak, znalazłszy pszczoły syte, bogate i bardzo wojownicze, ruszył też na wyprawę. Skoczył za nim Orlik.

— Wuju, mrzemy razem pójść?

Skinął głową Rosomak. Zaszyli się w gąszczu i chłopak mówił szeptem:

— Jakoś mi tu dziwnie! Inaczej niż tam, u nas. Jakbym był w kościele. I cisza tu inna.

<sup>244</sup>oparzelisko — grząskie, bagniste miejsce, niezamarzające w zimie. [przypis edytorski]

— Chram natury! Rzadko i dawno tu ludzie bywali. Zauważyłeś też szczeliny w gąszczu? To losie i sarnie ścieżki. Idźmy cicho, milczkiem, możemy coś pięknego zobaczyć.

Ostęp stawał się coraz dzikszy. Stare świerki cieniły się olbrzymimi, nawisłymi gałęziami, przesytytymi u ziemi gęstwą młodych brzoź, osik i zwałami drapieźnych jeżyn. Małe halizny czyniły powalone drzewa, osnute całe pełzającymi chmielami i powojem. Trzciny pokrywały niższy teren, kłębiąc się w ściany zielone, w fale nieruchome, w okopy roślinne.

I wśród tego wiły się ciasne, przetarte szlaki, którymi leśni ludzie posuwali się powoli, starając się stąpać bez szelestu i nie trącać zielonych ścian. Cisza była tak głęboka, że słyszeli kucie dzięcioła za topielą, brzęk pszczół, żerujących na kruszynach, i bicie swych serc. Nie odzywali się. Czasem Rosomak stawał i pokazywał to gniazdo rzadkie, to kwiat, to wiewiórkę na świerku, to sowę, przytuloną do pnia i prawie niewidzialną, to lelka złożone we śnie jak sęk drzewa. Tak szli, czytając księgę lasu.

Nagle drgnęli i znieruchomieli w cieniu świerku. Gdzieś na prawo w gąszczu coś się odezwało. Było to jakby pobekujące, głuche stęknienie i trzask łamanych gałęzi.

Rosomak wziął za ramię Orlika i wsunął go za sobą pod nawisłe gałęzie. Niewidzialni — zastygli w nieruchomości, w oczekiwaniu, w napięciu wzroku i słuchu.

Gąszcze ożyły. Jakaś moc druzgotała krze i młode drzewa, jakiś huragan je pochylał i roztrzącał. Głuche, ponure mruczenie i trzask, jakby drewnianych kołatek...

Na roziskrzony, pytający wzrok chłopca Rosomak szepnął prawie bez dźwięku:

— Łoś idzie. Olbrzym!

I nagle rozwarły się gąszcze, znikły, jakby zdmuchnięte wichrem, i na haliznę o dziesięć kroków przed nimi wynurzył się kształt potworny i fantastyczny.

Na razie Orlik nie mógł zrozumieć.

Zwierz to był czy ruchomy roślinny gąszcz?

Nogi tonęły w krzakach, a potworny łeb był jedną masą zieleni, oplątana wokół kilkunastoramiennych rogów.

Masą tą zwierz rył, tarł wokół siebie, zbierając coraz więcej chmielu, jeżyn i gałęzi. I oto, czymś zaniepokojony, stanął na haliznie i wyprostował się w całej potędze.

Parsknął i węszył. Ciemne, poważne oczy rozejrzały się wokół, nagie, rozdęte chrapy zdawały się pytać, badać, myśleć. Doleciała go woń nieznaną, tajemniczą, instynktownie groźna — zapach dymu.

Nie spłoszył się jednak, ufny w swą mocarność, śmigłość nóg i znajomość puszczy.

Parsknął raz i drugi ze wstrętem, z pomrukiem jął znowu drzeć nogami pnącze i powoli ruszył dalej, klekocąc racicami.

Za nim, korzystając z trzasku łamanych odrośli, ruszyli ludzie.

— Godowa pora! — szepnął Rosomak.

— Wieniec sobie założył na łeb! Ale mocz! Szpetny zresztą, ale, niczym zjawa bajeiczna, cudny.

— Prawdziwe bożyszczę leśne. Zaprowadzi nas w najtajniejszy matecznik.

Łoś nie trzymał się szlaków. Parł przed siebie, miażdżąc łoży, młode drzewa, krze i trzciny sążniste, jakby szedł po gładkiej łące.

I tak doszedł do skraj szerokiej połaci oparzelisk i topieli, otaczających, jak morze, tę wyspę leśną.

Stanął, węszył, zabczał donośnie.

Patrzył na drugą wyspę, czerniejącą w oddali.

Chwilę jakby słuchał stamtąd odzewu, potem skręcił w bok i zsunął się w wąską wodną strugę, wijącą się zygakiem wśród kęp i niskich zarośli.

Brodził, zagłębiał się, wytryskiwał nad błotem jego łeb umajony i wreszcie znikł w szaryźnie trzciny i mchów.

Jeszcze chwilę słychać było chlupot wody, coraz cichsze parskanie — i zjawa zginęła jak sen prabytu.

Rosomak jego śladem zsunął się w wodę i spróbował gruntu.

— Nawet Odrowąż o tym brodzie nie wie. Możemy brnąć, a gdzie głębiej, płynąć. Ale to bezpieczny, starodawny przesmyk ciężkiego zwierza. Jutro możemy się dostać tam bez fatygi. Żurawie łęgi spenetruje Pantera, a wiosną przyszłą dostaniemy tam pewnie jaja głuszca, bo tam ich toki grają co rok.

Natura, Cisza, Las

Zwierzę, Las

Zawrócili, rozmawiając głośnie, podnieceni i uradowani. Nie szukali drogi — prowadził ich zapach mocny suszących się grzybów.

Jakoż Odrowąż już zbudował prymitywną suszarnię. Nad żarem umieścił ruszt z prętów i rozłożył grzyby.

— Do jutra przywiędną, potem się znowu żaru napali, i skończone. Czego nie zabierzemy na wóz, poniesiemy w torbach.

Towarzysze zebrali się już wszyscy. Żuraw czyścił jakieś korzenie, Bartnik plótł chodaki, Pantera rozpałał ognisko i piekł na żarze rydze.

— Coś taki milczący, Pantero? — zagadnął Rosomak, wyciągając się na ziemi.

— Nie widzicie, co robię?

— Widzę. Rydze przypiekasz. Tylko nie wiem, dlaczego nie solisz.

— Łzami solę! Czerwone jarzębiny, złoty liść z brzozy lecący i rydze! Toć jesień!

— Milknie wszystko i tęskni. Ale gdyby spoczynku nie było i ponurości jesieni, i grozy zimy, nie byłoby szczęścia zmartwychwstania. Trzeba mieć ufność i mądrość ptaka, rośliny, zwierza. Mijamy, a trwamy.

Tu się zwrócił do Odrowąza i spytał:

— Czy znacie, ojcze, zwierzy bród przez pohybelnik do Medwidły?

— Nie! — zdziwił się Odrowąż. — W Medwidle leżeliśmy wtedy, po powstaniu, aleśmy dobrnęli tamtędy, od jezior.

— Dziś nam łoś drogę wskazał. Jutro spróbujemy. Zanocujemy tutaj. W domu matka jest, to domowników dopatrz.

— Dwadzieścia lat w Medwidle nie byłem, bo tam potem rzeka się zabagniła, i odcięty ostep ze wszech stron, a nie łakomy, bo ani łąki, ani grzybów nie ma. Matecznik odwieczny. Na głuszce kiedyś się wybrałem, ale po barki wpadłem i ledwie żywy wróciłem.

— Spróbujemy łośiego brodu. Teraz, chłopcy, trochę gałęzi na szałas urąbcie i przepłoszcie żmije, bo ich tu pełno. Powieczerzamy i odpoczniemy!

— To może tam leży chorąży? — szepnął Orlik do Bartnika — i może ten łoś, i te głuszce, co tam mieszkają od wieków, znają jego mogiłę.

— I może tam żyją pszczoły w odwiecznych barciach, i całe drzewa pełne są miodu?

— I może tam rysie się łęgna i siwieją ze starości?

— I może jeszcze są niedźwiedzie?

— Jedno pewne, że orzechów tam jest pewnie moc! — rzekł Pantera, układając na liściach pieczone rydze na wieczerzę.

Zmęczenie pracą i skwarem wnet ogarnęło wszystkich. Zakopali się w mech szałas. Odrowąż u wejścia rozpałał dymne, z mokrych gałęzi świerkowych, ognisko; i tak zabezpieczeni od komarów i żmij posnęli, marząc o jutrzejszych odkryciach i cudach.

Zbudził ich rzeźki chłód poranka.

Biała rosa leżała na ziemi. Odrowąż, mrucząc godzinki, zbierał z rusztów grzyby. Żuraw szukał na próżno na brzegu bagna wody do mycia. Rosomak zdejmował z pleców Bartnika leśne kleszcze, pozbierane w gąszczach, a Pantera już skwarzył na węglach rydze. A wszyscy się śpieszyli, gnani ciekawością.

— Prowadź, Orliku! — zakomenderował Rosomak.

— Byłeś trafił! — zaśmiał się Pantera.

Ale Orlik już się nauczył kierować, bo umiał teraz czytać las jak książkę. Skoczył na czoło szeregu i bez wahania ruszył, w myśli wczorajsze obrazy odnajdując.

— Przechodziliśmy obok olszyny, tej tam, co ma złamany średni konar, potem na tę czerwoną jarzębinę, potem na osinę z dziuplą, z której grzywacz wyleciał: ma tam pewnie małe! A teraz przez ten zwał, co na nim były pióra z jastrzębiego mordy, a potem na ten świerk, co na nim hulala wiewiórka, i na ten zawrót ścieżki, co na suchej łozie ma pęczek sarniej sierści.

Przypominał sobie, odnajdywał drogę i prowadził bez wahania, aż wreszcie stanął i rzekł:

— Tu, z tych gąszczy wychynał i stał. A myśmy byli...

— A widziałeś srocze gniazdo za plecami? — spytał Pantera.

— Nie! Patrzyłem na niego jak na zjawę. A wtedy runął na przelaj do brodu.

Tęsknota, Przemijanie,  
Jesień

Stanęli wkrótce nad czarną ścieżką wodną. Rosomak na czoło się wysunął i zaczął się rozbierać.

— Odzież w tobolek i na głowę, bo może miejscami i nie zgruntujemy.

— Ba, ale nas pijawki żywcem pożrą — zaprotestował Pantera.

— Dobrniemy żywi, tam się oczyścimy z plugastwa. Odzież bardzo będzie zawadzała.

Rozebrali się więc i Rosomak zsunął się w czarną, wstrętną, gęstą wodę.

Spód był grząski, ale posuwali się naprzód, krzywiąc się i parszkając z obrzydzenia od zgniłych, cuchnących wyziewów bagna. Woda sięgała do pasa, następnie do ramion, wreszcie Rosomak zaczął płynąć. Błotniaki pozrywały się z kęp, krzycząc z podziwu i trwogi. Bród się łamał i zakręcał. Zdawało się ludziom, że chyba nigdy się nie skończy. Orlik czuł, że lada moment wyciągnie się na kępę i umrze, taka go ogarnęła niemoc i rozpacz.

Aż wtem rozległo się wołanie Rosomaka:

— Już dopływamy! Mam grunt pod sobą i Medwidła tuż.

Szczeliną wodną ścieżka zanurzała się w dwie ściany leśne, utworzone z trzcin, kołających krzów i bezkształtnych trupów jakichś zwalonych drzew. Na pierwszy pień wypelził Rosomak i odsapnął.

Po kolei wynurzali się inni i obsiedli omszały czarny konar, dysząc i milcząc.

Wszyscy byli czarni od mułu — nawet na twarzy — i wyczerpani zupełnie.

Odrowąż spojrzął na słońce i rzekł:

— Brnęliśmy półtorej godziny. Musi być ze dwie wiorsty. Tęga przeprawa.

— Obierajmy pijawki! — zawołał Pantera. — Tu nawet nie ma gdzie się oplukać! A jak cuchnie to plugawe bagno! Chwilami chciałem nos schować do kieszeni, ale kieszenie w tobolek na głowie.

— Od dziesięciu lat nie było takiego suchego lata i dlatego bród powstał. Inaczej dostępu by nie było! — rzekł Odrowąż.

Ubrali się śpiesznie i zeskoczyli za pień na stały ląd. Ale tam utonęli wnet po ramiona w splątanej masie zielska i krzaków — i stanęli bezradnie.

— Szczęśliwy Kuba! Bo tu nie wiadomo, jak się posuwać po ziemi.

— Można wodną ścieżką.

— No nie! Wolimy siekierą i nożem wyrąbywać przejście.

— Żeby choć zobaczyć co osobliwego! — stęknął Bartnik, zaczynając rąbać i krzesać.

Wzięli się wszyscy do pracy — w nadziei, że przecież dotrą do rzadszego porostu. Ale ostep był jednolicie zwarty dołem, bo gdy się wydostali z nadbrzeżnych łoż i oczeretów, znaleźli przed sobą ścianę olbrzymich leszczyn, czeremchy, kruszyny, jarzębin, kalin — wszystko oplątane chmielem.

Gdy słońce zaczęło dopiekać, pokładli się na zwalonych pniach, wyczerpani zupełnie.

Z zapasów mieli tylko chleb i suszone ryby. Na szczęście gąszcz barwił się mnóstwem dzikich malin i jeżyn, i bez trudu można było ugasić pragnienie, a leszczyny oblepione były na wpół dojrzałymi orzechami.

Odrowąż i Rosomak — zamiast jeść i odpoczywać — ruszyli dalej.

— Tu w głębi, wtedy, była wśród świerków polanka. Ale to już temu lat czterdzieści! — mówił stary, zanurzony we wspomnieniach.

Na wpół pełzli pod zwałami. Prostowali się czasem, wdrapywali na zmurszałe kłody — starali się zorientować w kierunku i nie błędzić z powrotem. Aż zagroziła im znowu drogę wodna żyła brodu.

Zniecierpliwiony Rosomak zsunął się w błoto.

— Ostatecznie łosie do czegoś dążą, do jakichś dalszych rewirów, ku jeziorom! Bród coraz płytszy.

Mieli ręce i twarze we krwi od kłujących roślin i żudeł bąków i komarów, odzież zabłoconą i podartą; było lżej brodzić niż wojować z gąszczem.

Patrzyły na nich ze zdziwieniem węże, wylegające się na pniach, pomykały z wrzaskiem sójki i orzechówki. Nagle posłyszeli plusk i beczenie.

Ledwie się przytulili do brzegu, przeleciało obok nich stado saren z rogatym kozłem na czele.

— Ładny rogal! — rzekł Odrowąż z żalem myśliwskim.

A Rosomak z uśmiechem radości patrzył za nimi.

Wydostali się z błota na zwierzę ścieżkę. Rosomak dobył swą gwizdawkę i dał sygnał towarzyszom.

— Dziki tu gdzieś niedaleko leżą: barłóg czuć! — zauważył Odrowąż i wnet wskazał przemykający niski, rudy cień.

— Co tu może liszka szukać o tej porze? Łup jakiś ma! Ot, i drugi smyrnął!

Ruszyli żywiej naprzód i wynurzyli się nagle na stratowaną haliznę.

— Ot, co jest! — zawołał stary, wskazując.

Na środku polanki, na wędnących ledwie zielskach zdeptanych jak tok<sup>245</sup>, leżał nieżywy młody łoś. Miał złamane kręgi, wyprute wnętrzności i całe ciało stratowane racicami.

Pochylił się nad nim Rosomak.

— Ten olbrzym go pewnie zamordował. Ten, com go widział wczoraj. Ale bitwa była ciężka: udeptali ziemię jak na turnieju.

— A ile tu śladów! Rachuję, że kłęp było z siedem na godach. Spory młokos, siedmiolatek! Już go liszki napoczęły, tej nocy wilki dokończą. Jakby mieć strzelbę, zasadzkę można by zrobić, tylko że skóry nic niewarte.

Rosomak zaczął gwizdać w pewien znany towarzyszom sposób, by ich zwołać co rychlej.

Odpowiedziały odzewy coraz bliższe, wreszcie wszyscy się zebrali i gwar nappełnił puszcę.

— Patrzcie, smyki, do czego doprowadzają amory! — śmiał się Pantera do chłopców.

A Żuraw badał naukowo zwłoki i rzekł:

— Szkoda, żeśmy nie widzieli turnieju. Bronił się po bohatersku. Jedną rosochę ma zupełnie utraconą i przednią nogę złamaną. Upadł i wtedy tamten rozpruł mu jelita i zdeptał go.

— I poprowadził stado za sobą tamtędy! Ławą szli, jak prawdziwe weselne grono!

Praktyczny Pantera z Odrowążem już rozpalili ognisko; stary zabierał się do zdjęcia skóry.

Chłopcy gapili się ciekawie. Żuraw badał obsady rogów, tylko Rosomak opodał się wyciągnął na ziemi i oczy od tych jatek odwrócił.

I ozwał się nagle po długim milczeniu:

— Uważam, że chcecie urządzić dziką indyjską ucztę, pożreć tego trupa, no i ten grzech odchorować. Wolna droga! Ale myślę zarazem, że chcecie, jako łup, zabrać skórę i rogi!

— Rozumie się! — zawołał Pantera.

— W takim razie zastanówcie się, jak tę zdobycz przeprowadzić przez łośi bród.

Zatrzymali się wszyscy w robocie, mocno strapieni.

Aż Pantera, nawlekając kawał combra<sup>246</sup> na drewniany rożen, rzekł:

— Jak się posilimy i odpoczniemy, coś się wymyśli.

— Od żarcia rozumu nie przybywa! — mruknął Rosomak, zapalił fajkę i poszedł ścieżką w głąb ostępu.

Orlik dogonił go po chwili.

— Zupełnie mi wuj apetyt odjął!

— Od dawna już mięsa nie jadam i coraz większy czuję doń wstręt. Nad cielskiem tym, jakieśmy przyszli, krążyły już wielkie muchy-robaczarki, a po ziemi biegały wstrętne żuki-grabarze. We wnętrznościach gospodarowały lisy cuchnące, a po gąszczach węszą i zęby ostrzą wilki. Nie, w tej kompanii nie będę współbiedniakiem. Zresztą nie jestem głodny. Mam chleb, jagód nie brak. Zobaczą, dokąd weselnicy poszli. Utorowali wygodny szlak.

Jakoś ślad wyprowadził ich poza ostęp znowu — na niezmierną bagien płaszczynę.

Łosie poszły błotem na przelaj ku dalszym, czerniejącym leśnym ostępom.

Ale gdy tam wynurzyli się z gąszczu, nagle na prawo, blisko, poderwało się stado żurawi z ogłuszającym wrzaskiem bojowym.

— Ot i żurawie lęgi — ucieszył się Rosomak.

Zwierzę, Śmierć, Walka,  
Natura, Prawo

<sup>245</sup>tok — tu: klepisko, ubita ziemia. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>comber — mięso z kością z części grzbietowej. [przypis edytorski]

Szara chmura ptaków podniosła się w powietrze, zataczając koło; i oto jeden z nich raptem spadł pod nogi ludzkie.

Instynktownie Orlik rzucił się ku niemu i porwał na ręce.

— Bacność! — krzyknął Rosomak.

Ale już było za późno! Ptak uderzył chłopca dziobem tak silnie w głowę, że ten jęknął z bólu i puścił go. Żuraw roztoczył skrzydła do wlotu, ale spadł powtórnie. Lewe skrzydło miał złamane. Chciał zatem umknąć piechotą, ale Rosomak z błyskawiczną szybkością cisnął mu na głowę swą bluzę, obezwładnił go, skrępował i wziął pod pachę.

— Skazany na śmierć głodową. Niech idzie do nas na domownika. Taką zdobycz warto brać i trzymać. Możemy wracać i rozkładać na noc obozowisko. Daj, Boże, jutro na wieczór wrócić do domu.

— I ten okropny bród do przebycia! — stęknął chłopak.

— Widziałem, żeś ledwie dobrnął. Wrócisz wygodniej. Zwiążemy tratwę z leszczy, załadujemy skórę, rogi i ciebie i przepchniemy do Puchaczego Ostępu.

— A tamci się głowią tymczasem.

— Odrowąż już pewnie leszczynę rąbie! — uśmiechnął się Rosomak.

Znaleźli towarzyszy śpiących kamiennym snem. Skóra losia wisiała na gałęziach w dymie ogniska. Czaszka i rogi leżały w olbrzymim mrowisku, już czarne od tłumy naturalnych preparatorów. Resztki ofiary zawleczono w gąszcze i obozowisko przybrało porządną wygląd. Od ujęcia brodu rozległ się odgłos siekiery — znaleźli Odrowąża przy pracy nad tratwą.

Obejrzał kalekę-żurawia.

— Trzeba go umieścić w ciemnym szałasie, dać wody, ryb, ślimaków, robaków i często zaglądać, żeby się z człowiekiem zapoznał. Za parę tygodni się oswoi, do ręki przyjdzie po jadło i można go będzie po trosze na swobodę puszczać. Dobry towarzysz, miałem takiego kilka lat na podwórzu. Nawet stróżem bywa dobrym.

— Tratwę robicie? — spytał Orlik.

— A cóż! Doktor by żałował czerepu i rogów, a Pantera nie porzuci skóry. Jakoś to urządzimy! A trzeba jutro wracać, bo chleba nie ma, a woda do picia obmierzła. Noc będziemy mieli z wilczym koncertem. Dziki dym poczuły i poszły. Tędy szły. Maciora z siedmioma warchlakami i dwa spore wycinki<sup>247</sup>. Lisy czatują po chaszczach. Szykujcie łoże do wiązania drzewa i mchu do zatkania szpar nadrzyjcie.

Do wieczora związali tratwę bardzo wąską i prymitywną — ale trzymała się na wodzie, i Orlik, odpychając się tyką, przeprowadził ją cały kawał drogi na próbę.

— Wytrzyma — zdecydował Odrowąż.

Wrócili do obozu i pobudzili towarzyszy.

W cieniu puszczy już zapadła noc.

Na hejnał żurawi odpowiadał żałośnie jeniec — próbował szarpać więzy, aż uznał bezsilność i znękanym skulił się do snu, odmawiając jednak zuchwale przyjęcia posiłku.

— Głupiś! — rzekł mu Pantera. — Żeby mi w tej chwili nawet Moskał<sup>248</sup> chleba dał i czystej wody, to bym wziął.

— A ja bym go „kujnął” w sam łeb wraży! — zawołał Bartnik, spuchnięty na całej twarzy.

— Widzę, żeś barć znalazł — rzekł Rosomak.

— Dziwaczną, w zwalonym pniu. Bogata strasznie, ale...

— Zrobiły z ciebie księżyc w pełni jak na obrazku.

— Przyleciały za nim aż tutaj i doktor, Bogu ducha winien, też oberwał. Ledwieśmy dymem je przepłoszyli.

— Narąbcie i znieście drzewa na całą noc! — rozkazał Odrowąż. — Stróżować trzeba będzie po kolei, bo wilki mogą i skórę zepsuć. Z trzech mil zwęszą i przyjdą. Kto się w dzień wyspał, zacznie stróżę. My we trzech zaśniemy z wieczora.

Gdy ściemniało zupełnie, u ogniska zasiedli do czuwania Żuraw z Panterą.

Pantera, gdy się nie ruszał, nie psocił, nie pracował, wnet zasypiał; zaczął pleść chodaki, by nie drzemać. Żuraw słuchał.

<sup>247</sup>wycinek — tu: dwuletni lub trzyletni samiec dzika. [przypis edytorski]

<sup>248</sup>Moskał (pogard.) — Rosjanin. [przypis edytorski]

Nie było pięknej ciszy odludzia. Z szałasów rozlegało się chrapanie Odrowąża i stękanie obolałego Bartnika. Wokoło puszcza żyła niesamowitym ruchem i głosem drapieżników.

Słyszało się stąpanie, szelest suchych trzciny, czajenie się trwożne a żarłoczne, klekot krzywych dziobów sów i przeciąganie ich skrzydeł. Aż gdzieś bardzo daleko rozległ się ponury, krótki skowyt — jakiś sygnał czy groźba.

Jakby „na baczność” odpowiedziało beczenie czujnych kozłów i pomruk mocarny łosi.

I znowu po chwili zagrało posępne wycie, jakieś chrapliwe szczekanie i plusk wody.

— Błotami, szelmy, idą jak gościńcem! — mruknął Pantera. — Gdyby nie ogień, zjadłyby i łosia, i nas na deser. Chmara tego ściąga ze wszech stron. Już są i tu, na ostępie. Słyszysz, jak chrobocą gąszcz? Szkoda, że nie zatruliśmy mięsa, miałyby stypę!

— Jeśli w przyrodzie istnieją i żyją, widocznie są potrzebne.

— Et! — wzruszył ramionami Pantera. — Każdy ma bzika albo parę! Ale w takim razie nie trzeba by było nawet pchły zabijać. Gdybyśmy spytali o zdanie bezbronych i słabych, skazanych na śmierć w zaraniu życia...

— Niebezpieczeństwo kształci obronę. Zresztą my mamy wrodzony wstręt do mordy pod wszelką postacią.

Poprawił ognisko i cisnął polanem w gąszcz, bo mu się zdało, że „coś” już ruszyło wiszącą skórę.

Wycie powtarzało się coraz częściej i bliżej.

Była w nim wściekłość i lęk — czasami łączyło się w chór posępny, wstrętny.

— Choćby jeden strzał! To by dopiero ucichły! Dłuży mi się ta noc! — ziewnął Pantera. — Ciało piecze od potu, brudu, owadów i pijawek. Niech sobie ten łąd zostanie dziewiczy, ja go nie poślubię! Wiosną warto pobrodzić po gniazda; widziałem nawet puste orle na dębnie. Zbierzemy jaja żurawi, paszkotów, kwiczolów, krzywodziobów, puchaczy, głuszców! Ale żeby tu bytować... Nie, za duszno i ponuro! Doktorowi też tęskno za kąpielą w ruczaju!

I westchnął za swoim rajem, a potem zaczął się kiwać i zasnął.

Po północy objęli straż Rosomak z Odrowążem i o świcie pobudzili wszystkich. Pomimo ognia i dymu znaleźli łosie jelita już rozwleczone w gąszczu i zabrali się śpiesznie do powrotu.

Ciężka była, długa i mozolna przeprawa.

— Moglibyśmy wszyscy odegrać rolę leśnych diabłów! — zdecydował Rosomak, gdy dobrnęli do Puchaczego Ostępu i odpoczywali przed ostateczną przeprawą na swój łąd.

A gdy wreszcie wieczorem stanęli przed chatą, Szczepańska załamała ręce:

— O Boże! Jak ja tę bieliznę dopiorę? A kto was pokrwawił, o Jezu?!

— To nic, to tylko pijawki! — uspokajał ją Bartnik. — Ale cośmy zdobyli! O! I żurawia mamy do chowania! A ile tam orzechów!

— Jeść! — jęknął Pantera.

— Kąpać się! — zawołał Żuraw.

— Skórę solą i popiołem wyczyścić z robactwa! — troskał się Odrowąż.

A Rosomak w kącie szałasów lokował jeńca.

— Mnie teraz nasz bór wydaje się jak ulica Marszałkowska w porównaniu z tamtym ostępem! — mówił Orlik, idąc z Żurawiem do kąpieli.

— A co sobie myśli mój imiennik w stajni?

I właśnie w tej chwili rozległo się wieczorne granie żurawich surm — odpowiedział im żaloszny głos kaleki-niewolnika.

## HASŁO Z MOGIŁY

Skrzydlatego żurawia nazwano Doktorem, wedle pomysłu Pantery i za zgodą imiennika. Odrowąż stwierdził, że jest najwyżej trzyletni i że można go będzie łatwo oswoić.

Ale parę tygodni przebył tak ciężkich, opornych, że go Rosomak musiał gwałtem karmić i poić.

Najeżony, skulony — trwał w buncie bezsilnym, sycząc jak żmija, gdy się ktoś zbliżał.

Aż wreszcie, jakby przetrawiwszy swą rozpacz, zmożony ciemnością i głodem, przyjął z rąk Rosomaka pierwszy posiłek.

— Nasz będziesz! — uśmiechnął się doń człowiek.

Natura, Prawo, Zwierzęta

Jakoż przełamany został instynktowny strach i nienawiść stworzenia do odwiecznego kata.

Przestał syczeć i nadstawiać dziób od razu; i wreszcie pewnego dnia, słysząc gwizdanie, które zwiastowało przybycie człowieka, postąpił na spotkanie i opowiedział się krótkim powitaniem.

— No widzisz, braciszku, że możemy być druhami — zaczął doń przemawiać Rosomak. — Nie ważyłbym się pozbawić cię największego skarbu, wolności, gdybyś był zdrow, cały i mocny, gdybyś mógł w waszym wędrownym szyku za morza lecieć i na tutejsze wasze wyraje wracać. Aleś, braciszku, na głodową i mroźną śmierć skazany! Twego młodego życia mi szkoda, i dlatego cię do nas przyjął. Ale ci ślubuję, że wiosną odniosę cię do rodzinnych łęgów, żebyś z braćmi latem się ucieszył.

Ptak słuchał, z ręki posiłek brał, patrzył spokojnie, a wreszcie pewnego dnia Rosomak szalas zostawił otwarty i pogwizdując, poszedł ku chacie.

Więziń wyszedł na polanę, na słońce, i zaczął się bacznie rozglądać. Rozwinął i złożył skrzydła i zaczął w trawie żerować, a wreszcie pióra dziobem przebierać i chędożyć się.

A potem, zwabiony znajomym gwizdaniem, poszedł powoli ku chacie.

— Nasz jest! — ucieszyli się wszyscy.

Sezonowym zajęciem leśnych ludzi były teraz orzechy.

Rosomak z Odrowążem wypływali co dzień na połów rybny, ale reszta bobrowała w leszczynach i co wieczór znoszono do chaty całe wory.

Przeobfitość jesieni owocnej wyzierała zewsząd i zajęć było mnóstwo. Wieczorem w ogródku i w podsieniu piętrzyły się stosy zdobyczy — orzechy, grzyby, jagody, rydze i ryby.

— Do obróbki! — wołał Pantera.

Musieli przed spoczynkiem ryby oprawiać, orzechy wyłuskać, rydze nasolić, a piec chlebowy ledwie sobie radził z suszeniem tych zapasów zimowych.

Suche, pomyślne, urodzajne było lato, przerywane z rzadka potężnymi burzami. Nagromadzone gorąco wybuchalo straszną mocą gromów, krótkich gwałtownych deszczów — i znowu wracała promienna pogoda.

Rosomak z Odrowążem miewali bajeczne połowy, bo susza przecięła szlaki rybie i uwięziła ryby w głębszych dołach. Razu pewnego przywieźli pełną łódkę przepysznych jaziów i okoni, a kiedyś w sadzawce, odciętej od rzeki, złapali szczupaka potwora, „ludojada” chyba, którego siekierą trzeba było zabić, a potem polecieć mrówkom spreparowanie muzealnego okazu. Przy sekcji Żuraw znalazł jakąś bezkształtną masę wielkości pięści; gdy ją rozcięto, ujrzano wewnątrz resztki metalowego medalika.

Odrowąż zadumał się nad tym i oddał przedmiot Rosomakowi.

— Lepsze macie oczy! Przypatrzcie się, może to Kodeńska Matka Boska<sup>249</sup>. Miał taką nasz Podlasiak.

Ale najostrzejszy wzrok ani lupa nie wystarczały.

— Niemało ludzi na żer ryb poszło w tych bagnach — rzekł Pantera.

— I wielu takich, którym by się pomniki należały.

— Z tamtej strony pomniki tutejsze niewiele więcej warte, co ta blaszka pewnie! Służbowe księgi tam też prowadzą, trwalsze! — rzekł Rosomak, chowając do zbiorów dziwną zdobycz.

Po jednej ze strasznych burz nocnych rybacy ruszyli na połów około południa i zapędzili się na jezioro w nadziei zdobycia suma. Ale dzień był niepomyślny i po raz setny zastawiali brzeg siecią podwójną bez żadnej prawie zdobyczy.

Nagle Rosomak głowę podniósł, nasłuchując.

Gdzieś daleko zagrała trąbka — umówione hasło: dwa krótkie, po sobie następujące, tony. Znaczyło to: „Wodzu!”

Rosomak swoją specjalną świstawkę kościaną do ust podniósł i odzew dał.

— To chłopcy czegoś chcą! — rzekł, wracając do wiosła.

— Nogę który złamał czy rękę! — mruknął Odrowąż.

<sup>249</sup> *Kodeńska Matka Boska* a. *Matka Boża Kodeńska* — obraz nawiązujący do rzeźby Matki Bożej z prywatnej kaplicy papieża Grzegorza I i znajdujący się w kościele kodeńskim (Kodeń to polska wieś, położona w województwie lubelskim). [przypis edytorski]



— Nie. Wołaliby doktora. Oni nie wzywają do siebie, któryś do nas leci z wieścią. Coś znaleźli!

Trąbka powtórzyła znowu wołanie, potem ucichła — widocznie poszukiwacza doleciał odzew. I oto z gęstwiny wynurzył się Orlik spocony, zziąjany, ubłocony i zaczął coś krzyczeć z daleka.

Odrowąż zwrócił ku niemu łódź.

— Ojczy, wodzu! — wołał chłopak, dech łapiąc. — Znaleźliśmy mogiłę. Chorąży, strzelba i Orzeł! Nasz znak! Znaleźliśmy! Chodźcie! Tamtych już zawołaliśmy. Bartnika zostawiłem na honorowej warcie. Lećmy!

Bez słowa, pod wielkim wrażeniem wysiedli na brzeg i poszli za chłopcem. A on, opanowany tym ich skupieniem i milczeniem, przycichł także.

Aż stanęli na miejscu, w czarnym borze, nad sennym zalewem wodnym. Nocna burza powaliła olbrzymi, na wpół suchy, prawieczny dąb. Legł szczytem aż w wodę i rozdarł się jego pień, otwierając zmurszałe wnętrze.

Przy nim stał Bartnik, wyprostowany, zastygły w pozycji żołnierskiej, w kapeluszu na głowie, z nieruchomym, skupionym wzrokiem wartownika. I stali Żuraw z Panterą, obnażywszy głowy w milczeniu.

Pochylili się Rosomak i Odrowąż.

We wnętrzu dębu ujrzeli ludzki szkielet. Mały, szczupły kościec wyrostka, zachowany w całości, jako że był ujęty w ściany drzewa. U prawego boku leżała stara, rdzą przeżarta strzelba, a u lewego, przy sercu — zetłala szmatka amarantu z przebłyskującymi srebrnymi nićmi.

Ku słońcu patrzyły głębokie oczodoły, a trochę rozwarte, zdrowe zęby zdawały się uśmiechać. I tak leżał z bronią u nogi, z chorągwią swą obok serca chorąży...

Wyprostował się Rosomak i odkrywszy, głowę zaintonował:

Boże, coś Polskę przez tak długie wieki!<sup>250</sup>

Ramiona Bartnika drgnęły, jakby chciał prezentować broń, a zbiorowy głos podchwycił:

Otaczał blaskiem potęgę i chwałę...<sup>251</sup>

Odrowąż klęczał i modlił się, a po zmarszczkach płynęły mu łzy jak paciorki dusznego różańca.

A gdy skończyli, Rosomak kazał świerkowymi gałęziami zasłonić te prochy bohatera. Zebrałi się wszyscy na radę i nawet Pantera miał twarz uroczystą.

— Rozumiem, jak to było — ozwał się Odrowąż. — Gdy im zabrakło żywności i chłód ścisnął, musieli dążyć do osad. I tu gdzieś ranny oddał Bogu ducha, a Podlasiak wynalazł dąb spróchniały i zwłoki w nim ukrył. A potem dalej poszedł i nie znając przejść, w bagnie utonął.

— Co teraz mamy czynić? — zagadnął Pantera.

— Pogrzebać go, jak na to zasłużył, w tej świętej ziemi! — odpowiedział Rosomak.

— Na tej górze, gdzie sygnały bojowe palono! — zawołał Orlik.

— Będzie całemu krajowi stróżował — dodał Bartnik.

— Słusznie! — potwierdził Rosomak.

Zamyślił się Odrowąż i nagle wstał, na wnuka skinął i na Panterę.

— Pójdziemy do folwarku i nocą tu przyniesiemy deski cichaczem, żeby do Moskali nie doszło.

— A przy nim w nocy powartujemy.

— Rankiem trumnę zbijemy i przeniesiemy prochy na górę. Ruszajmy!

Trzej wartownicy zostali. Orlik tę noc na całe życie zapamiętał. Księżycowa była, cicha i pełna duchowego majestatu. Rosomak się rozgadał; opowiadał mu, co od rodziców

<sup>250</sup>Boże, coś Polskę przez tak długie wieki! — fragment utworu *Boże, coś Polskę...*, polskiej pieśni religijnej o charakterze patriotycznym. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>Otaczał blaskiem potęgę i chwałę... — fragment utworu *Boże, coś Polskę...*, polskiej pieśni religijnej o charakterze patriotycznym. [przypis edytorski]

Grób, Drzewo

Trup

Bohaterstwo, Pogrzeb

wiedział — o czasach owych, o bojach, ofiarach, ruinach, we krwi utopionych nadziejach zmartwychwstania.

A potem milczeli, przetrawiając ból, nienawiść do kata, gorycz bezsilności, rozpacz niewoli.

Aż niespodziewanie ozwał się Żuraw:

— Słuchajcie! Moglibyśmy i słusznie rozpaczać, i beznadziejności się oddawać, gdybyśmy wartowali przy grobie zdrajcy! Ale ten czego innego nas uczy! Spadek ojczysty wziął, obowiązek spełnił, wiary dochował. My, żywi, nic więcej nie mamy do roboty. Wiarę zachować, obowiązek spełnić, trwać i przetrwać. No i tyle! Resztę zdecyduje Bóg!

— Dzięki, bracie, za to słowo! — rzekł Rosomak. — Zawiniłiśmy względem niego. Pieśń mu się należy bohaterska, nie bezrozumne ludzkie rozważanie. Masz swoją fujarkę, zaintonuj hymn konfederacki.

Silnie, twardo, na całe życie ryły się w duszy Orlika — ta noc, ten grób wśród puszczy i te słowa:

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy  
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,  
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy  
I hufiec Boży!<sup>252</sup>

Na długo przed zorzą wrócili z folwarku Odrowążów z deskami. Szczepański przyniósł narzędzia i rano już drobna trumienka była gotowa.

Na posłanie z ziół i kwiatów ułożono kości i pokryto je szczątkami sztandaru. Po źdźbłę srebrnej nici wziął każdy na pamiątkę, a z grubego, starego modlitewnika Odrowąż odczytał modlitwy.

Potem Rosomak podał mu strzelbę, a stary ją przyjął jak święty spadek i oddał Bartnikowi.

— Masz! Twoja jest. Użyć trzeba, jako on używał.

— Słucham! — rzekł, prostując się, chłopak.

Ale Pantera przeszukiwał wnętrze dębu i wydobyl spore pudełko blaszane.

— To leżało w nogach — rzekł, podważając nożem wierzch.

Pudełko rozpadło się i na ziemię przysnął deszcz złotych monet.

— Dukaty węgierskie! Kasa partii! — zawołał Odrowąż. — Nie ufał swym siłom Podlasiak i zostawił chorążemu pod strażą! Co z tym zrobić?

— Rozważmy! — rzekł Rosomak, zbierając w chustkę dukaty i szczątki pudełka; na dnie były ślady papieru, może wskazówki, polecenie, ostatnia wola, już nie do odczytania.

W próchnie drzewnym znaleziono jeszcze parę sprzączek, guzików, resztki skórzanej torby, częstochowski medalik — i włożono zmarłemu do trumny. A potem wzięli ją na barki i zmieniając się, nieśli na górę.

Skoczyli naprzód chłopcy do chaty, a gdy pochód wolno i ze śpiewaniem przybył na Wdowią Górę, na samym szczycie znaleźli już dół wykopany i pełno wokół kwiecia.

Czekała też Szczepańska z dzieckiem i stali chłopcy na warcie — Orlik ze strzelbą Rosomaka, Bartnik ze swą dziedziczną Sagalasówką.

Gdy spuszczone trumnę do grobu, Orlik dał dwa strzały i prezentował broń.

Poczęły padać na trumnę kwiaty i Odrowąż odmawiał modlitwy, a gdy skończył, spojrzeli wszyscy na Rosomaka.

A on tak mówić począł:

— Pozdrawiamy cię i cześć ci niesiem, przodowniku nasz, któryś boju dokonał.

Nie zmarłeś przecież i nie milczysz, a my słyszymy twe hasło i raport, bośmy jednej broni i powołania. Mówisz nam te same słowa, które przez wieki mówili ci, co legli na polach chwały, imienni wodze i bezimienne tysiące, a jednacy, jednej idei bojownicy. Mówisz nam: „Bóg, Honor, Ojczyzna!”. Mówisz nam: „Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu go oddam!. Ze wszystkich rubieży Rzeczypospolitej, ze wszystkich walk

<sup>252</sup>Ze skowronkami wstaliśmy do pracy I spać pójdziemy o wieczornej zorzy, Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy I hufiec Boży! — fragment *Pieśni Konfederatów Barskich*, z tekstem autorstwa Juliusza Słowackiego (1809–1849); twórca melodii nie jest znany. [przypis edytorski]

o wolność i całość, przez wszystkie wieki jedno hasło słyszymy, panie chorąży, i powtarzamy niczym pacierz ojczysty. Stanie tu twoja mogiła jako graniczny kopiec i jako gród dla straży i obrony. Utrzymamy go, póki życia, i oddamy następującej po nas młodzieży! Mówisz i do nich, panie chorąży. I jako my, oni słyszą.

— Słyszemy! — potwierdzili chłopcy.

— Polecamy wam zatem tę mogiłę! — zwrócił się do nich. — W Bogu wiara, że dane wam będzie doczekać chwili sprawiedliwości bożej i że oczy wasze ujrzą na tej ziemi polski hufiec i polski znak na sztandarze. Wtedy im się zameldujcie i złożcie raport ze swego trwania i gotowości do służby. A pierwszemu polskiemu naczelnikowi oddacie samych siebie do szeregu. A złoto owo, w mogile przechowane, do skarbu ojczystego. Słyszysz, panie chorąży, i ślubowanie nasze przyjmij! Niech żyje Ojczyzna!

Jak grzmot rozległ się okrzyk zbiorowy.

Rzucił pierwszą garść piasku Rosomak — niech ci lekką będzie ta ziemia ukochana! — i skinął na chłopców.

Wyciągnęli się jak struny i z żywiołowym rozmachem zaśpiewali:

Jeszcze Polska nie zginęła...

Rwała się pieśń w zdławieniu wrażenia potężnego, we łzach, co znają tylko miłujący i mężni — i kwitła pieśń nad mogiłą, jakby proporzec biało-amarantowy, a cichy bór słuchał i dawne czasy wspominał.

Mogiła wyrosła, złocąc się z daleka, a obecni pożegnali ją ostatnią obrzędową pieśnią *Anioł Pański*.

I został chorąży na swym posterunku samotny, a oni, wracając do chaty, radzili:

— Dąb mocarny posadzić mu na mogile!

— Brzozę, co by go gałęziami tuliła jak matka.

— Krasną jarzębinę, żeby mu ptaszki śpiewały.

— Lipę, żeby mu pszczoły gwarzyły.

— Głaz znam w gąszczu! Przywlecziemy i wykujemy, kto leży pod nim.

— Każdy uczyni dar, jaki zechce! — zdecydował Rosomak. — Ja wam, chłopcy, złoto zdaję. Obmyślcie schronienie!

— Ja już mam! — zawołał Bartnik. — Złożymy na spodzie barci. Uchowa drzewo i pszczoły.

— Cieszę się, że nie ja je będę wyciągał, jak pora przyjdzie, ale poza tym zgoda na pomysł — rzekł Pantera.

Oddał Rosomak złoto powstańcze i chłopcy zaraz je pszczolom pod opiekę zanieśli.

W tydzień potem głaz już leżał na mogile. Odroważ znaki jakieś na nim wykował i chłopcom tłumaczył:

— Nie powinien nikt rozumieć, tylko wy. Nad karkiem Moskal jeszcze siedzi i szpieguje. Drzew też nie warto sadzić, chyba że krzepki jałowiec, żeby uwagi nie zwrócić. On i tak zmartwychwstanie, a tamci Bożego Sądu nie doczekają. Jaki siew, takie żniwo, tylko Bóg nierychliwy, jako że wiekuisty.

I pokazując niezdarne kształty, mówił:

— To jest krzyż, a to orzeł i korona, i drzewce, a tu „63”. Stacho miał na imię, to pamiętam. Ale nazwiska nie. Więc to „S” to jakby podpis, a tak się czyta: „Chrystusowy wyznawca, chorąży z powstania, Stacho”. A jeszcze dodam „W”, to znaczy: „z Warszawy”. I głaz bokiem odwrócimy, żeby napis dla wiedzącego tylko był widoczny. Obejmą go wrzosi i mchy utają!

Wiatr rozwił biały piasek i obsypał ziemię igliwem i liśćmi. Wkrótce mogiła chorążego stopiła się i wsiąkla w barwę ziemi — została tylko pamiętna w duszach leśnych ludzi.

## ODLOTY

Pewnego dnia Rosomak wrócił z samotnej wędrówki i rzekł, siadając za stołem:

— Odleciały już wszystkie śpiewaki i wrzosi w całej krasie płoną.

Nikt nie odpowiedział, bo rozumieli, co to znaczy. Dopiero po chwili Pantera stęknął:

Ojczyzna, Patriota, Polska,  
Wolność

— Dobrze ptakom! Który wytrzyma drogę, do słońca się dostanie i ciepła! Ale ja wrócę do Drozdowej.

Mimo woli zaśmiali się wszyscy.

— Ja do sztuby<sup>253</sup> — rzekł Orlik.

— Ja do roli — dorzucił Bartnik.

— Ja do laboratorium! — mruknął Żuraw.

— Ja do bibliotek i książek! — zakończył Rosomak. — Ale każdy do pracy, więc nie wolno narzekać.

— To czemu wódz nie śpiewa z uciechy? — warknął Pantera zbuntowany.

— Bo w tym czasie nikt w borze nie śpiewa! — I dodał, zabierając się do jadła: — Naszykuj, Pantero, wóz. Trzeba odstawić do ludzi zapasy i zdobycze.

— Wolalbym psy łapać niż tę drogę. Przecież zabawimy jeszcze trochę?

— Zabawimy do dnia, gdy ruszą nasze żurawie! Lada dzień z północy dalsze już popłyną.

— Tak! Pożegnania nadszedł czas! — westchnął Orlik.

— Ba! Co ci za bieda! Wrócisz do profesorowej! — zaśmiał się Pantera.

— Pantera zapomina, że już nie rekrut Coto, ale Orlik bojowy! — hardo chłopak odpowiedział.

— On zawsze jesienią jak mucha cięty! — przeciął nadciągającą sprzeczkę Rosomak.

Opróżniła się chata. Szczepańska wróciła do domu len zbierać. Odrowąż z Bartnikiem — do pasieki swej i młocki nasiennego ziarna.

Na połów rybny wypływał Rosomak sam i ściągał z dalekich „hatów” na strych do chaty kosze i wiecierze. Reszta rozpraszała się po borze; zbierali jarzębiny, żołędzie, orzechy, szyszki i klecili powietrzne szalasy, gdzie te zdobycze składali — żywność dla zimujących ptaków.

Pracował Orlik z Żurawiem, bo Pantera, o ile nie odwoził zapasów za Tęczowy Most, po całych dniach „żegnał znajomych”, jak mówił. Słońce wyczarowało ostatni swój kilim i rzuciło go na wszelkie halizny, góry, pustkowia. Zwarta, puszysta, subtelnie jesienna szata wrzosów ustroiła ziemię. Na tym tle panoszyły się olbrzymie muchomory, krasne kozaki i syrojadki — ostatnie grzyby.

Ranki wstawały leniwe, w mgłach chłodnych; pod stopą chrzęściły zaschłe mchy, zioła i paprocie, a cisza była taka, że wieczorem z oddali wielkiej, gdzie były wsie, słychać było przeciągłe, smętne, monotonne granie surm jesiennych pastuszych.

Bór stał zadumany i żegnał lato całą tęczę barw liści gasnących.

— Na śmierć się stroją jak na gody! Nie tak jak głupi ludzie, co się jej boją — mówił Rosomak, patrząc na złote i purpurowe drzewa.

Co wieczór Pantera nasłuchiwał żurawi i każdy przeciągający sznur oczami odprowadzał. Aż raz rzekł szeptem do Orlika, gdy szli spać:

— Dziś na łęgach naszych było cicho, a nasz domowy cały dzień krzychał. Pewnie je poznał na niebie. Odleciały.

— Może wódz nie zauważył! — odparł Orlik.

— Oho, na to nie licz! On wszystko słyszy! Boję się o jutro!

Ale owo jutro to była niedziela i Rosomak po pacierzach zakomenderował wyprawę.

— Weźcie chleba do toreb, bo wrócimy na wieczór. Trzeba żerowiska zimowe obejrzyć, wszystko zlustrować, wszędzie dotrzeć.

— Ostatnie odwiedźmy! — rzekł Pantera.

Nic na to nie odpowiedział Rosomak i poszli swym lekkim, wprawnym chodem, co bez trudu polykał mile. Odwiedzili pszczoły, jeziora, zakątki, kryjówki ptasie, borsucze i lisie nory. Obeszli stogi, ścieżki swe letnie, przesmyki po bagnach. W południe spoczęli we wrzosach, ukołysani brzękiem pszczoł, biorących pilnie ostatni pożytek.

Podrywały im się spod nóg stada cietrzewi, a towarzyszyły na drzewach chmary zimujących drobnych ptasząt, żerujących gromadnie.

— Patrz — pokazywał Pantera Orlikowi. — Zbierze się taka różnobarwna czere-da: bogatki, modraczki, sosnowki, raniuszki, sikorzy lud. Dobiorą sobie parę zięb i parę

Jesień, Rozstanie

<sup>253</sup>sztaba (daw.) — szkoła. [przypis edytorski]

dzięciołów i plądruje to razem okolicę całą jesień i zimę. Całą puszcę z robactwa obiorą. Włóczy się to, ćwierka, a dzięcioły na alarm krzyczą, gdy jastrzębia trwoga nadciąga.

Czasami ciszę lasu przerywał chrapliwy krzyk sójki lub orzechówki, zresztą szli w milczeniu i tylko szeleściły liście i trzaskały suche gałązki.

Wracając z obchodu ku domowi, skręcił Rosomak na mogiłę chorążego i odśpiewali mu pieśni narodowe, a potem, milcząc, skierowali się do chaty.

Słońce gasło. Żurawie nie grały, chłodne mgły wstawały z bagien, długie cienie kładły gąszcze. Spotkali swe bydłatka wracające z paszy i wyszedł na ich głosy ku nim żuraw chowany, radośnie witając.

Znaleźli też Bartnika, który przyniósł miodu i świeżego, nowego chleba.

— Jasny jest i jakby jeszcze polem pachniał. Potem nabierze stęchlizny spichrzowej i już zimą go będzie czuć. Więc matka mnie pchnęła, jak jeszcze ciepły był, żeby wam smakował! A miodu tośmy trzy faski<sup>254</sup> nalali. I ojciec już wczoraj pierwsze żyto zasiał. Umieć już cepem walić. Cztery dni z dziadem mlócić: „Łupu, cupu, cupu, łupu!”.

— Ale aż tu słycać było!

Tu Bartnik trącił Orlika i szepnął:

— Surmę przyniosłem, leży w łożach. Zadmiemy po wieczery. Ja cię nauczę!

Zasiedli do posiłku. Jasny chleb pożywali i złotą patokę<sup>255</sup> i mieli wrażenie, że karmią się słoneczną mocą lata, co tę pierwotną żywność człowieczą wyczarowało z ziemi-rodzicielki.

A potem Pantera dzban pieniącego się mleka na stół podał i zbyteczne było rozpalanie ognia na kuchni.

Cichaczem wymknęli się z izby chłopcy i po chwili zajęczała żałośnie surma.

W chacie zapanowało milczenie, a wreszcie po chwili Rosomak zdjął skrzypce ze ściany i począł do tonu tego coś snuć...

— Rapsod naszego lata — rzekł Żuraw.

Bez tchu wrócili Bartnik i Orlik i wszyscy słuchali.

W izbie było ciemno, tylko rubinowa skierka lampki oświetlała koronę Częstochowskiej, ale oto nad polanę wypłynął miesiąc i srebrną ścieżkę rzucił przez okno.

Przeciągłym akordem surmy zakończył Rosomak swe granie i wstał. Chwilę jakby się wahał, zapatrzone w miesiąc, aż wreszcie spokojnie rzekł:

— Bartniku, skoczysz jutro rano do dziada i powiesz, że odjeżdżamy.

Nikt się nie odezwał.

— Czas na nas! Popłynęły nasze żurawie. Dobrze było boże lato. Ileś znalazł nowych roślin, Żurawiu?

— Sto trzydzieści siedem — odparł ścisły Żuraw.

— Moja zdobycz jest mniejsza. Tylko jedenaście nowych gatunków ptasich jaj i gniazda puste remiza.

— Ale za to zbadamy dziewiczy ostęp i tam przyszłej wiosny zdobędziemy puchaczę jaja i głuszce. I przypatrzemy się, jak remizy budują — rzekł Pantera.

— Tom rad, że już o wiosnie marzysz.

— A cóż! Gryzłem się, aż się przegryzłem. Zresztą sam nie zostanę na zimę. Bartnik mi przybył. Będziemy tu dojeżdżać i we dwóch na wiosnę się szykować.

— O! Jużem się z matką rozmówił! Co dni parę do was przylecę. Mamy źróbkę<sup>256</sup> młodą, która mi będzie służyć. Wódz pozwolił czytać książki o borze i zwierzu, i pszczołach.

— Ile i jakie zechcesz.

— Ja na każde ferie do was przyjadę — rzekł Orlik.

— No, to i „Precz, precz od nas smutek wszelki”<sup>257</sup> — zaśpiewał, fałszując, Pantera.

— Ucieszymy się księżycową nocą! — rzekł Żuraw.

Wyszli z izby i obsiedli dębówą podwalinę.

— Jak w kwietniu! Pamiętacie? — rzekł Pantera.

<sup>254</sup>faska (daw.) — drewniane naczynie, beczułka. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>patoka — płynny miód. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>źróbka (gw.) — młodziutka klacz. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>Precz, precz od nas smutek wszelki — fragment *Pieśni filaretów*, napisanej przez Adama Mickiewicza (1798–1855) w 1820 roku. [przypis edytorski]

Polana była przesycona srebrem miesiąca, a drzewa stały we mgle jak nieziemskie zjawisko.

Tylko cisza i skupienie, i wielka powaga panowały nad nocą jesienną. Wszystko co żywe skupiało się i tailo siły, by przetrwać do nowego zmartwychwstania, by przeżyć pozorną śmierć.

Tak było cicho, że słychać było spadanie liści, które się słały po ziemi na ochronę mocy odrodzenia, zawartej w korzeniu; i szelest robaczka, co rył sobie pod korą kryjówkę, by ożyć w niej na wiosnę.

Milczeli i ludzie, też o przetrwaniu myśląc; tylko Rosomak, w dal srebrną zapatrzony, miał oczy promienne i czasami drgnęły mu wargi wewnętrznym słowem.

Trącił go Żuraw w ramię.

— Mów! — szepnął.

Cicho i powoli zaczął, jakby z głębi duszy wyrywały się myśli i skrzypowane ubóstwem wyrazów szukały dla uczuć dźwięku.

— Pozdrowiony bądź, Mistrzu cudów piękna i mądrości, Stworzycielu! Tyś jest tu z nami w każdym kształcie, dźwięku, woni i z Tobą myśmy to lato przebyli. Niech Ci będą dzięki za dzień każdy i za każdą chwilę, niech Ci będą dzięki, żeś nam otworzył oczy i uszy, by Twoje piękno zrozumieć i żyć nim jak chlebem. Niech Ci będą dzięki za zdrowie duszy i ciała, za słońce i zdrój, kwiat i jagodę, za znój i spoczynek, za pogodę naszych serc!

Zachowaj, Ojcze, nas, co odchodzimy, i to, co tu zostaje, a z czym żyliśmy tego lata jak bracia, w całości i mocy, i zdrowiu, byśmy przetrwali i odnaleźli się w radości nowego życia, na bytowanie w tym Twoim chramie!

Serca nasze, Ojcze, na światy rozszerzaj, myśli nasze ku Twej mądrości kieruj i jako w tym borze, bądź naszym władcą i prawem!

— Amen, amen, amen! — potwierdzili uroczyście, zapatrzeni w niebo, zasluchani w ciszę.

I tak się skończył ostatni wieczór lata leśnych ludzi.

Przemijanie, Przemijanie,  
Natura, Zmartwychwstanie,  
Odrodzenie, Jesień, Śmierć

Modlitwa, Las

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rodziewiczowna-lato-lesnych-ludzi>

Tekst opracowany na podstawie: Maria Rodziewiczówna, *Lato leśnych ludzi*, z. 1-2, wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1984.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Marty Kierepki. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Sylwia Budzyńska.

ISBN 978-83-288-0813-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).